

KONFEDERACJA WYROSŁA NA TRZECIĄ SIŁĘ

Krzysztof Bosak mocno
o konsekwencjach wyborów



TYGODNIK LISICKIEGO

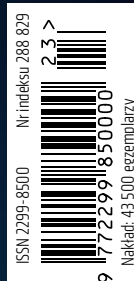
NR 23/632 2-8 CZERWCA 2025
CENA 12,90 Zł (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

Pozorowane ekshumacje
polskich ofiar na Ukrainie



USA od lat 70. wspierały
politykę depopulacji



ŚLEDZTWO „DO RZECZY”

Skąd się wzięło

200 tys. nadmiarowych zgonów Polaków

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

**Nowa, finalna data zapisów
na akcje Do Rzeczy S.A.
do 13 maja.**

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

**Inwestuj
w uczciwość!
Kup akcje
Do Rzeczy S.A.**

Rafał A. Ziemkiewicz
PISARZ I PUBLICYSTA
TYGODNIKA „DO RZECZY”



Do Rzeczy S.A.
– LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU
WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE
NA NEW/CONNECT (GPW)

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka”). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej www.dorzeczy.pl/gielda oraz Domu Maklerskiego INC S.A. www.platforma.dminc.pl.



INFOLINIA: +48 508 040 882

Dom maklerski INC S.A.



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Badanie Holokaustu bez kontroli jakości

Jednym z najbardziej wstrząsających dowodów upadku polskiego życia intelektualnego jest niemal kompletny brak reakcji na ważny tekst dr. Piotra Gontarczyka z poprzedniego numeru tygodnika „Do Rzeczy”, pt. „Nożyczki Barbary Engelking”. Rozumiem, że tekst ukazał się w ostatnim tygodniu zacieklej kampanii wyborczej. Jednak nawet w takiej sytuacji wzmożonego zainteresowania polityką opisana przez Piotra Gontarczyka sprawa powinna wywołać szok. Przecież nie chodziło o opinie, o krytykę poglądów, o różnicę zdań. Doktor Gontarczyk wykazał ponad wszelką wątpliwość, że co najmniej w kilku przypadkach prof. Engelking dopuściła się najgorszej rzeczy, na jaką może pozwolić sobie naukowiec, humanista, socjolog, historyk – a mianowicie świadomie ingerowała w oryginalne świadectwa i dopasowywała je do własnych uprzedzeń ideologicznych.

Tymczasem milczy minister kultury Hanna Wróblewska, która to mianowała panią Engelking na stanowisko szefowej Rady Muzeum Auschwitz-Birkenau. Milczą członkowie tej rady. Milczy dyrektor muzeum Piotr Cywiński. Do licha! Czyżbym tylko ja uważał, że badacz, który fałszuje źródła – a tym jest usuwanie z nich odpowiednich fragmentów lub wprowadzanie do nich innych – sprzeniewierza się podstawowym zasadom sztuki? Milczą inni historycy, specjaliści i znawcy dziejów drugiej wojny światowej. Żaden z nich nie dostrzegł niebywałego wręcz skandalu, jakim jest wielokrotnie udowodnione przez Piotra Gontarczyka fałszowanie oryginalnych źródeł.

Jest to tym bardziej szokujące, że gdyby opisane przez autora tekstu z „Do Rzeczy” błędy popełnił zwykły dziennikarz, każda porządna redakcja wyrzuciłaby kogoś takiego na zbity pysk. Czy ktoś wyobraża

sobie sytuację, w której dziennikarz dowolnie dodaje od siebie fragmenty wypowiedzi osoby, której konferencję obsługuje? Albo, odwrotnie, usuwa z wypowiedzi polityka kluczowe słowa, zniekształcając sens całej wypowiedzi? W analogicznym przypadku prof. Engelking nikt nie reaguje. Nikomu zdaje się nie przeszkadzać opisany przez dr. Gontarczyka proceder usuwania ze źródeł, ze świadectw fragmentów kluczowych dla zrozumienia wydarzenia historycznego. Czyżby w przypadku badań nad Holokaustem nie istniała żadna kontrola jakości? Czyżby w tym jednym przypadku, gdy ktoś używa materiałów historycznych do tworzenia oskarżeń pod adresem Polaków, wolno było na wszystko?

Jeśli tak jest, to prowadzić to musi do dramatycznych wniosków. Po pierwsze: Czy w przypadku osób badających Holokaust można mieć w stosunku do ich ustaleń zaufanie czy też, przeciwnie, mamy do czynienia z bajdurzeniem? Jeśli środowisko naukowe toleruje sytuację, w której kariery robią ludzie dopuszczający się podobnych praktyk, to podcina gałąź, na której siedzi. Okazuje się, że nie mamy do czynienia z nauką, a więc racjonalną formą dochodzenia do prawdy historycznej na bazie obiektywnych kryteriów i aprobowanej przez wszystkich metodologii, ale z legendami, z imaginacją, z uprzedzeniami i idiosynkrazją.

Po drugie, nie jest mi znana tego rodzaju tolerancja wobec podobnych praktyk w żadnej innej dziedzinie historii. Nigdy nie słyszałem o historykach, którzy wycinaliby jakieś fragmenty z tekstów źródłowych lub dodawaliby do nich treści, jeśli rzecz dotyczy innego okresu dziejów niż druga wojna światowa i innej grupy etnicznej niż Żydzi. Czy zatem w przypadku

badania nad Holokaustem mamy do czynienia z historią czy jednak z religią, a raczej z jakąś sektą? Tylko w obrębie sekty nie liczy się ustalanie faktów i prawdy. Sekciarze przyjmują słowa swoich guru, bo im wierzą. Słuchają ich ze względu na pobudzenie uczuciowe, a nie ze względu na racjonalne argumenty. Nie kwestionują, nie pytają, nie podają w wątpliwość.

Po trzecie, pojawia się pytanie o skalę wypaczeń i fałszerstw. Piotr Gontarczyk wykazał, że prof. Engelking zawyżała dane dotyczące ofiar żydowskich w konkretnych przypadkach. W oczywisty sposób jego ustalenia mają ograniczony charakter. Jednak logika (uwaga: właśnie myślenie logiczne odróżnia badacza od szamana) pozwala ekstrapolować jego ustalenia. Czy można zatem przyjmować z dobrodziejem inwentarza jakiegokolwiek inne tezy grona osób z Centrum Badań nad Holokaustem?

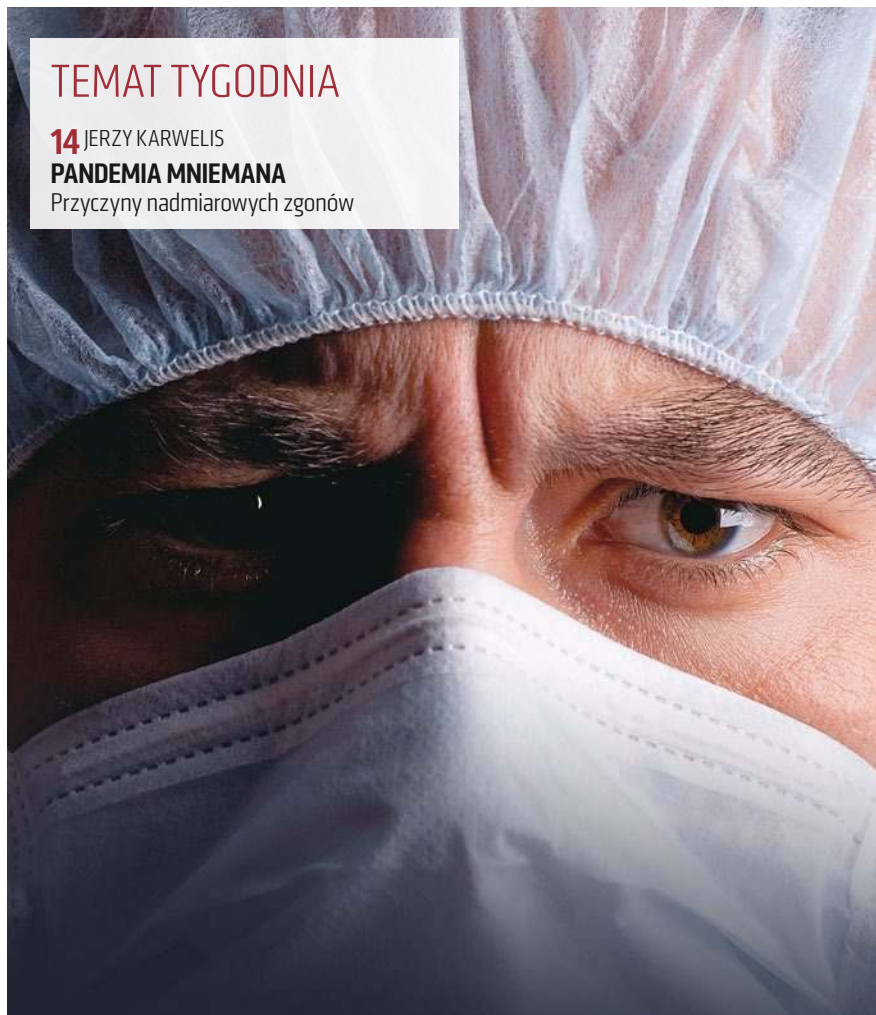
Całkiem niedawno w Polsce pojawiło się kilka doniesień o lipnych pracach doktorskich, których to autorzy najzwyczajniej w świecie przepisywali swoje tezy i „odkrycia” od innych, bez podania źródeł. Wywołało to słuszne oburzenie. Udowodnione oskarżenia o plagiat kończą się ukaraniem winnego. Tym bardziej nie rozumiem obecnego milczenia: Czyżby fałszowanie źródeł było czymś mniej nagannym niż kopiowanie tekstów bez podania źródła? Wydaje mi się, że jest odwrotnie. To drugie świadczy o lenistwie, o próżności, o głupocie plagiatora, jednak odbiorca takiej pracy nie zostaje wprowadzony w błąd co do jej zawartości, a jedynie co do jej autora i jego wysiłku. W przypadku działań prof. Engelking jest chyba gorzej: ingerując w pierwotny tekst, narusza podstawę, na której może być oparte badanie prawdy. © ©

TEMAT TYGODNIA

14 JERZY KARWELIS

PANDEMIA MNIEMANA

Przyczyny nadmiarowych zgonów



KRAJ

18 PIOTR SEMKA

MONTAŻ TUSKA

Atak premiera na kandydata opozycji

21 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

NIEREFORMOWALNA UDECA

24 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM BOSAKIEM

CHODZI O SUWERENNOŚĆ

28 ROZMOWA Z ŁUKASZEM SMÓŁKĄ

JESTEŚMY OTWARCI, ALE CHCEMY POZOSTAĆ BEZPIECZNI

30 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

WEEKEND NA TRZEŻWO

KULTURA

32 MONIKA MAŁKOWSKA

RZECZPOSPOLITA CORAZ BARDZIEJ BABSKA

Doktrynerska urawniłowka w kulturze

36 PIOTR GOCIEK

BIAŁY DYM, CZARNE WIZJE

38 GRZEGORZ KONDRASIUK

BIEDNY WYSPIAŃSKI

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

44 ŁUKASZ WARZECHA

PREZYDENTURA NA SŁABĄ TRÓJĘ

Ocena dwóch kadencji Andrzeja Dudy

48 PAWEŁ CHMIELEWSKI

ZAPROGRAMOWANA DEPOPULACJA

50 WOJCIECH GOŁONKA

SZPIEGOWSKI POCZĄTEK KAMPANII ORBÁNA

HISTORIA

52 GRZEGORZ MAJCHRZAK

W KAMASZE ZA SOLIDARNOŚĆ

Represje stanu wojennego

ŚWIAT

58 MACIEJ PIECZYŃSKI

UKRAIŃCY NICZYM MOSAD

Jak giną wrogowie Kijowa

61 RAFAŁ DUDKIEWICZ

UKRAIŃCY ŻĄDAJĄ I NIE USTĘPUJĄ

64 JACEK PRZYBYLSKI

GWIEZDNE WOJNY 2.0

68 ROBERT BOGDAŃSKI

CENTRUM ŚWIATA SIĘ ZBROI

EKONOMIA

72 PIOTR WŁOCZYK

KTO WYPELNI FLOTĘ CIENI

Jak Rosja omija sankcje

SPORT

74 ŁUKASZ MAJCHRZYK

SPORT JAK CYRK

Rozrywka pokolenia Z

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Radosław Wojtas (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Godek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmicki, Dominika Cośic (*Brusela*),
Tomasz Cukiernik, Łukasz Czamecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki,
Marek Jurek, Jerzy Karwiel, Jacek Komuda, Sławomir Koper,
Piotr Kowalcuk (*Rzym*), Grzegorz Kucharczyk, Piotr Litka,
Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Palkiewicz,
Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieronimczyk, Jakub Wozinski,
Tomasz Zbigniew Zapet, Łukasz Zboralski

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: Karol Gac z zespołem: Zuzanna Dąbrowska-
Pieczyńska, Małgorzata Puzry, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin
Bugał, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid
Sienkowski, Łukasz Zygałdo

STUDIO GRAFICZNE: Wojciech Niedziółko (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład), Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)
Fotoredakcja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYSONOWNICY: Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa
Okładka: Adobe Stock

WYDAWCA: Do Rzeczy SA

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Do Rzeczy SA

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: Piotr Pech tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl

tel.: +48 508 040 684, +48 888 727 213

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzecki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA:

Joanna Gosek, Joanna Nowakowska

+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00

e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:

Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88

e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl

Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczta2y.pl,

www.poczta2y.pl/prenumerata#prasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829 Nakład: 43 500 egzemplarzy



Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Tusk mógł przywrócić młodym Niemcom pamięć

Szanowna Redakcjo!

Na portalu „Do Rzeczy” przeczytałam, że niemieccy uczniowie mają mizerną wiedzę o drugiej wojnie światowej. „Frankfurter Allgemeine Zeitung” informuje o zaniepokojeniu nauczycieli zrzeszonych w Stowarzyszeniu Nauczycieli Historii w Niemczech (VGD). Ich zdaniem „w niemieckich szkołach w coraz większym stopniu szerzą się dezinformacja i fałszywa narracja na temat drugiej wojny światowej”

Przepraszam bardzo, ale czyja to jest wina? Przecież cała niemiecka polityka historyczna właśnie fałszowanie historii miała na celu! Chodziłam tam do szkoły i wiem, jak to wyglądało. Takie stwierdzenie „FAZ” to tylko zaślona dymna, dla ukrycia, że Niemcy od trzech pokoleń manipulują historią i wypierają ze swej świadomości niewygodne fakty, używając tak jawnych manipulacji, jak choćby forswana zmiana nazewnictwa z Niemców najpierw na hitlerowców (to w PRL – z powodu sąsiedztwa z bratnim NRD), a potem na nazistów.

A premier polskiego państwa gości nowego kanclerza Niemiec i co mówi? „– Decyzja dyplomatyczna o reparacjach zapadła w czasach komunistycznych. Nie mieliśmy w tej sprawie tak naprawdę nic do powiedzenia, nie my o tym decydowaliśmy. Czy Niemcy kiedykolwiek zadośćuczyniły za straty, tragedię drugiej wojny światowej w Polsce? Nie, oczywiście, że nie. Jestem historykiem, jestem z Gdańska. Mógłbym godzinami mówić o tym, jak wygląda ten rachunek. On nigdy nie był zadośćuczyniony, ale nie będziemy o to prosić. Ko kwestia do przemyslenia przez wszystkie strony. Ja chcę się skoncentrować na tym, aby Polska i Niemcy skoncentrowały się na tym, by budować bezpieczną przyszłość” – powiedział szef polskiego rządu.

Błąd! Trzeba było właśnie ten moment wykorzystać dla przypomnienia faktów! Myślę, że wystawienie Niemcom słonego rachunku opiewającego na te prawie

Nie bój się, Donald, obtonię Cię.
Byłem w Legii Cudzoziemskiej...



Cezary Gmyz

6 bln zł, które wyliczono w raporcie o stratach wojennych, na pewno odświeżyłoby pamięć Niemców o drugiej wojnie światowej i przywróciło właściwą narrację [...].

Rozliczenie tych haniebnych zbrodni jest podstawowym i niezbędnym warunkiem, aby – jak sam powiedział premier Tusk – „Polska i Niemcy skoncentrowały się na tym, by budować bezpieczną przyszłość” [...] Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Sami faszysci

Szanowni Państwo, w ostatnich pięciu latach w języku polskim pojawiło się mnóstwo nowych słów: wypłaszczenie, foliarz, płaskoziemiec, ruska onuca itd. Wybitni poloniści zalecali nawet wprowadzenie do powszechnego obiegu wulgaryzmów i przekleństw, bo przecież to normalne, że mówi się: j...ć, w.....ć i takie tam. Podczas obecnej kampanii wyborczej furorę zaczął robić termin „dowieźli” lub „nie dowieźli”. A to głosów, a to propozycji, a to obietnic.

Z pewnością jednak „dowieźli” faszystów. No bo kto by jeszcze kilka tygodni temu przypuszczał, że z „faszystowską” Konfederacją czy „antysemickim” Braunem zacznie się liczyć „światłogród”? A tymczasem do matecznika faszyzmu – Torunia – „dowieźli się” pan Trzaskowski we własnej osobie. A po rozmowie ze Sławomirem Mentzenem wybrał się z nim na piwo w towarzystwie samego pana Sikorskiego. Czyżby nie wiedzieli, jakie skojarzenia budzą piwiarnie z faszystami?

Chcąc nie chcąc, wyborcy wolnościowców zostali co najmniej kryptofaszystami. Panie premierze, jak żyć?!

Z poważaniem
Ewa Kowynia



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Dezorientacja à la KUL

Kwestia wyboru nowego prezydenta nie może być obojętna polskiemu Kościołowi katolickiemu. Nic więc dziwnego, że 5 maja Konferencja Episkopatu Polski opublikowała stanowisko przed elekcją prezydencką. Uczula ono wiernych, według jakich kryteriów powinni dokonywać oceny kandydatów. Polscy hierarchowie zaapelowali, by „w powszechny i odpowiedzialny sposób wskazać osobę godną tego politycznie ważnego stanowiska”. I wymieniając czynniki, które osoba wierząca powinna wziąć pod uwagę, przypomnieli nauczanie Jana Pawła II, który podkreślał: „Pierwszym i podstawowym elementem systemu demokratycznego jest uznanie i poszanowanie godności każdego człowieka”.

Przypomniano też, że przy swoim wyborze osoby wierzące powinny stać na straży prymatu rodziców w wychowaniu dzieci i obrony wolności sumienia i wolności religijnej. Wskazania te w pierwszej turze tworzyły podział pomiędzy z jednej strony takimi kandydatami jak Karol Nawrocki,

Sławomir Mentzen, Grzegorz Braun i Marek Jakubiak, a z drugiej strony Rafał Trzaskowski, Magdalena Biejat i Adrian Zandberg.

Na placu boju zostali tylko Karol Nawrocki i Rafał Trzaskowski. Episkopat nie zdecydował się na jakiegokolwiek nowe precyzowanie wyboru katolika. Zważywszy jednak, że Rafał Trzaskowski jest zadeklarowanym zwolennikiem aborcji na życzenie do 12. tygodnia rozwoju dziecka poczętego, sprawa wyboru, którego powinien dokonać katolik, wydawała się oczywista. I wtedy media liberalne otrzymały cenny dar. Oto były rektor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego ks. prof. Andrzej Szostek ogłosił, że sprawa według jego opinii wcale nie jest taka oczywista.

„Rzeczywiście, sprawa aborcji jest ważna, trzeba o niej myśleć i pamiętać. [...] ale to niewątpliwie nie jest jedyna rzecz, którą trzeba brać pod uwagę przy ocenianiu, który z kandydatów jest lepszy na urząd prezydenta [...]. Są inne kwestie polityczne, gospodarcze, sprawy o znaczeniu krajowym lub międzynarodowym. Nie można tak

ułatwiać sobie wyborów”. Ksiądz Szostek był kiedyś uczniem Jana Pawła II na KUL, ale od przynajmniej dekady co rusz uwielbia relatywizować stanowisko Kościoła. W 2015 r. publicznie bronił premier Ewy Kopacz, która nakazała umożliwienie aborcji dziecka anonimowej dziewczyny nazywanej w mediach Agatą. W 2020 r. podpisał „apel zwykłych księży” krytycznie oceniający wyrok Trybunału Konstytucyjnego ograniczający aborcję.

Media liberalne z lubością cytują kontrowersyjne poglądy ks. prof. Szostka, chętnie podkreślając jego status byłego rektora KUL. A co na to obecny rektor, ks. prof. Mirosław Kalinowski? Ten tradycyjnie milczy. Równie bezradne były władze katolickiego uniwersytetu wobec wypowiedzi innego uczelnianego liberała ks. Alfreda Wierzbickiego. Ten najpierw korzystał z bierności władz uczelni, a potem i tak przeszedł na lubelski UMCS.

Czy można w tej sytuacji się dziwić, że coraz więcej młodych katolików nie odróżnia specjalnie KUL od innych szkół wyższych? ©

ELON MUSK ZAKOŃCZYŁ MISJĘ W BIAŁYM DOMU

Miliarder Elon Musk odszedł z administracji Donalda Trumpa, gdzie nadzorował prace Departamentu do spraw Efektywności Rządu (DOGE). „Mój wyznaczony czas jako specjalnego urzędnika państwowego dobiega końca, chciałbym więc podziękować prezydentowi” – ogłosił na X. Wyraził też przekonanie, że misja DOGE będzie się umacniać. Elon Musk nadal jest najbogatszym człowiekiem świata. (jap) ©



FOT. CHIP SONNENILLA / GETTY IMAGES

dwaj panowie g



No i po drugiej turze. Pewnie już znają państwo wyniki, my piszemy te słowa w piątek, więc znać ich nie możemy. Coś nam jednak mówi, że i tak hasło na najbliższe dni – a może nawet miesiące – brzmi: „Pilnujcie wyborów!”.

Nasze wezwanie chcielibyśmy poprzeć słowami największego z żyjących Polaków, samego Donalda Tuska, który podczas marszu Trzaskowskiego w Warszawie wykrzyczał ze sceny, że rządzą nami polityczni gangsterzy. Wie, co mówi – w końcu to on rządzi.

Na spokojnie można podyskutować wreszcie o sprawach poważnych. Na przykład: Kto właściwie wymyślił kandydaturę Karola Tadeusza Nawrockiego? Był czas, że krążyły różne wersje: od Cenckiewicza do Karnowskiego (Jacka – i raczej nie tego z Sopotu). Nasze wiewiórki z PiS twierdzą jednak, że od samego początku był to projekt Adama Bielana, który przekonał do niego szeregowego posła Jarosława Kaczyńskiego.

Jako że jest po wyborach, to okolice sztabów zrobiły się mniej szczelne i oprócz krzepiących wyników sondaży wpływają z nich także opowieści o niesnaskach. I tak np. w sztabie Karola Tadeusza koty darli Paweł Szefernaker oraz Andrzej Śliwka, którzy mieli bardzo różne poglądy na wszystko. My w sumie jesteśmy wolnościowcami, więc popieramy fakt posiadania różnych poglądów przez różnych ludzi. Nawet sami mamy na ten temat różne poglądy.

Dwa słowa także o tym, o co różni ludzie spoza sztabu mieli do niego pretensje. Otóż np. o niechęć do prowadzenia kampanii negatywnej, nawet gdy druga strona zaatakowała hasłem o alfonsie na prezydenta. Inny zarzut dotyczy braku decyzyjności w sprawie rozmaitych inicjatyw oddolnych, kiedy do sztabu się zgłaszali rozmaici entuzjaści kandydata z terenu, aby jakoś dopomóc. To ostatnie zjawisko to nawet rozumiemy. Było wywołane lekkim zawstydzeniem. Widzicie, szczególnie na samym początku o entuzjastów kandydata najłatwiej było poza sztabem.

Wsumie nie wiemy jednak, czy możemy zdradzać sekrety sztabu, bo nie wiemy jeszcze, czy nie będzie znowu potrzebny. Nikt nam bowiem nie zagwarantuje, że za chwilę nie będą musiały się odbyć nowe wybory prezydenckie, gdyż warchąca demokracja nie uzna tych, które właśnie były. Słyszeliśmy o przynajmniej trzech scenariuszach. Pierwszy – na ruska. Że niby Maciak agent, a w sieci obce ingerencje. Drugi – stary, sprawdzony – na „nielegalny Sąd Najwyższy” uznający wyniki. Trzeci – na skrupulatność. Otóż w trzecim przypadku się ogłosi, że były jakieś nieprawidłowości i trzeba je zbadać. No i PKW będzie je badać tak długo, aż kadencja Andrzeja Sebastiana się skończy i stanowisko głowy państwa musiał będzie objąć marszałek Sejmu. Audiotele: wybierajcie.

Oprócz przestróg mamy też pytania. Na przykład do Radka Sikorskiego o to, co miał na myśli, mówiąc o tym, że Polska skorzystała na drugiej wojnie światowej. Czy chodziło mu o rozwiązanie kwestii żydowskiej? Czy może o zamianę milionów mieszkańców Polski Wschodniej na setki tysięcy okupantów ze wschodniej, owszem, ale satrapii sowieckiej? Wiemy na pewno, że sam Radek akurat mocno skorzystał na drugiej wojnie światowej, bo przecież gdyby nie wojna, toby Falkenbergowie nigdy mu żadnego dworu w Chobielinie nie sprzedali.

Po pełnej męskich tematów kampanii mamy też uwagi treści ogólnej. Na przykład z niektórymi wnioskami nie

szlibyśmy za daleko. Doceniamy choćby tezę, że lepszy twardziel od lalusia, ale jeśli podstawową kwalifikacją polityczną ma być kariera boksera, to Poznaniem dożywotnio rządzić powinien Jacek Jaśkowiak.

Tymczasem w obozie demokracji warchącej: jak się wydaje, resztki zdrowego rozsądku jeszcze zupełnie nie wyparowały z obozu kandydata Rafała Kazimierza. Otóż nasze wiewiórki usłyszały żale, które wygłaszał niejaki Olo Łukaszewicz w jednej z warszawskich knajp. Ten zapomniany już nieco gwiazdor „Seksmisji” żalił się, że sztab Rafała nie odpowiedział na jego propozycję włączenia się w kampanię kandydata „uśmiechniętej Polski”. No cóż, gdy przypomnimy sobie nieśmiertelną maksymę Mazurka i Zalewskiego – „Od dziennikarzy głupszy są tylko aktorzy” – to wcale się nie dziwimy.

Nawiasem mówiąc, obserwując to, co wyprawiali reżimowi pracownicy neomediów w tej kampanii, wcale nie jesteśmy przekonani, czy rzeczywiście dziennikarze są mądrzejsi od aktorów. Jeśli chcecie się osobiście o tym przekonać, to proponujemy obejrzenie jednego z odcinków programu Tomasz Sekielskiego emitowanego za grubą hajsa w telewizji w likwidacji.

Apropos TVP czy neo-TVP. Gdy gościliśmy na ostatniej debacie Karola Tadeusza w Końskich, mieliśmy nawet okazję spotkać słynnego kuzyna Jarosława Kaczyńskiego, Jana Marię Tomaszewskiego, w niektórych kręgach znanego również jako Jezus Maria Tomaszewski. Kuzyn zdradził nam, że szeregowy poseł Jarosław Kaczyński nie był zachwycony (delikatnie ujmując) deklaracją, iż Jacek Kurski zamierza wrócić do TVP.

Jak wiadomo, wyrażony publicznie zamiar powrotu Jacka Kury Kurskiego na stanowisko prezesa TVP został przez kandydata Karola Tadeusza skwitowany na portalu X słowami: „Po moim trupie”. Pewien ważny PiS-owiec zadzwonił do nas chwilę potem i powiedział: „Jeśli to napisał Karol, a nie Szefernaker, to ja wreszcie mam powód, żeby gościa polubić”. ©



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Świat Łapszennikowej

Dziwi mnie, że pan się dziwi” – ta znana fraza zadzwoniła mi pod czaszką, kiedy czytałem wywiad Grzegorza Sroczyńskiego z Łukaszem Pawłowskim z Ogólnopolskiej Grupy Badawczej. Wywiad, bardzo ciekawy, dotyczył nowej polaryzacji, która zaczyna określać politykę, zarówno światową, jak i polską. Generalnie Pawłowski konstatuje, że rządzi podział nie na „lewo” i „prawo”, ale na „górze” i „dół”, czyli mamy bunt ludu przeciw klasie panującej, spowodowany tym, że zablokowała ona ludowi możliwości awansu i zabetonowała systemowe nierówności (i to dla mnie nic nowego – piszę i gadam o tym od dawna). Nadmieniam przy tym, że w USA pierwszym zwiastunem

tego buntu były filmy, które podjęły temat nierówności i niedrożności dróg do poprawy życia, zanim zadziałały narzędzia socjometrów. A u nas – powiada – ani jednego takiego filmu nie było, dziwne, że nasi artyści nie wyczuwają nastrojów społecznych.

Panie Łukaszu, nasi artyści wyczuwają nastroje swojego środowiska – które, dodajmy, jest sitwą zhierarchizowaną jak przysłowowe stado pawianów. Wiedzą, że – by użyć frazy z „Mistrza i Małgorzaty” – „tego Łapszennikowa nie wydrukuję”. To znaczy – nie sfinansuje. A gdyby nawet udało się rzecz zrobić bez dotacji, Łapszennikowa nie zrecenzuje, nie podpromuje, nie nagrodi konkursu ani może nawet do niego nie dopuści. Gorzej –

urządzi dzieło koncert na wargach, a twórcę obłoży anatemą.

Nasi artyści są oczywiście lewicowi, bo wiedzą z Zachodu, że inaczej nie wypada – ale lewicowością Bieją, nie Zandberga. To znaczy są bardzo wrażliwi na krzywdę perwersa, któremu prawicowy reżim nie pozwala podpatrywać kobiet w damskiej toalecie, owijają się w tęczowe flagi i masakrują zaimki, ale o biednych, wykluczonych i pozbawionych możliwości poprawy swego losu mają do powiedzenia tylko jedno: „A dobrze tak hołocie, nie umie sobie poradzić, to niech siedzi cicho”. Ta pogarda ich spaja, daje poczucie wyższości i drogę do serca sponsorów. Jakżeby się mogli ujmować za ciemnotą głosującą na PiS? ©©



MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Patrząc dalej

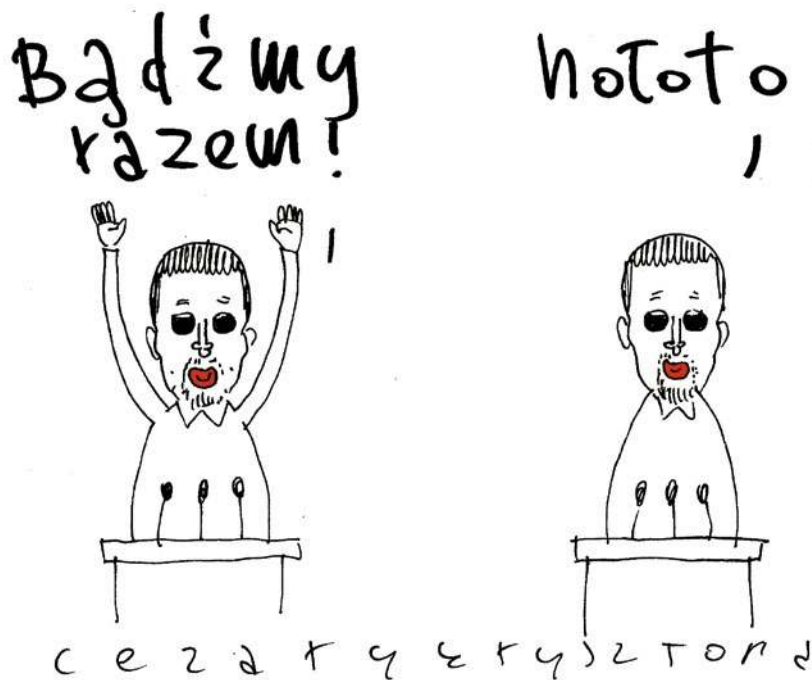
Dziwne rzeczy dzieją się we Francji. Jakiś czas temu „Tygodnik Powszechny” zauważył, że rośnie tam liczba chrztów. Czyżby spełniał się sen wyznawców „anonimowego chrześcijaństwa” o ewangelizacyjnych pożytkach ateistycznej kultury i polityki? Taki wniosek byłby bardzo pochopny. Wzrost liczby chrztów bynajmniej nie koreluje z umacnianiem „jedności republikańskiej”, wręcz przeciwnie – z jej załamaniem: najpierw francuskiego komunizmu, potem „luksusowego” socjalizmu, a teraz modernizacyjnego liberalizmu. Rewolucja sięga dna, więc może Francja próbuje się odbić.

Oczywiście między faktami mogą zachodzić różne relacje. Rzeczy mogą wynikać z siebie bezpośrednio, np. wzrost bezpieczeństwa z dobrej polityki karnej, albo jako reakcja – np. wzrost wyborczego nacjonalizmu wskutek narodowej obojętności oficjalnej polityki. Może też między nimi nie być związku w ogóle. Ale współwystępowanie faktów zawsze warto rejestrować i rozważać. W wypadku francuskiej cichej rechrystianizacji najbardziej przekonuje mnie analiza Laurenta Dandrieu z jego książki „Wielki kłopot: Kościół i imigracja”. Dandrieu ubolewał w niej nad przegapieniem przez autorytety Kościoła duchowej koniunktury, którą

tworzą antyimigracyjna reakcja i odruchowy głód tożsamości. Odruch nawrócenia nie czyni, ale może być jego początkiem.

Piszę o tym wszystkim, nie wiedząc, kto w chwili, gdy to państwo czytają, jest nowym prezydentem Rzeczypospolitej. Ale niezależnie od tego, czy uniknęliśmy najgorszego czy nie – opinia katolicka musi się przebudzić. Lata 90., gdy straszono nas, że „ZChN jest najkrótszą drogą do dechrystianizacji Polski”, były ostatnim dobrym okresem polskiego katolicyzmu, w przeciwieństwie do ostatniej dekady. Czas z tego wyciągnąć wnioski niezależnie od tego, czy zaczyna się koniunktura czy przeciwnie. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZYK
Z RYZMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Wygnanie **Wenus Medycejskiej**

Posąg bogini miłości za sprawą sugestii pełnomocnika do spraw równouprawnienia wygnany został z foyer Federalnego Biura Usług Centralnych i Kwestii Własnościowych w Berlinie do muzeum „Grassi” w Lipsku. Pełnomocnik miał obawy, że naga rzeźba może być odbierana przez klientów i pracowników biura jako seksistowska. Wskazał, że należy podjąć kroki zgodne z literą prawa w kwestii równouprawnienia.

Chodzi o wykonaną w brązie w XVIII w. ponoć najlepszą kopię oryginału, który podziwiać można w słynnej Gallerii Uffizi we Florencji. Posąg najwyraźniej nie ma szczęścia do właścicieli. Należał do Hermanna Göringa, który w 1945 r. kazał rzeźbę utopić w jeziorze Großen Dölln,

gdy zbliżali się ruscy. Odnaleziono ją 45 lat później. Teraz w Lipsku może się czuć wreszcie bezpieczna, bo tak daleko macki opętanych idiotów chyba nie sięgają.

Ppełnomocnik z Berlina wpisał się do grubej księgi szalonych zelotów poprawności politycznej. Włoskie media mają używanie. Szyderczy śmiech niesie się po całej Italii, tym bardziej że Niemcy nie cieszą się tu jakąś przesadną popularnością. Nie sposób nie sięgnąć po wiekopomny cytat z Gogola: „Z czego się śmiejecie? Z samych siebie się śmiejecie”.

Dziewięć lat temu w Rzymie gościł ówczesny prezydent Świętej Republiki Mizogińskiej Iranu Hassan Rouhani. Odwiedził Muzea Kapitołińskie. Aby nie

urazić religijno-obyczajowych uczuć brodacza, obudowano gołe rzeźby białymi tekturowymi zasłonami. Okazało się, że nie prosiła o to strona irańska.

Decyzję podjął anonimowy włoski „pełnomocnik”. Było to w czasach rządów lewicy, której tak bardzo na sercu leżą kwestie swobód wszelkich, w tym artystycznych.

Kilka miesięcy wcześniej papież Franciszek odwiedził Turyn. Pałac Chiablèse w pobliżu katedry gościł wówczas wielką wystawę malarstwa Tamary Łempickiej. Anonimowy „pełnomocnik” lewicowych władz miejskich kazał zasłonić czarnymi płytami wszystkie rozwieszone w okolicy plakaty reklamujące wystawę nieco erotycznym portretem artystki. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

KOMUNIA NA BOGATO

Sezon komunijny w pełni, co oznacza, że celebryci odpinają wrotki. Iwona Węgrowska, typowa CZYTŹ („celebrytka znana z tego, że jest znana”), obszerne dzieliła się z mediami przygotowaniami do sakramentu swojej córki. Od kilku tygodni opowiadała, że szykuje dużą imprezę, na którą chce przeznaczyć, uwaga, 40 TYSIĘCY ZŁOTYCH. „U nas będzie ponad 50 osób, bo Lili poprosiła, by oprócz rodziny zaprosić przyjaciół i znajomych, więc jest na bogato. Lili ma dwie sukienki i pięć kreacji na zmianę. Trzy wianki. Do tego dochodzą fryzura i makijaż” – mówiła w rozmowie z „Super Expressem”. Po tych słowach Internet zawrzał, a więc Węgrowska postanowiła nieco uspokoić nastroje. Zapewniła, że w kościele jej córka będzie wyglądała jak jej rówieśnicy. Dopiero na przyjęciu po uroczystości dziewczynka będzie się przebierać. „Ja nie chcę, żeby moje dziecko się wyróżniało pod względem ubioru w kościele, bo tutaj jest najważniejszy sakrament, czyli przyjęcie Chrystusa do swojego serducha. Dla nas to jest ważne, bo jesteśmy bardzo religijni. Dlaczego

jednak podczas prywatnej imprezy Lila nie może przywitać gości w pięknej sukni?” – pytała Węgrowska. „Nikt mi nie zabroni zrobić imprezy prywatnie. Nikt mi nie zabroni ubrać mojej córki jak księżniczki. Poczula się jak księżniczka i mi za to podziękowała. Na tle klasy chce wyglądać skromnie i to mi się podoba. To jest właśnie moje wychowanie. Proszę bardzo – na tle całej klasy, jak będzie zdjęcie grupowe z kościoła, wyglądaj skromnie, tak jak to powinno być. Księżniczką będziesz w restauracji. Prywatnie sobie szalej” – skwitowała całą aferę.

SŁUSZNA LEPA

Niedawno, z okazji Światowego Dnia Praw Zwierząt, związany z TVN choreograf i prezenter Michał Piróg gościł w śniadaniowce tej stacji – w roli aktywisty prozwierzęcego. Zapytano go o niebezpieczny trend w mediach społecznościowych, polegający na polewaniu zwierząt lodowatą wodą. Piróg bardzo ostro skrytykował właścicieli, którzy traktują swojego pupila w ten sposób. – Wczoraj rozmawiałem na temat tych filmików z behawiorystką, która powiedziała, że być może jeden na milion psów będzie lubił to, co się wydarzyło, natomiast jeżeli impulsem kierującym nami jako ludźmi jest nasza głupota i chęć clickbaitu, polubienia i adorowania w sieci, no to zastanówmy się jako gatunek – wskazywał Piróg. Następnie wyznał, że w przeszłości sam zareagował ostro na przypadek niewłaściwego traktowania psa. Opowiedział, że do sytuacji doszło podczas wycieczki po górach. Zobaczył wtedy dziecko, które „kopało piłkę do przywiązanego na łańcuchu psa”. – Kiedyś szedłem w górach i dziecko kopało piłkę do przywiązanego na łańcuchu psa. Jestem dorosłą osobą, podszedłem i uderzyłem to dziecko – wyznał. – Poczekaj, poczekaj... – zareagował ze zdziwieniem gospodarz programu Krzysztof Skórzyński. – Nie powinienś – dodała druga prowadząca Ewa Drzyzga. – Nie powinienem, ale to zrobiłem. To był mój odruch – odparł gwiazdor TVN. Drzyzga próbowała

tonować nastroje, mówiąc, że „agresja rodzi agresję, no i to jest ewidentny tego przykład”. – Znaczy, ja go tak strzeliłem w głowę – kontynuował Piróg. Skórzyński stwierdził, że „przemocą na przemoc nigdy nie można reagować”, ale gwiazdor ma inne zdanie. – Można – podsumował. Czyli jak to w końcu jest – można bić dzieci czy nie?

ZACHOWAĆ DYSTANS

Popularna stand-uperka Wiolka Walaszczyk gościła w podcaście Kuby Wojewódzkiego i Piotra Kędzierskiego. Wśród wielu innych pojawił się temat wiary. Komiczka przyznała, że pochodzi z wierzącej rodziny – dwóch z trzech jej braci było ministrantami. Wojewódzki odniósł się do faktu, że mimo regularnego uczęszczania do kościoła w swoich występach scenicznych Walaszczyk bardzo dużo przeklina, a według niego – zadeklarowanego ateisty – wiara i wulgaryzmy są ze sobą sprzeczne. – Wydaje mi się, że większość ludzi przeklina – czemu ma wykluczać to z tym, że ktoś jest katolikiem, chrześcijaninem, chodzi do kościoła? [...] No przepraszam bardzo. Ktoś powie: „Przestaw, k...a, ten samochód, bo ja nic nie widzę” – czy on nie może wtedy normalnie pójść do kościoła? W jaki sposób to się kłóci? – pytała zdziwiona stand-uperka. – Teraz nie praktykuję, ale nigdy mi się to nie kłóciło. Wydaje mi się, że jeżeli religia chrześcijańska, katolicka mówi, że Bóg kocha wszystkich, to myślę, że Bóg nie ma problemu z tym [...]. Wydaje mi się, że to nie jest problem ani grzech – tłumaczyła. Prowadzący odparł, że przecież w Biblii „nie ma wulgaryzmów, w Eucharystii też nie ma”. – Teraz też nikt nie napisałby jej z tymi niecenzuralnymi słowami – odpowiedziała wprost Walaszczyk. Przyznała również, że wierzy w Boga, choć obecnie nie uczęszcza na msze. Aby potwierdzić swój dystans, nazwała Kościół „instytucją”. Podstawowa zasada show-biznesu – jeśli nie chcesz wprost najechać na Kościół, to chociaż się od niego odetnij. ©



FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, pisząc te słowa, nie znamy wyników wyborów prezydenckich, ale martwimy się, iż nie jest dobrze. Śledziliśmy ostatnie sondaże i przewaga Rafała Trzaskowskiego nad tym drugim kandydatem, którego nazwiska boimy się wymawiać, iż przyjdzie i nam przywali, była niewielka, a wahający się elektorat mógł się ostatecznie wahać nie w tę stronę, której byśmy oczekiwali.

W każdym razie nie możemy wyjść ze zdziwienia, iż z jednej strony mamy kandydata, który jest posądzany o: udział w ustawkach, suterstwo, uzależnienia, oszustwa i wyciskanie za małych ciężarów na klatę, a z drugiej uśmiechniętego, sympatycznego, wykształconego i obytego w świecie Rafała Trzaskowskiego, a ludzie i tak mogą chcieć głosować na tego pierwszego.

A przecież w kampanii wszystko szło, jak należy. Było straszenie pisem i wyjściem z Unii Europejskiej, był mecenas Giertych aktywny na Twitterze, było zwracanie uwagi, iż za kandydatem pisu głosują ludzie biedni, niewykształceni, nieogarnięci życiowo, z małych miejscowości, zacofani i chodzący do kościoła.

Ba, kochani, był nawet apel o głosowanie na Trzaskowskiego, który wystosowali m.in. Frasiński, Wałęsa,

Michnik i Bujak. Któż by się oparł? Upatrywaliśmy w tym nawet ostatecznego game changera kampanii, używając retoryki bliskiej kandydatowi pis, iżby jego elektorat zrozumiał – takiego knock outu, po którym rywal Rafała się już nie podniesie.

A tymczasem co? A jajco. Naród okazał się nieczuły nawet na tak ostateczne autorytety i wynik się ważył

(każdy szanujący się ekspert takie ma, a więc i my).

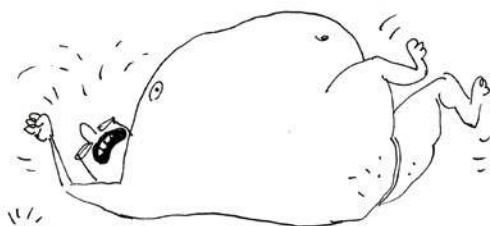
Mamy jednak i inne powody do smutku, iż niewdzięczny naród i niewierny nie jest zadowolony z rządu i premiera Tuska. Ponad połowa badanych w jakimś tam badaniu nie cieszy się z faktu, iż on jest premierem, a przypomnijmy, iż jak to powiedział Radek Sikorski, w sferze doczesnej Donald jest najwybitniejszym Polakiem w historii.

Łatwo zapomnieliśmy już, iż był szefem całej Unii Europejskiej, prawda? Albo o tych wszystkich autostradach i stadionach, i o ciepłej wodzie, a przede wszystkim o odsuwaniu pis od władzy. Niestety, pamięć wyborców jest krótka, ale też zwróćmy uwagę, iż z tak niesfornymi koalicjantami i pisowskim prezydentem to naprawdę trudno jest cokolwiek sensownego zdziałać.

Niestety, jak mówi pewne chińskie przysłowie: prorok nie jest szanowany

we własnym kraju. A więc jak w końcu pan premier się wkurzy, to znów nam wyjedzie za granicę przewodnicząca całej Unii. I wiecie co? My to of kors zrozumiemy i wcale nie będziemy go zatrzymywać. ☹☹

Czym zadręczaś się, Platformo!
(czy ci uciekł dzielny Zorro?)



C e z z k y s k y t o n d

do ostatniej chwili. A my siedzimy i odświeżamy stronę Ryanaira, sprawdzamy ceny biletów i tym razem to już na pewno wyjedziemy z tego kraju, of kors jeśli tylko nie będzie blokady lotnisk i natychmiastowego wyprośzenia nas z Unii i NATO. Zresztą wy już wiecie, mamy nadzieję, że czytacie to jako niesprawdzone przewidywania

PODSŁUCHANE

Odwołanie

Pani Paulino, chciałem panią uprzedzić, że w ramach rekonstrukcji rządu zawnioskuję do pana prezydenta o odwołanie pani ze stanowiska ministra klimatu.

To jednak jest dla mnie pewne zaskoczenie, panie premierze. A z Szymonem pan na ten temat rozmawiał?

Próbowałem.
I co?

Nic z tego nie wyszło. Gdy tylko kończy prowadzenie obrad, pędzi do swojego gabinetu, zamyka się tam i tylko jakieś szloch i wycia słychać.

Będę musiała sama do niego iść. Ale skoro tak, to przynajmniej proszę zdradzić, kto miałby mnie zastąpić.

Będzie to osoba charyzmatyczna, zdecydowana, twarda, nieustępliwa. Czyli?

Pan Jacek Murański. ☹☹

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Nawrocki [...] ma popapraną przeszłość”.

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI, były prezydent Polski, w okresie PRL prominentny polityk władz komunistycznych, podczas rozmowy z dziennikarzami w Świnoujściu

KONTRREWOLUCJA W PARYŻU. KIEROWCY ODETCHNĄ Z ULGĄ

W ubiegłą środę francuski parlament przegłosował projekt zniesienia miejskich stref niskiej emisji (franc. zones à faibles émissions) zarówno w stolicy, jak i w centrach innych miast francuskiej republiki. Ich wprowadzenie było sztandarowym pomysłem prezydenta Emmanuela Macrona podczas jego pierwszej kadencji. W ramach pierwszego czytania projektu ustawy deregulacyjnej parlamentarzyści zdecydowali o zniesieniu tego pomysłu, a przeciwko strefom opowiadali się w ubiegłym tygodniu nawet tradycyjni zwolennicy prezydenta Macrona. – Strefy ZFE tworzą Francję dwóch prędkości – przekonywał minister transportu Philippe Tabarot.

Krytycznie wobec pomysłu wprowadzania „bezużytecznych” stref tego typu wypowiada się wielu francuskich polityków. Wielu przekonuje, że wprowadzenie stref pogłębia nierówność społeczne i dzieli obywateli Francji na zamożnych oraz na biednych, których nie stać na zakup nowego samochodu o dopuszczalnej przez władze normie emisji spalin. Tymczasem kara za wjazd do centrum bez odpowiedniej winiety wynosi nawet 135 euro (równowartość 574 zł).

Pomysł wprowadzania Stref Czystego Transportu dzieli również polityków w Polsce. Przewodnik „postępu” Rafał Trzaskowski opowiadał się w kampanii wyborczej za dalszym prowadzeniem restrykcyjnej polityki klimatycznej i ograniczaniem ruchu samochodowego. Przeciwno zakazowi wjazdu do miast dla mniej zamożnych Polaków opowiadają się z kolei m.in. politycy Konfederacji.

(jap) ©

FOT. TESSON/ANDIA/UNIVERSAL IMAGES GROUP/GETTY IMAGES





Ostatnio byliśmy świadkami prób podsumowania pandemii koronawirusa, związanych z piątą rocznicą wprowadzenia stanu epidemii w Polsce. Widzieliśmy (nieliczne) analizy właściwie tylko z jednej – krytycznej odnośnie do reakcji władz – strony. Druga strona w dyskursie o pandemii, a zwłaszcza o działaniach w trakcie jej trwania, przyjmująca oficjalne stanowisko, jakoś dziwnie zamilkła. Można podejrzewać, że ktoś jednak chce, by było „ciszej nad tą trumną”. Bo gdyby było inaczej, byłibyśmy odbiorcami świetlistych dowodów, jak to się władza z medykami starali i ile istnień te działania ocaliły.

Nic z tego. Miały być nawet raporty. Jeden na temat pandemii (obećany przez szefa GIS dr. Grzesiowskiego), drugi o sprawie najbardziej wstydlivej – obećany przez byłego już ministra Niedzielskiego – o powodach wystąpienia w czasie pandemii ponad 200 tys. zgonów ponadnormatywnych. To znaczy wyjaśnienia fenomenu odejścia tylu ludzi więcej niż w latach poprzednich, ludzi, którzy mogli żyć. Wstydlivość i także brak do dziś takiego raportu zasadzają się na porażającym fakcie, że wśród tylu zgonów jedynie niewielki procent stanowiły „zgony z powodu koronawirusa”, w dodatku nie udowodnione jako przyczynę śmierci, ale jedynie obecnego w testach. Z niezrozumiałych powodów rozpoznania choroby COVID-19 stawiano wyłącznie na podstawie zawodnych testów. Zasadą było to, że nie wymagano do rozpoznania pełnej diagnostyki lekarskiej. W związku z tym nie wiadomo, ile osób chorowało i ile zmarło na COVID-19. Kto więc, albo i co, zabił tych ludzi?

PANDEMIA TESTÓW

We wskazanych nielicznych analizach brakuje jednej, najważniejszej odpowiedzi: Czy istniały wtedy bezsporne dowody szczególnej zjadliwości wirusa, które uzasadniałyby tak wielkie obostrzenia wynikające z ogłoszenia pandemii? A były to środki niebagatelne – to, że dotyczyły zaczopowania życia gospodarczego (słynne lockdowny), społeczno-rodzinnego (kwarantanny, udział w uroczystościach, w tym religijnych i pogrzebowych, czy zamknięcie szkół i uczelni), to jedno. Ale główne zło to zapaść organizacyjna służby zdrowia, która przyczyniła się do odcięcia

Pandemia mniemana



Jerzy Karwelis

Nie mogło być pandemii niebezpiecznej choroby układu oddechowego, skoro nie wzrosła liczba zapaleń płuc, liczba przypadków ostrej niewydolności oddechowej oraz liczba wykonanych respiratoroterapii. Droga do poznania pełnej prawdy jest jeszcze długa, a zacząć ją wypada od konstatacji, że żadnej pandemii nie było, o czym mówią oficjalne dane



pacjentom dostępu do świadczeń zdrowotnych. Nierzadko dotyczyło to osób poważnie chorych. Ale przypomnijmy oficjalną narrację, która kazała tłumaczyć rzekome ofiary „pandemii” jako smutną cenę za ocalenie całej populacji. Jakiś diabełek w skórze mediaworkera ukuł nawet usprawiedliwiający termin „ciche ofiary COVID”. A w związku z tym popatrzmy, czy były jakieś powody do ogłoszenia pandemii w ogóle.

WHO zmieniała definicję pandemii. Mówiła ona, że za pandemię uważa się stan, gdy mamy do czynienia z sytuacją, „w której pojawia się nowy wirus grypy, przeciwko któremu populacja nie ma odporności, i który powoduje jednocześnie duże liczby zachorowań i wysoką śmiertelność oraz rozprzestrzenienia się globalnie”. Jednak w 2009 r. przy rozpoznaniu wariantu grypy A/H1N1 WHO zmieniała na swoich stronach internetowych definicję pandemii: „Pandemia grypy jest ogłaszana, gdy pojawia się nowy wirus grypy, który łatwo przenosi się między ludźmi i rozprzestrzenia się na całym świecie”. Dzięki tej zmianie wirus grypy A/H1N1 o niskiej śmiertelności (poniżej 0,02 proc.) może być ogłoszony za pandemię, gdyż z definicji WHO znika wymóg „wysokiej śmiertelności”. To pozwoliło nie tylko zarobić na „pandemii” kolejnego wariantu sezonowej grypy, lecz także posłużyło uzasadnieniu ogłoszenia pandemii koronawirusa. Definicja oparta jedynie na rozprzestrzenianiu, bez kryterium zjadliwości, pozwala ogłosić nawet pandemię... nieszkodliwych bakterii czy wirusów powszechnie występujących w populacji ludzkiej.

I wedle tego ogłoszono pandemię i w Polsce. Do dziś nie ma żadnych badań dokumentujących jakąś szczególnie wysoką śmiertelność z powodu wirusa powodującego COVID-19. Mieliśmy więc do czynienia nie z pandemią niebezpiecznej choroby, ale z pandemią... testów. Skoro nie był to wirus zjadliwy, to co mógł narozrabiać więcej niż sezonowe grypy? Ale – co dziwne – był to pierwszy w świecie wirus dróg oddechowych, którego występowanie badano na całym świecie w populacji rzędu miliardów ludzi. To, że sam test był wysoce zawodny i niemiernodajny, zostało już wtedy omówione, a obecnie ostatecznie udowodnione. A więc panika pandemiczna miała wyłącznie przesłanki propagandowe, oparte nie na zgonach,

lecz na słupkach zakażeń wykrywanych w wyniku wysoce wątpliwych procedur.

CZY BYŁY POWODY DO OGŁOSZENIA PANDEMII?

No dobrze, powiedzmy, że nasi decydenci spanikowali, jak reszta świata (co za cudowny fenomen!) ogłosili pandemię i pozamykali kraj oraz służbę zdrowia. Zasadność takiej decyzji sprawdza się prosto – patrzy się na skalę i wymiar objawów oraz dane z pełnej diagnostyki lekarskiej. Zjadliwość wirusa weryfikuje się zaś na podstawie poziomu zgonów. Od razu. Tego jednak nie robiono, a tylko takie działania mogły skorygować nadmiarową reakcję na wirusa, co do którego śmiertelności nie byliśmy pewni. Dane weryfikacyjne leżały na stole rządzących, bo pochodziły od nich. W szczególności takich instytucji jak Główny Inspektor Sanitarny czy Ministerstwo Zdrowia oraz Główny Urząd Statystyczny.

Popatrzmy na podstawę: COVID-19 powodował wirusową infekcję prowadzącą do zapalenia płuc. Co mówią statystyki?

Rozpoznane zapalenia płuc (dane Ministerstwa Zdrowia): rok 2018 – 528,5 tys.; rok 2019 – 445,3 tys.; rok 2020 – 299,5 tys. (Tab. 1) Pandemia zaczęła się w marcu 2020 r. i szalała przez trzy kwartały, a tu się okazuje, że skala jej przewidywanych skutków... spadła w stosunku do lat niepandemicznych o prawie 25 proc. A może źle diagnozowali? To jest całkowicie sprzeczne z powszechnie znanym mechanizmem, że jeżeli zwiększa się uwagę diagnostyczną na jakiś problem, to może to fałszywie zwiększyć wykrywalność, ale nie zmniejszyć! Mniejsza liczba przypadków zapalenia płuc całkowicie zaprzecza narzuconej narracji. A więc pójdźmy dalej – ARDS, czyli ostra niewydolność oddechowa, jako efekt ciężkiego przebiegu zapalenia płuc: Rok 2018 – 2837 przypadków; rok 2019 – 2426; feralny rok pandemiczny 2020 – 1969 przypadków. (Tab. 2) A więc spadało. Nie sposób jest założyć, że dane te mogą być wadliwe, ponieważ ARDS jest poważnym stanem pacjenta, a te ewidencjonowane są wyjątkowo skrupulatnie. Wynika z tego, że ta „pandemia” nie przyniosła zwiększenia ryzyka ciężkich zachorowań. Stan pandemii był nadal podtrzymywany.

Teraz zweryfikujmy to zgonami na choroby zakaźne: Rok 2017 – 1931 przy-

padków; rok 2018 – 1831; rok 2019 – 1675; rok 2020 – 1656. (Tab. 3) Czyli mamy szalejącą „pandemię groźnej choroby zakaźnej”, a okazuje się, że zgon z tej przyczyny wręcz... spadają. I rządzący to widzieli, bo przecież, zwłaszcza w pandemii, dane o zgonach z powodu patogenu będącego przyczyną takiego zagrożenia spływały codziennie do centrali. A więc mamy mało efektów wirusa, zgonów nim spowodowanych. Co mamy? Ano (tylko!) rosnące statystyki testów. Można to było na bieżąco weryfikować i uwzględnić w polityce epidemiologicznej, luzując obostrzenia, jednak je... zaostrzano. Nie bez – tym razem – poważnych rezultatów. Zaczęli umierać ludzie.

Z powyższych danych wynika, że nie było żadnej pandemii. Nie było żadnego powodu, dla którego trzeba było wprowadzać takie obostrzenia. Żadne dane własne na to nie wskazywały, jedyne, co było realne, to rekomendacje od WHO i panika w mediach. Realne były też wnioski ekspertów – ci są przez nas najęci przecież nie do przepisywania faksów z WHO czy tłumaczenia na polski dyrektyw CDC lub EMA (do tego wystarczy średnio biegła w AI sekretarka), ale do weryfikowania rzeczywistości wedle swojej wiedzy i doświadczenia. I – jak widać – doradzali rządzącym politykę eskalacji pandemicznej, wbrew ogólnodostępnym danym. Nie było żadnych powodów do wszczynania pandemicznej histerii i bolesnych, w tym śmiertelnych, obostrzeń. Nawet gdyby poddać się medialnej histerii – co dla naukowca jest kompletnym blamażem – to już po kilku tygodniach napływu cytowanych danych widać było gołym okiem, że interes trzeba by zwinąć. A koszty takiego zaniechania były potworne.

ALE PRZECIEŻ UMIERALI...

Przecież nasz ogląd mówi, że ludzie umierali. Widzieliśmy to nie tylko w telewizji, lecz także – tak jak nie przymierzając po drugiej wojnie światowej – trudno chyba znaleźć rodzinę w Polsce, która by nie straciła kogoś w pandemii. Jak więc ma to być możliwe, że pandemii miałyby nie być? Przecież sami widzieliśmy, że umierali. Tak – umierali, ale nie od początku pandemii, kiedy mieliśmy ratunkowe restrykcje, i nie na COVID-19, lecz z powodu zapaści służby zdrowia.

Tabela 1. Postawione rozpoznania zapalenia płuc

rok	2018	2019	2020
liczba rozpoznań	528 500	445 300	299 500

Według MZ

RYS. MART

Tabela 2. Przypadki ostrej niewydolności oddechowej

rok	2018	2019	2020
Liczba przypadków	2837	2426	1969

Według NFZ

RYS. MART

Tabela 3. Zgony z powodu wszystkich chorób zakaźnych

rok	2017	2018	2019	2020
Liczba zgonów	1931	1831	1675	1656

Według GUS

RYS. MART

Tabela 4. Zgony ogółem w miesiącach I–IX w poszczególnych latach w Polsce

rok	2017	2018	2019	2020
Liczba zgonów	301 759	309 308	306 748	300 525

Według GUS

RYS. MART

Tabela 5. Hospitalizacje (marzec–czerwiec)

rok	2018	2019	2020
Liczba hospitalizacji	12 361 028	12 399 982	9 321 589

Według MZ

RYS. MART

Tabela 6. Zgony pozaszpitalne

MIESIĄC	ROK 2019	ROK 2020
STYCZEŃ	18 318	17 439
LUTY	16 570	16 460
MARZEC	17 044	18 992
KWIECIEŃ	16 116	20 400
MAJ	15 974	18 917
CZERWIEC	15 711	17 485
LIPIEC	15 291	17 386
SIERPIEŃ	15 116	18 108
WRZESIEŃ	15 263	18 140
PAŹDZIERNIK	16 406	29 895
LISTOPAD	15 935	44 047
GRUDZIEŃ	17 803	35 537

Według MZ, dr Paweł Bosiukiewicz.

RYS. MART

Teraz statystyki z GUS. Zgony ogółem, a tych nie da się (jeszcze) oszukać. Zgony w okresie styczeń–wrzesień: rok 2017 – 301 759; 2018 – 309 308; 2019 – 306 748; pandemiczny 2020 – 300 525.

(Tab. 4) A więc znowu – mamy pandemię i... umiera nas mniej. Dane te podane są w okresie do września, bo po wrześniu nie wiadomo, dlaczego po siedmiu miesiącach pandemii bez pandemicznych efektów liczba zgonów nagle wyrzyna. Nie może być to spowodowane

charakterem wirusa, gdyż ten wylęga się w góra siedem dni – my zaś zamknięci jesteśmy od ponad siedmiu miesięcy i wirus powinien już się objawić w skali pełnej i powszechnej.

Pamiętacie te scenki z przeludnionych szpitali, ludzi wwożonych na łózkach, maski tlenowe na twarzach przerażonych pacjentów? To była prawda ekranu. A jaka była prawda czasu? Znowu dane MZ: porównanie liczby hospitalizacji w krytycznym okresie początku pan-

demii (marzec–czerwiec). Rok 2018 – 12 361 028; rok 2019 – 12 399 982; rok pandemiczny 2020 – 9 321 589.

(Tab. 5) A więc mamy pandemię, widzimy codziennie dantejskie sceny w transmisji telewizyjnej z sal szpitalnych, a okazuje się, że hospitalizacje spadły o 25 proc.! Taka to pandemia. Jeśli porównać krytyczny okres marzec–czerwiec, to liczba hospitalizacji w pandemicznym roku 2020 spadła o 36 proc. w stosunku do średniej, a w 2021 – hospitalizacja zaczyna rosnąć z 2,6 mln do 3,4 mln, ale wciąż jej daleko do średniej 4,2 mln z lat poprzednich. To wtedy władza się orientuje, że eksterminuje Polaków tą polityką, i łagodzi bariery w dostępie do lecznictwa.

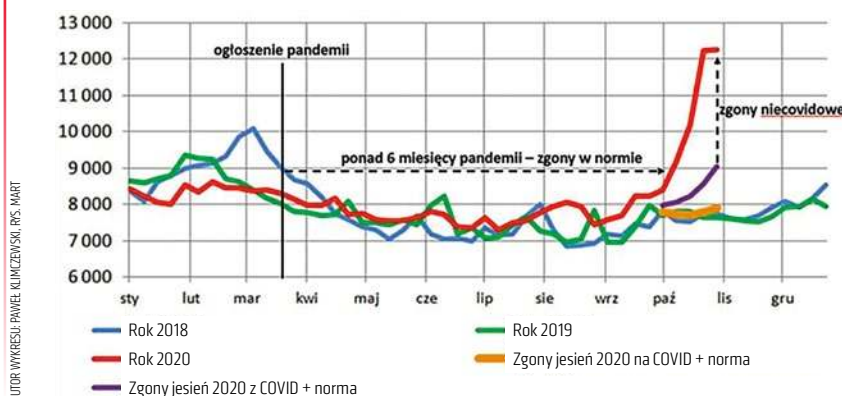
UMIERALI... W DOMACH

Jak to się stało, przecież umierali? I jak, jeśli nie w szpitalach na oddziałach covidowych? Tak, umierali, ale... w domach. Służba zdrowia wywaliła z systemu tylu ludzi z „prawdziwymi” chorobami, robiąc miejsce na puste sale covidowe, że Polacy, nieleczeni, z przerwany procedurami i odwlekany operacjami, umierali w domach nie na COVID, tylko na zapas służby zdrowia. Należy przypomnieć – te dane miała cały czas przed oczyma polska służba zdrowia, polityczni decydenci, a zwłaszcza – eksperci. Zgony pozaszpitalne: Okres marzec–wrzesień to lekki wzrost zgonów pozaszpitalnych w stosunku do roku 2019, średnio o 15 proc., ale październik to już wzrost o 82 proc.; listopad – wzrost o 176 proc.; grudzień – plus 100 proc. wzrostu zgonów w domach! (Tab. 6)

Widać ten trend na słynnym wykresie. Należy dodać, że na wykresie „zgony Z COVID” oznaczają zgony z innych przyczyn, a tylko z pozytywnym testem na COVID, „zgony NA COVID” oznaczają, że zmarły niekoniecznie zmarł NA COVID, ale miał w chwili śmierci pozytywny test.

W okresie marzec–wrzesień nic się nie dzieje. Można zamknąć pandemię, ale właśnie wtedy zaostrza się kurs – mamy zbieg czterech śmiertelnych procedur. Pierwsza to triaż na szpitalnej bramie – oddziela się tych naznaczonych (nawet bezobjawowo), których jako covidowo pozytywnych wylosowała maszyna testująca, od tych szczęściarzy, którzy mieli negatywny wynik testów. Tych pierwszych kładzie się na sali covidowej, czyli szerokiej drodze do respiratora, gdyż nie leczyło się ich

Wykres 1. Polska – zgony tygodniowo



na choroby, z którymi przyszli, a gorliwie zakażano wirusami szalejącymi po sali. Szczęśliwcy z negatywnym testem lądowali na oddziałach specjalistycznych i leczono ich z powodu ich podstawowych chorób, np. cukrzycy, zawałów serca czy udarów mózgu oraz nowotworów.

Drugi aspekt to ujednolicienie szpitali, czyli praktyczna likwidacja oddziałów specjalistycznych i przeznaczanie ich na (pustawe) oddziały covidowe, a w związku z tym odsyłanie chorych do domów, przerywanie procedur i odkładanie operacji – źródło fenomenu nagłego wzrostu śmiertelności pozaszpitalnych.

Trzeci aspekt to teleporady, które przepięły po prostu zwyczajne zapalenia płuc, które bez osłuchania przeradzały się w stany, w których już tylko kosmici mogli cię przewieźć pod respirator.

Czwarty, ostateczny czynnik to nieleczenie, łącznie z zakazem (pochodzących od jak najbardziej ekspertów i konsultantów) podawania antybiotyku tym, których można było z całą pewnością (nawet zdalnie) podejrzewać o zwyczajnie przekształcanie się wirusowej infekcji w bakteryjne zapalenie płuc.

To jest źródło tego fenomenu ponad 200 tys. ponadnormatywnych zgonów i nie trzeba do tego wielkich raportów – wystarczy tylko lektura oficjalnych danych pochodzących z rąk decydentów, którzy nie dość, że na początku pandemicznej paniki dali się uwieść hiobowej narracji, to jeszcze – co jest ich podstawowym obowiązkiem – nie weryfikowali rzetelności swoich (?) decyzji. Polska została potężnie osłabiona. Dojście do tego, czy robili to z gapiostwa, ignorancji czy dlatego, że bali się wycofać z własnych błędów, czy też z innych – powiedzmy – merkantylnych

powodów to już jest kwestia do działań aparatu sprawiedliwości.

Wiem, że może to brzmieć jak naiwna bajeczka dla dzieci, ale wszystko, co tu napisano, jest analizą oficjalnych danych, a często jest tak, że rozmiar zbrodni jest tak duży, a zwiedzionych jest tak wiele, że nikt nie wyciąga oczywistych wniosków z oficjalnych faktów. A bez tego nie da się wytłumaczyć prawdziwych efektów epidemiologicznie pozorowanej pandemii. Zbieramy je teraz jako niewytłumaczalne wzrosty różnych chorób w grupach wiekowych, których do tej pory nie dotyczyły takie problemy. Jest to wynik długu zdrowotnego nieleczenia i niediagnozowania przez okres pandemii innych chorób niż nasz wątpliwy bohater. O skutkach powzięcia przez miliardy ludzi nieprzebadanych preparatów molekularnych już nawet nie warto wspominać.

Nie mogło być pandemii niebezpiecznej choroby układu oddechowego, skoro nie wzrosła liczba zapaleń płuc, liczba przypadków ostrej niewydolności oddechowej oraz liczba wykonanych respiratoroterapii (wraz z wentylacją mechaniczną). Narzuconej narracji przeczą również dane dotyczące zgonów ogółem, zgonów z powodu chorób zakaźnych i liczba hospitalizacji. Spójne z tym zaprzeczeniem pandemii są również dane dotyczące liczby wykonanych badań obrazowych płuc oraz aktywności pogotowia ratunkowego. Dodatkowym argumentem wiarygodności tych danych jest ich całkowita spójność. Droga do poznania pełnej prawdy jest jeszcze długa, a zacząć ją wypada od dowodnej konstatacji, że żadnej pandemii nie było, o czym mówią oficjalne dane. Bez tego będziemy krążyć jak dzieci we mgłę z fiolką testów PCR w ręku. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Semka

Jeszcze nigdy wcześniej żaden szef rządu nie zaangażował się tak dalece w akcję zwalczania jednego z kandydatów w wyborach prezydenckich. Jaki jest udział Donalda Tuska w operacji skierowanej przeciwko Karolowi Nawrockiemu?

Lider Platformy i obecny premier jest autorem niechlubnego precedensu w dziejach Polski po 1989 r. Jeszcze nigdy wcześniej żaden szef rządu nie zaangażował się tak dalece w akcję zwalczania jednego z kandydatów w wyborach prezydenckich. Nigdy też wcześniej żaden premier nie zapowiadał pojawienia się w mediach materiałów mających skompromitować kandydata prezydenckiego. Warto prześledzić udział Donalda Tuska w operacji skierowanej przeciwko Karolowi Nawrockiemu.

WIEM, ALE NIE POWIEM

„Mamy pierwszy raz w historii Polski sytuację, w której na urząd prezydenta kandyduje człowiek, który nie ukrywa, bo nie jest w stanie ukryć, bezpośrednich związków ze światem przestępczym”.

Te słowa padły w studiu TVN24 w rozmowie, którą prowadził Piotr Kraśko. Tusk zaznaczył: „Te najbliższe dni, tam będą kolejne zaskoczenia”. Kraśko zapytał: „Pan ma informacje, które się pojawią?” „Tak” – odparł premier. I dodał: „Będą kolejne informacje, które będą pokazywały, na czym polega ta stawka (wyborów)”. I dalej: „Otwórzcie szeroko oczy. Słuchajcie, co mówią ludzie. Mówią to od dłuższego czasu”.

Tak się zaczęła sekwencja wydarzeń, która wygląda na bardzo starannie zaplanowaną operację medialną, mającą podciąć nogi Karolowi Nawrockiemu i odebrać mu szanse na zwycięstwo w wyborach.

Tusk, zapowiadając pojawienie się informacji, antycypował ogłoszenie w poniedziałek 26 maja materiału na portalu Onet



Montaż Tuska

Idąc do Polsatu, Donald Tusk nie przewidział, że prowadzący wywiad Bogdan Rymanowski potrafi tak sprawnie rozmontować linię ataku premiera na kandydata opozycji

FOT. POLSAT NEWS

wypuścił do Internetu nagrania z uroczego wieczoru przy piwie, wiedząc, że zbulwersuje to prawicę.

To było w sobotę 24 maja, a na niedzielę 25 maja zaplanowany był wielki marsz zwolenników Rafała Trzaskowskiego w Warszawie. Demonstracja, w którą zaangażowano wielkie sumy na dowóz członków PO z całego kraju i którą z góry można było uznać za silny punkt kampanii.

Trudno więc uciec od wrażenia, że sztab Trzaskowskiego przewidział sekwencję wydarzeń: debata z Mentzenem, piwo z Mentzenem, potem masowy pochód z przemową Trzaskowskiego i następnego dnia – 26 maja w poniedziałek – decydujący cios, czyli materiał, który pozwoliłby ostatecznie zaetykietować rywala jako „gangusa”. Ale sztab przewidywał jeszcze kolejny etap. Natychmiastowe wezwanie po rewelacjach Onetu do wystąpienia Nawrockiego do sądu w trybie wyborczym bądź wezwanie do przyznania się do przestępczej przeszłości. Sztabowcy Trzaskowskiego byli pewni, że wniosek, który mógłby złożyć Nawrocki, będzie odrzucony z przyczyn formalnych. Jak twierdzi polityk PiS Przemysław Czarnek, za pomocą wpływów Platformy w środowisku sędziowskim przygotowany miał być już zestaw sędziów składających się z sympatyków lustracji.

CHYBIONY CIOS TUSKA

Aby szantaż wobec Nawrockiego wybrzmiał odpowiednio silnie, musiał go sformułować ktoś naprawdę ważny. I roli tej najwyraźniej podjął się Donald Tusk, który na dodatek wybrał na miejsce wywiadu nie utożsamianą wprost z Platformą telewizję publiczną, ale Polsat. Stację, która w opinii wielu Polaków zachowuje większą niezależność wobec aparatu propagandowego Platformy.

Plan Tuska był taki: potwierdzić swoim autorytetem premiera sensację ogłoszoną przez portal Onet, a następnie zgłosić Nawrockiego do opowiedzenia się: albo sąd, albo przyznanie się do winy.

Kolejnym etapem intrygi – jak się zdaje – miało być odrzucenie przez sąd wniosku Nawrockiego, co dałoby asumpt do rozpisanego na cały chór ogłoszenia Polakom, że Nawrocki przegrał w sądzie rozprawę mającą udowodnić jego niewinność. Oczywiście

tytuły medialne zakłamywałyby rzeczywisty stan rzeczy, bo sąd mógł co najwyżej odrzucić wniosek z przyczyn formalnych. Jednak sztabowcy Trzaskowskiego dobrze pamiętali, że w podobny sposób media sprzyjające PO zdeprecjonowały w wyborach jesienią 2023 r. dwóch polityków PiS – Dariusza Mateckiego i Daniela Obajtka – którzy też poczuli się zniesławieni przez portal Onet i złożyli wnioski do sądu w trybie wyborczym, co sąd odrzucił z przyczyn formalnych, ale tytuły prasowe ogłaszały ich porażkę w procesie.

Tusk wybrał Polsat jako bardziej wiarogodny, ale nie przewidział, że prowadzący wywiad Bogdan Rymanowski potrafi tak sprawnie rozmontować linię ataku premiera na kandydata opozycji. Tusk próbował używać omówieniowego języka insynuacji, powtarzając określenia typu „całe Wybrzeże o tym huczy” czy „wszyscy o tym wiemy”. Rymanowski skontrolował ten obły język bardzo rzeczowym pytaniem o to, czy kiedykolwiek jakiś sąd uznał Karola Nawrockiego winnym jakiegokolwiek przestępstwa. Wtedy lider PO został zmuszony do wycofania się i nawet przyznania, że „nigdy nie twierdził, że Nawrocki jest przestępcą”.

Drugą kontrolę wobec insynuacji Tuska podjął Rymanowski, pytając, jak to się stało, że Nawrocki był trzykrotnie badany przez ABW przed uzyskaniem certyfikatu bezpieczeństwa i uzyskiwał świadectwo moralności. Rymanowski przypomniał, że pierwsze badania, czyli te, które najbliższe były czasowo insynuowanemu Nawrockiemu przestępstwu, były przeprowadzane w okresie rządów Platformy i osobiście za premierostwa Donalda Tuska. Zmieszany szef Rady Ministrów postawił tezę, że musieli zawieźć ci funkcjonariusze ABW, którzy pracowali przy wywiadzie środowiskowym.

SKĄD PAN TO WIE?

Kolejny raz Rymanowski pokazał, że poważnie traktuje swój zawód, gdy zapytał, na jakim podstawie formułowane są oskarżenia o rzekome сутенерство Nawrockiego. Przypomnieć wypada w tym momencie, że poranny artykuł Onetu powoływał się jedynie na dwa anonimowe źródła, co znacznie obniżało wiarygodność tekstu. Można przypuszczać, że Tusk uznał, iż powołując się na anonimowych świadków, sam się ośmieszy,

oskarżającego Nawrockiego o pełnienie roli сутенера w sopockim Grand Hotelu.

Pojawienie się sensacji Onetu akurat 26 maja dobrze pasowało do kalendarza kampanii Trzaskowskiego. Jego sztab wiedział, że w sobotę 24 maja Trzaskowski będzie gościem Sławomira Mentzena na kanale YouTube lidera Konfederacji. Trzaskowski wiedział też zapewne o przygotowaniach Radosława Sikorskiego do ściągnięcia Mentzena na piwo do jego pubu. Jak inaczej niż przygotowaniem do ustawki można wytłumaczyć fakt, że Sikorski specjalnie przyjechał do Torunia w dniu, w którym Trzaskowski miał udzielić wywiadu? To Sikorski

■ i zaskoczony pytaniem Rymanowskiego podał nazwisko Jacka Murańskiego, przedstawiając go jako postać znaną i aktora. I tą podjętą w chwili dekoncentracji decyzją Tusk w dużej mierze pogrzebał cały misterny plan.

Prawdopodobnie skutek braku czasu Tusk nie przestudiował dokładnie tekstu w Onecie autorstwa Andrzeja Stankiewicza i Jacka Harłukiewicza oraz nie wiedział, że ich materiał nie odnosi się do postaci Murańskiego. Co więcej, powołał się przez Tuska na Jacka Murańskiego – osobę skazaną za porwanie i tortury, podejrzaną o handel kobietami – skompromitowało premiera rządu. Dowodem na to, jak bardzo występ Tuska w Polsce był porażką, była konsternacja polityków z jego partii. Jacek Nizinkiewicz, dziennikarz polityczny „Rzeczpospolitej”, czyli pisma sprzyjającego Tusкови, tak opisywał następnego dnia próby użyskania jakiegokolwiek komentarza na temat występu szefa: „– Nie oglądałem, nic nie wiem – mówili posłowie Koalicji Obywatelskiej pytani przeze mnie o ocenę wywiadu premiera Donalda Tuska dla Polsat News. Nikt z podwładnych szefa Platformy Obywatelskiej nie chciał krytykować szefa. Woleli udać, że nie znają tematu, którym politycznie żyła Polska przez ponad 24 godziny”.

Natomiast po wywiadzie rozpoczął się kolejny etap całej sprawy. Tusk zadeklarował w rozmowie z Rymanowskim, że zawiedli szeregowi funkcjonariusze, aby usprawiedliwić to, że Nawrocki otrzymał certyfikat bezpieczeństwa za jego rządów. Skoro premier tak orzekł, to trzeba było natychmiast „zalegalizować” jakoś tę karkołomną tezę.

Nic więc dziwnego, że następnego dnia, 27 maja, Tusk na X lekko zmienił wersję wydarzeń: „Badający sprawę Nawrockiego gdański funkcjonariusz ABW w 2021 roku wydał negatywną opinię, ale pisowskie szefostwo Agencji z nieznanых powodów jej nie uwzględniło. Ówczesny szef ABW jest dziś doradcą prezydenta Dudy”.

Jak echo potwierdzające to, co ogłosił „szef”, tego samego dnia głos zabrał obecny rzecznik ABW Jacek Dobrzyński. „Wobec licznych zapytań mediów potwierdzam informację, że ABW w toku poszerzonego postępowania sprawdzającego pana Karola Nawrockiego

w 2021 roku zgromadziła materiały dotyczące sposobu sfinansowania zakupu mieszkania od Jerzego Rz. Dysponujący całością wiedzy, w tym m.in. na temat negatywnej rekomendacji funkcjonariusza analizującego akta postępowania, ówczesny szef ABW Krzysztof Waćławek (obecny doradca prezydenta RP) podjął decyzję o wydaniu Karolowi Nawrockiemu poświadczenia bezpieczeństwa”.

POMYLENIE Z POPLĄTANIEM

Na nieszczęście dla Tuska i Dobrzyńskiego jeszcze tego samego dnia ich wersję zanegował Krzysztof Waćławek. Wskazał, że Tusk mija się z prawdą. Przypomniał, że w 2021 r. postępowanie sprawdzające prowadził Departament Ochrony Informacji Niejawnych ABW w Warszawie, a nie delegatura ABW w Gdańsku.

Waćławek podkreślił: „W związku z tym żaden »gdański funkcjonariusz ABW« nie mógł wydać negatywnej opinii w zakresie tego postępowania, gdyż zostało ono rzetelnie i zgodnie z obowiązującymi przepisami przeprowadzone w Warszawie”.

I znów Tuska zgubiły pośpiech i brak cierpliwości do zbadania sprawy. Można zrekonstruować cykl zdarzeń: Tusk, maskując swoje zmieszanie z wizyty u Rymanowskiego, zdecydował się na ucieczkę do przodu, wymyślając teorię o uczciwym gdańskim funkcjonariuszu ABW i kryjącym swoich, czyli w tym wypadku Nawrockiego, PiS-owskim nominacie. Jednak Tusk popełnił błąd, bo założył zupełnie bez podstaw, że sprawę najpierw sprawdzano na niskim szczeblu w Gdańsku, a potem dopiero zatwierdził ją w Warszawie szef ABW. Tymczasem było inaczej. I Krzysztof Waćławek miał okazję wytknąć Tusкови kłamstwo.

Powołanie się przez Tuska na Murańskiego skompromitowało zresztą całą intrygę. Ujawniło ono jednocześnie, że to nie Nawrocki ma wciąż żywe kontakty z półświatkiem kręcącym się wokół społeczności kibiców w Gdańsku, lecz właśnie Tusk. W sieci pojawiło się zdjęcie Tuska razem z synem Murańskiego, Mateuszem. Kropkę nad i całej sprawy postawił poseł PiS Jerzy Polaczek. Na X napisał on: „Jako historycznie pierwszy w 1998 roku sejmowy sprawozdawca Ustawy o Ochronie Informacji Niejaw-

nych – pragnę poinformować pana premiera Donalda Tuska, iż upublicznianie informacji z postępowania sprawdzającego osoby sprawdzanej jest przestępstwem ściganym z urzędu”.

W teorii złamanie prawa przez Tuska już powinno skutkować rozpoczęciem postępowania prokuratorskiego. Ale oczywiście w warunkach „demokracji walczącej” prokuratura zarządzana przez Adama Bodnara – jak można podejrzewać – nic Tusкови nie zrobi. Nie zmienia to faktu, że lider PO musi mieć nieprzyjemną świadomość, że kwestia jego wpisu może w przyszłości powrócić, i to w bardzo nieprzyjemnej dla niego formie.

WYBORCZA ZACHCIANKA

We wszystkich krajach o dużej kulturze procedur chroniących państwo przed obcymi wywiadami kwestia manipulowania wiedzą uzyskaną w procedurach sprawdzających jest traktowana bardzo poważnie. Wyniki takich kwerend muszą pozostawać ściśle tajne, żeby były miarodajne. Jeśli jednak rządząca partia wykorzystuje te tajne dane do bieżącej walki politycznej przeciw rywalom, to ginie cała powaga procedury. Nikt z przyszłych wywiadowanych nie będzie w stanie odpędzić od siebie obawy, że jeżeli szczerze wyjaśni wszelkie drażliwe elementy ze swojej przeszłości, to może być zaatakowany przez propagandę partii, która akurat będzie u władzy i będzie miała dostęp do jego akt.

Jeśli więc uznać oskarżenia PiS, że cała sprawa kawalerki Nawrockiego zaczęła się od uzyskania przez sztabowców Trzaskowskiego dostępu do akt ABW, można powiedzieć, że Platforma bardzo poważnie zagroziła bezpieczeństwu państwa. We wszystkich dojrzałych demokracjach kwestia obrony przed zagrożeniem agenturalnym ze strony obcych mocarstw jest traktowana serio i wyłącza się ją z bieżącej nawałanki politycznej. Wiele wskazuje na to, że Platforma całkowicie to zlekceważyła. A teraz, aby ukryć jedno sprzeniewierzenie się zasadom, musi multiplikować kolejne kłamstwa. I fastryga tej intrygi zaczyna być coraz wyraźniej widoczna. A polityczną odpowiedzialność za cały ten montaż ponosić będzie nie kto inny, jak Donald Tusk.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Żaden z napuszonych „autorytetów” nie przyjął do wiadomości, że zastępowanie prób zrozumienia elektoratu obrażaniem go i budowaniem sobie wyższościowych urojeń: „Nie zagłosowali na Rafała, bo jest dla tych prymitywów za dobry, zbyt wykształcony i kulturalny, nienawidzą go za to” jest przeciwnie skuteczne. Transparent zwolenników Rafała Trzaskowskiego podczas Wielkiego Marszu Patriotów w Warszawie, 25 maja 2025 r. FOT. DANIEL MRÓZ/FORUM

Niereformowalna udecja



Rafał A. Ziemkiewicz

Donald Tusk swe największe sukcesy zawdzięczał temu, że w pewnym momencie, wbiwszy nóż w plecy Bronisławowi Geremekowi, zerwał z jego inteligenckim przemądrzałym paplaniem i na długie lata przyjął wizerunek drobnego cwaniaczka. Potem się to jednak zmieniło

W swoim przekonaniu – pomagają. Ale gdyby nawet po tylu latach i po tylu przegranych kampaniach wyborczych, w które angażowali się, jak umieli, dotarło do nich, że ta ich pomoc przynosi obozowi, który wspierają, szkody – nie przestaliby. Potrzeba politycznego zaangażowania „w sprawy publiczne” i sposób tego zaangażowania są zbyt głęboko zakodowane w ich tożsamości, w kulturowym DNA.

O kim mowa? Różnie ich nazywamy: udecją (od skrótu nazwy Unii Demokratycznej, zapomnianej już dziś partii z początków III RP), michnikowszczyzną, salonem, intelektualistami czy elitami intelektualnymi – te dwa ostatnie określenia biorąc w ironiczny cudzysłów. Mowa o nieodmiennie takim samym i tak samo realizowanym wsparciu, którego udzielają oni politycznej emanacji lewicowo-liberalnych salonów, jakkolwiek się ona w danym momencie nazywa – Unia Wolności, SLD, Lewica i Demokraci czy

■ PO. Wsparciu polegającym na użyciu swego autorytetu (delikatnie mówiąc, notorycznie przecenianego) do rugania polskiego społeczeństwa, zawstydzania i zmuszania w ten sposób, by zagłosowało na właściwą partię, ponieważ jest to partia ludzi oświeconych i szlachetnych, przeciwstawiająca się złu – populizmowi, faszyzmowi, rasizmowi etc.

„W tej chwili, przed II turą, sytuacja jest zero-jedynkowa. Albo demokracja, albo faszysta. Kto nie wie, kogo wybrać, ten jest po prostu głupi. (Obrażając się, głupcy, na mnie to nie działa)”. To prof. Wojciech Sadurski.

„Głosowanie na Nawrockiego w II turze nie jest głupotą, naiwnością czy niekompetencją. Jest po prostu czymś niemoralnym – jak oszustwo na wnuczka, kradzież w sklepie albo kopnięcie psa. Te wybory to test poziomu etycznego Polaków”. „Sutenerzy, psychopaci, gangsterzy i zwykłe bydlęta piorące się po mordach w sejmowym barze – czy 1 czerwca oddadzą im Polskę debile, faszysci i nieuki, do spółki z bigotkami? Nie pozwolimy!”. To prof. Jan Hartman.

„Nie dajcie się zwieść. Wybór jest prosty: sprowadza się do tego, po której stronie stodoły w Jedwabnem staniesz. Czy z jej podpalaczami, dobijającymi ofiary siekierami i widłami? Czy może po stronie Antoniny Wyrzykowskiej, która ratowała Żydów, za co musiała uciec z miasta”. A to znowu prof. Michał Bilewicz.

Więcej? (Czy raczej – jak to piszą zwolennicy prawicy w Internecie – „wincyj”?). Można cytować bez końca, co jeden autorytet – to lepszy. Ot, dorzućmy jeszcze prorządową agitację prof. Radosława Markowskiego: „Mamy jednego kandydata popieranego przez ciężko pracującą Polskę, która przyczynia się do PKB, która ma sukcesy. I z drugiej strony jest Polska, która czeka na transfery budżetowe, która sobie nie radzi”. Słowa przywodzące na myśl starą francuską komedię z Louisem de Funèsem. Profesor Markowski (socjolog!) sprawia wrażenie, jakby – tak właśnie jak bohater owego filmu – przeleżał zamrożony w jakimś lodowcu od połowy lat 90. i nie zauważając wszystkich przemian społecznych, które zaszły przez ostatnie 30 lat, nadal „spinował” według ówczesnych wzorców plan Balcerowicza. Kto jest „za reformami”, ten może się uważać

za godnego szacunku, za człowieka sukcesu, pracowitego i zaradnego, a reszta to popeeerska hołota i patologia, która powinna jak najszybciej wymrzeć, a przynajmniej schować się gdzieś głęboko, bo robi nam obciach przed Europą.

BUNT DOŁÓW

Właśnie taka postawa salonów, która przekładała się na jednogłośnie dyskurs mediów, doprowadziła społeczne doły do desperacji i w końcu buntu. Najpierw sygnalizowanego w kolejnych wyborach, a gdy sygnały były przez elity konsekwentnie ignorowane, zrealizowanego ostatecznie poprzez wyniesienie do władzy Samoobrony i LPR i w roku 2015 poprzez udzielenie miażdżącego wyborczego poparcia PiS. Ale żaden z wyżej wymienionych ani z tłumu podobnych im napuszonych „autorytetów” nie zechciał dotąd przyjąć do wiadomości, że zastępowanie prób zrozumienia elektoratu obrażaniem go i budowaniem

moralnej dominacji jedynie słusznej formacji. W końcu uległ temu dyskursowi i włączył się w niego sam Donald Tusk, który przecież swe największe sukcesy zawdzięczał właśnie temu, że w pewnym momencie, wbiwszy nóż w plecy Bronisławowi Geremkowi, zerwał z jego inteligenckim przemądrzałym paplaniem i na długie lata przyjął wizerunek drobnego cwaniaczka: do kitu z „etosem”, ciągnijmy kasę z Unii, nie podskakujmy Niemcom, to będą nam budować autostrady, a o tym Smoleńsku to lepiej zapomnijmy, bo „Rosji przecież wojny nie wypowiemy”. Dopiero po powrocie z Brukseli okazało się, że była to kreacja, bo w głębi duszy Tusk też jest, a w każdym razie chce być, inteligentem, a to znaczy – człowiekiem, który ma odwagę powiedzieć plebsowi, gdzie jego miejsce.

W ten sposób pasmo sukcesów Tuska się skończyło. Po ośmiu latach rządów PiS – mimo ogarniającego Polaków zmęczenia siermiężnością władzy, jej ciągłym

Tylko dzięki gwiazdorowi z TVN i stworzeniu przez niego pozoru „nowej siły politycznej” udało się niezadowolonych z ośmioletnich rządów PiS przyciągnąć masowo do urn

sobie wyższościowych urojeń – „Nie zagłosowali na Rafała, bo jest dla tych prymitywów za dobry, zbyt wykształcony i kulturalny, nienawidzą go za to” – jest przeciwnie skuteczne.

Po wygranej PiS dwóch lewicowych socjologów, Maciej Gdula i Przemysław Sadura, napisało rzetelną, przenikliwą książkę analizującą na podstawie badań przyczyny takiego, a nie innego wyniku wyborów. Mimo że autorzy należeli do tego samego salonu i pisali z pozycji życzliwych wobec zakwestionowanych w 2015 r. elit, te ostatnie całkowicie ich ustalenia wyparły i zignorowały. Przez osiem lat we wszystkich niezliczonych dyskusjach organizowanych przez środowiska naukowe, prawnicze czy artystyczne królowały niepodzielnie wciąż ten sam pełen wyższości ton potępienia dla „hołoty kupionej za pińścet” i licytowanie się, kto ją mocniej w swej wypowiedzi skopie, sponiewiera i wychłostuje za okazywaną niezdolność uznania

konfliktem z Unią Europejską, brakiem sprawczości, niezdolnością przyznania się błędów, mimo ciągłej medialnej kanonady oskarżeń, które dzisiaj okazują się jedno po drugim wysane z palca, ale wtedy w nie wierzono – Platforma Obywatelska Tuska, coraz bardziej przypominająca dawną Unię Wolności Bronisława Geremki, z której wyszła, nie zdołała przebić żelaznego sufitu swego twardego elektoratu. Cotygodniowe wywiady Agnieszki Holland, mobilizacja oświeconych wokół moralnego obowiązku ujmowania się o krzywdę prześladowanych przez pisowski reżim „uchodźców”, odwołujące się do najwyższych diapazonów „dzieła sztuki”, na różne sposoby trawestujące motyw zatrzymywanych przez straż graniczną Maryi z Józefem i małym Jezusem, krzyża wpisanego w swastykę czy noża z profilem Jarosława Kaczyńskiego – nie podniosły notowań partii ani o włos. Tylko dzięki gwiazdorowi z TVN i stworzeniu przez niego pozoru „nowej siły politycznej”

udało się niezadowolonych z ośmioletnich rządów PiS przyciągnąć masowo do urn.

„SYMETRYSTA” NIE WYTRZYMAŁ

Jakaś refleksja, wnioski? Nie w kręgach intelektualnych. Jeśli ludzie źle głosują – to dlatego, że są głupi i niemożliwi. A skoro lata ciężkiej chłosty coraz mocniejszymi obelgami nie dają rezultatu i nadal „nie dorastają do demokracji” (jak przywoływany tu już Geremek skomentował klęskę Tadeusza Mazowieckiego w roku 1990), to należałoby w ogóle im prawo głosu odebrać.

Jeszcze raz przytoczmy wypowiedź socjologa Radosława Markowskiego, kierownika Centrum Studiów nad Demokracją (!), u redaktor Doroty Wysockiej-Schnepf w „odzyskanej” TVP Info w nieustającej likwidacji. „Ten pomysł, żeby demos rządził, nie jest najlepszym pomysłem. Jest dobrym pomysłem tam, gdzie demos jest wykształcony, jak np. w Skandynawii, gdzie na stole można kłaść ekspertyzy”. Można krócej: „Demokracja nie jest dla polskiej ciemnoty”, ale tak też wszystko jest jasne.

Tu już nie wytrzymał nawet należący do Agory portal Gazeta.pl, przywołując Markowskiego do opamiętania – fakt, że piórem demonstracyjnie i od dawna odrzucanego przez salony „symetrysty” Grzegorza Sroczyńskiego: „Demos w Skandynawii, Szanowny Panie Profesorze, wybiera Szwedzkich Demokratów i Partię Finów – mają one po 20 procent. Innymi słowy, poparcie dla skrajnej prawicy jest tam podobne jak teraz u nas (Konfalia plus Braun). Pan poczyta sobie, co te partie wybrane przez wykształconych Skandynawów mówią o imigrantach. Braun niech się schowa. Jednak to u nas nie jest najlepszym pomysłem, żeby demos rządził. Co w zamian? Zapewne oświecona dyktatura z Markowskim jako co najmniej ministrem (najlepiej policji i edukacji równocześnie), który napisze wspaniałe programy dla obozów reedukacji, gdzie czerni wreszcie zrozumie (jeśli owe obozy przeżyje), jak głosować tak, żeby Markowski mógł demokrację im ziszczyć”.

Tytuł tekstu, w którym Sroczyński odnosi się także do innych przywoływanych tu medialnych autorytetów rządzącego establishmentu, jest dość emocjonalny: „Co wyborców PiS mobilizuje, żeby pokazać wam wałęsę? Pomyślcie”. Przy czym owo tytułowe „pomyślcie” jest

w tekście rozwinięte jeszcze mocniej, cytatem z „Dnia świra” Marka Koterskiego: „Jak można tak bardzo nie znać własnego społeczeństwa [...], bredzić o pogromach, otepiałym demosie i ogólnej ćwokowatości prowincji [...]. Może warto spróbować cokolwiek rozumieć, zamiast moralizować i wypływać emocje? Ileż razy można następować na te same grabisze? Kumacie to czy macie za daleko do łepetyny?”.

Trudno się dziwić pasji szczerego lewicowca, ale trudno też robić mu jakiegokolwiek nadzieje. W zasobie ludowych mądrości niemal wszystkich kultur i krajów powtarza się opowiadana na różne sposoby bajka – u nas jej bohaterką jest żmija, w podaniach bardziej znanych, bo upowszechnionych poprzez amerykańską popkulturę, skorpion. Na pewno Państwo to znają: zwierzęta uciekają przed pożarem za rzekę, skorpion nie może jej przepłynąć, lituje się nad nim i zabiera go na plecy małpa. Skorpion na środku rzeki żądli ją, a ta, umierając, pyta zdumioną: „Przecież ty też teraz zginiesz. Dlaczego to zrobiłeś?”. A skorpion na to: „Bo jestem skorpionem, inaczej nie umiem”.

Otóż taka musiałaby być odpowiedź dla Sroczyńskiego wszystkich, których pyta, czy nie mają aby za daleko do łepetyny – gdyby w ogóle taką odpowiedź otrzymał. My „nie możemy być obojętni”; jesteśmy inteligentami, intelektualistami, przewodnikami narodu, chłostanie go, pouczanie i rzucanie gromów z wyżyn moralności i etyki to nasz obowiązek, nasza pasja i nasza jedyna racja istnienia. Bo – jak to ujął Witold Gombrowicz w „Ferdynandzie” – racją istnienia „państwa” jest „chamstwo”. Bez chłostania „chamstwa” „pan” nie jest panem.

ZA CZYIM GŁOSEM PÓJDZIE „CHAM”?

A jeśli chamstwo się zbuntuje, to jest jeszcze jedna droga ucieczki – w pełne wyższości poczucie moralnego zwycięstwa, tej szczególnej, specyficznie polskiej satysfakcji z klęski, która sama w sobie jest dowodem słuszności i moralnej wyższości. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy autor Gazety.pl próbował po raz enty wytlumaczyć intelektualistom, że tylko zachęcają wyborców, żeby „pokazali wałęsę” elitom, i wyperswadować im, żeby się wreszcie przygłębili choćby ze względów taktycznych, drugi portal Agory – Wyborcza.pl

– publikował rozdzierające listy poruszonych wynikiem I tury czcigodnych nestorów. Jeśli czytelnik ma pod ręką starą piosenkę Bohdana Smolonia „Za oknami świta, widać, że rozkwita”, to proszę ją puścić, będzie bardzo konwiniować ze słowami Stanisława Brejdyganta:

„Polska, co było wielkim darem losu, znalazła się w wielkim obronnym sojuszu państw Zachodu, w NATO i w błogosławionym organizmie ponadnarodowym, w Unii Europejskiej... Przecież, na miłość boską, nie można tego nie widzieć, że mając u steru państwa tak mocne indywidualności jak obecny premier, który przewodził Unii, Donald Tusk, podziwiany za swe zdolności i dokonania dyplomatyczne minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski i wreszcie – oby wybrany, bo jeśli nie, to cała nasza pozycja upada – znany w gronie przywódców prezydent Rafał Trzaskowski, że mając takich ludzi w kierownictwie Unii, moglibyśmy mieć rzeczywisty wpływ na los Europy, a zatem na nasz – zrozumcie ludzie wreszcie! – na nasz los!”.

Wtórę mu Witold Liliental: „Brunatnieje nasza Polska. Radio Maryja, później także telewizja Trwam, od lat sączą antysemityzm. Na tzw. Marszu Niepodległości pojawiają banery z hasłami rasistowskimi, skandowane są skandaliczne hasła. Od czasu masowego wejścia w życie telefonów komórkowych i innych form mediów społecznościowych powszechne stało się stosowanie hejtu wobec ludzi, grup i całych nacji. Przerazające jest to, że tak duża część społeczeństwa poparła skrajną prawicę, niezrozumiałe, że wybryki i wypowiedzi europosła Brauna znajdują tyłu chętnych słuchaczy [...]. Nie mniej przerazające jest to, że młodzież tak licznie poparła Konfederację”.

Nie chcę się naśmiewać z tych dusznych boleści ludzi, którzy mają już pod dziesięćdziesiątkę – ale właśnie szacunek dla wieku nakazywałby ich raczej nie nagłaśniać. Salon, wręcz przeciwnie, wywija nimi do ostatniego tchnienia, a i później, jak pokazało wiele przykładów, wywijać nie przestanie. W głębokim przekonaniu, że tylekroć zawstydzany, upokarzany, poniżany i przeklinany „cham” wreszcie zrozumie i pójdzie za głosem światłych elit.

Poszedł? Państwo już wiedzą. Ja, pisząc te słowa, tylko się domyślałem.



Z Krzysztofem Bosakiem, wicemarszałkiem Sejmu, prezesem Ruchu Narodowego, jednym z liderów Konfederacji rozmawia Ryszard Gromadzki

Chodzi o suwerenność

RYSZARD GROMADZKI: Rozmawiamy, nie znając jeszcze oficjalnych wyników II tury wyborów prezydenckich. Pan wielokrotnie przestrzegał przed wyborem Rafała Trzaskowskiego na prezydenta, argumentując, że byłoby to zagrożenie dla suwerenności Polski

KRZYSZTOF BOSAK: Wybór Rafała Trzaskowskiego oznaczałby monowładzę obozu Donalda Tuska. Zwolnienie wszelkich hamulców i ograniczeń, jeżeli chodzi o zmiany prowadzone w duchu realizacji programu eurocentralizmu, lewicowego progresywizmu, ograniczania swobód obywatelskich w imię rzekomego postępu. Myślę, że jest to zagrożenie

i dla stabilności ustrojowej państwa, dla jego porządku prawno-instytucjonalnego – co pokazały już działania rządu Donalda Tuska – i dla tego, co zostało z naszej suwerenności. Wybór Trzaskowskiego otwierałby drogę do dalszego jej uszczuplania.

Dalszego uszczuplania czy doprowadzenia Polski do realnej abdykacji z suwerenności?

Abdykacja sugeruje jakiś jeden akt, który zmienia stan rzeczy. Mamy do czynienia z procesem dużo bardziej złożonym. Widzimy ograniczanie suwerenności państw europejskich metodą salami.

Stopniowego odkrajania kolejnych kompetencji, często bez podstawy traktatowej, poprzez rozszerzanie władztwa instytucji unijnych. Wymyślanie powodów i podstaw do tworzenia różnych nowych mechanizmów. Oczywiście prezydent, używając prawa weta czy samego ustrojowego wpływu na działanie rządu, może temu procesowi stawiać pewne granice. Natomiast prezydent, który temu sprzyja, może uruchomić w rządzie tendencje do dalszego ograniczania suwerenności. Moim zdaniem jest to proces płynny, który bez pojedynczego aktu formalnej abdykacji może doprowadzić do wydrążenia

nie odbywać, ale będzie miała coraz mniejsze znaczenie.

Ten proces już zaszedł, tzn. parlament zajmuje się bezmyślnym zatwierdzaniem tzw. prawa powielaczowego, czyli prawa Unii Europejskiej. Reszta aktywności legislacyjnej to zatwierdzanie prawa, które przychodzi z rządu. Na palcach dwóch rąk policzyć można projekty, które rzeczywiście wyszły od posłów przez ostatnie dwa lata pracy Sejmu. Więc można powiedzieć, że już w tej chwili parlament ma atrapowe znaczenie. Co gorsza, jest to parlament reprezentujący państwo, które ma znacząco ograniczone kompetencje w sferze aktywności legislacyjnej, żeby nie popaść w sprzeczność z naszym „nadsuwerenem brukselskim”. Legislatorzy przyzwyczaili się tak manewrować, żeby wyprzedzając rozpoznawać oczekiwania „rządu brukselskiego” i łagodnie się do nich dostosowywać. W mojej opinii jest to proces nie do końca opisany przed społeczeństwem. Oczywiście jego pełny opis nie leży w interesie polityków wiodących partii, dlatego że oni chcą sprawiać wrażenie przed społeczeństwem, iż to oni decydują. Jest wprost odwrotnie.

Kilka dni przed wyborami ogłosił pan publicznie, że w II turze odda głos na Karola Nawrockiego. Jakie ma pan oczekiwania wobec jego prezydentury, gdyby Nawrocki wygrał?

Mówiłem, że będę głosował przeciw Rafałowi Trzaskowskiemu. Poparcia wprost Karolowi Nawrockiemu nie udzieliłem, ponieważ, po pierwsze, był kandydatem PiS, czyli konkurującym z Konfederacją obozu politycznego. Po drugie dlatego, że sztabowcy PiS nigdy o takie poparcie nie poprosili. Natomiast faktem jest, że miałem przyjemność poznać dr. Nawrockiego z dobrej strony. Mogę powiedzieć, że to wszystko, co można było o nim usłyszeć w finale kampanii prezydenckiej, kontrastuje z człowiekiem, którego poznałem. Być może nie uwierzyłbym, że to ta sama osoba, gdybym nie poznał go wcześniej. Oczekuję od Nawrockiego dobrego wykonywania roboty w służbie publicznej zgodnie z głoszonymi przekonaniami. Oczekuję postawy patriotycznej, obrony polskiej suwerenności i interesów narodowych, zdrowego rozsądku i respektowania podstawowych konserwatywnych wartości. Będąc człowiekiem nadziei,

chcę się spodziewać roztropnej prezydentury odwołującej się do mądrej syntezy postulatów różnych nurtów prawicy.

Jeśli Nawrocki chce rzeczywiście łączyć prawicę, to nie może być prezydentem PiS jak Andrzej Duda. To realny scenariusz?

Uważam, że prezydent Andrzej Duda był nawet w sporym stopniu niezależny od środowiska partyjnego PiS, czego potwierdzeniem jest fakt, że duża część jego prezydentury naznaczona była bardzo trudnymi relacjami z Jarosławem Kaczyńskim. Uważam, że błędem mającym miejsce często w analizie politycznej jest przypisywanie nadmiernego znaczenia przynależności partyjnej, a niedoszacowywanie wagi poglądów politycznych danej osoby.

Uważam, że zbieżność pomiędzy partią Prawo i Sprawiedliwość a prezydentem Andrzejem Dudą wynikała w bardzo wielu sytuacjach ze zbieżności przekonań politycznych, a nie z lojalności partyjnej. Analogicznie: taka zbieżność poglądów może także zachodzić w przypadku Karola Nawrockiego. Nie wiem, czy tak duża jak w przypadku Andrzeja Dudy i PiS, natomiast na pewno spora. Nawrocki jest przecież człowiekiem, który przez wiele lat funkcjonował co prawda na obrzeżach, ale Prawa i Sprawiedliwości.

Nawrocki podpisał się pod deklaracją, która wiązała się z odpowiedzią na pytania – czy raczej postulaty polityczne – przedstawione przez Sławomira Mentzena. Ten gest należy traktować tylko jako trik wpisany w poetykę kampanii wyborczej? Czy zobowiązanie, które być może otwiera przestrzeń do bliższej współpracy pomiędzy PiS a Konfederacją w przyszłości?

Myślę, że podpisanie ośmiopunktowej deklaracji zaproponowanej przez Sławomira Mentzena było w pewnym stopniu wyrazem poglądów Karola Nawrockiego. W mojej ocenie on zgadza się z ich zdecydowaną większością. A w przypadku, moim zdaniem, drobnych różnic podpisanie deklaracji przez Nawrockiego było wyrazem pragmatyzmu właściwego kandydatom prowadzącym kampanie wyborcze i zwyczajnie nagięcia się w stronę wyborców Konfederacji. Takie nagięcie się miało miejsce już w przypadku pierwszego punktu deklaracji dotyczącego zobowiązania do niewprowadzania nowych podatków. Tymczasem przy

państwa polskiego z tych kompetencji, które mu jeszcze pozostały. Pamiętajmy, że już wiele kompetencji bez żadnego referendum czy zmian traktatowych zostało przesuniętych do Brukseli w okresie rządów czy to PiS, czy Platformy.

Co dalej z ułomną polską demokracją? Mówią wprost: Czy grozi nam, że kolejnych wyborów nie będzie? Takie głosy słychać czasami w debacie publicznej.

Nie spotkałem się, żeby ktoś straszył w ten sposób. Moim zdaniem tym, co realnie nam grozi, jest to, że procedura wyboru parlamentu będzie się normal-

FOT. ADAM CIEŚLONSKI / FORUM

■ jednym z kolejnych pytań dotyczącym podatku katastralnego wyszło, że Karol Nawrocki dopuszcza wprowadzenie takiego podatku pod pewnymi warunkami. Chciałbym, żeby sprawowanie przez niego urzędu prezydenta było zgodne z tą deklaracją. Choć pewnie nikt z nas nie będzie zaskoczony, jeśli pojawią się jakieś odstępstwa. Wiadomo, że deklaracje składane podczas kampanii wyborczej to jedno, a praktyka rządzenia to drugie. Nietawo o polityków bliźniaczo podobnych w zamierzeniach i poglądach.

To wszystko, o czym rozmawiamy – czyli kampania wyborcza czy prezydentura Karola Nawrockiego – nie ma nic wspólnego z relacjami pomiędzy Konfederacją a PiS, które opierają się na klasycznej dla systemu demokratycznego rywalizacji wyborczej i parlamentarnej, w której oczywiście na bazie konstytucji możliwa jest też współpraca przy formowaniu większości, choć nie jest ona w żaden sposób przesądzona.

Czy gdyby zwycięstwo Karola Nawrockiego w wyborach prezydenckich zostało oficjalnie potwierdzone, mogłoby to zwiastować przesilenie polityczne, destrukcję obozu rządzącego i przedterminowe wybory parlamentarne?

Jestem przekonany, że przegrana Rafała Trzaskowskiego może pokrzyżować wiele planów w obozie rządzącym. Nie jest tajemnicą, że wielu działań w tym obozie nie podejmowano, czekając na tę wymarzoną, przyjazną prezydenturę Rafała Trzaskowskiego. Fiasko tego planu wymagać będzie przekalkulowania planu rządzenia na nowo. Moim zdaniem jest możliwość zarówno rządzenia przez Donalda Tuska w oparciu o większość, którą dysponuje do końca kadencji, jak i załamania nastrojów w tym rządzie oraz chęć skrócenia kadencji. Uważam, że oba te scenariusze są możliwe, żaden nie jest przesądzony.

W perspektywie partyjnej największymi beneficjentami wyborów prezydenckich są Konfederacja i Konfederacja Korony Polskiej Grzegorza Brauna. Sumując głosy, które kandydaci obydwu ugrupowań uzyskali w I turze wyborów, daje to wynik prawie trzy razy wyższy niż rezultat Konfederacji w wyborach parlamentarnych w 2023 r. Czy w pana ocenie reunifikacja obydwu środowisk jest możliwa czy też konflikt jest na tyle głęboki, że nie ma na to żadnych szans?

Podpisanie ośmiopunktowej deklaracji zaproponowanej przez Sławomira Mentzena było w pewnym stopniu wyrazem poglądów Karola Nawrockiego. W mojej ocenie on zgadza się z ich zdecydowaną większością

Nikt z nas nie zna przyszłości. Wiadomo, że ruchy polityczne łączą się i dzielą. To naturalna zmienność, więc nie będę wykluczał niczego na sto procent, co może wydarzyć się w przyszłości. Obecnie realizujemy osobne strategie polityczne. Konfederacja ma tę strategię dość jasno określoną. Z kolei Grzegorz Braun przyjął też dość jednoznacznie określoną postawę kontestacji budowy formacji w takim kształcie, w jakim ją rozwijamy poprzez sojusz środowiska konserwatywno-liberalnego i środowiska Ruchu Narodowego.

Czy ten sojusz nie ucierpi po słynnym wspólnym piwie Sławomira Mentzena z Rafałem Trzaskowskim i Radosławem Sikorskim? Dla wielu sympatyków prawicy zdjęcie z toruńskiego pubu miały wręcz „magdalenkowy” posmak. Nie tylko Janusz Korwin-Mikke uważa Mentzena za zdrajcę prawicy. Czy to był tylko błąd byłego już kandydata Konfederacji w wyborach prezydenckich, który może przytrafić się każdemu? Czy ta sprawa może rzutować w przyszłości na pozycję Konfederacji?

Ta sytuacja wywołała gniew części naszych sympatyków i wyborców. Natomiast przyszłość zależy od dalszego stylu pracy politycznej. Bez wątpienia dużym sukcesem Sławomira Mentzena było uzyskanie 3 mln głosów w wyborach i zajęcie w nich trzeciego miejsca. Ale każdy lider ma też działania czy gesty, które spotykają się z krytyką. Nikt z nas nie jest nieomylny, a praca polityczna żadnego z nas nie sprowadza się tylko do genialnych, przyjmowanych z zachwytem posunięć. Mogę tylko zapewnić, że wyciągamy wnioski z tego, co się stało.

To, co wydarzyło się w pierwszej turze wyborów – w postaci spektakularnego wzrostu poparcia

dla formacji takich jak Konfederacja czy Korona Grzegorza Brauna – daje podstawę do tego, żeby mówić, że w Polsce rysuje się szansa na konserwatywny zwrot?

Byłbym bardzo ostrożny, wyciągając zbyt daleko idące ogólne wnioski na podstawie wyników wyborów prezydenckich. To jednak w dużej mierze konkurs osobowości i wizerunków kandydatów. Dobre wyniki kandydatów o profilu prawicowym wynikają w mojej ocenie ze zwycięstwa rządem Donalda Tuska i demobilizacji wyborców partii tworzących koalicję rządzącą. Natomiast to nie oznacza, że ci ludzie przestali istnieć albo zmienili poglądy. Polska jest podzielona. Ludzie o poglądach konserwatywnych stanowią mniej więcej połowę naszego społeczeństwa. Stopień tego konserwatyzmu jest też bardzo różny, podobnie jak poziom przywiązania do konkretnych przekonań czy wartości.

Myślę, że żadna ze stron – ani ta bardziej postępową, ani bardziej konserwatywną – nie ma jakiegokolwiek jednoznacznego przewagi. Nasze społeczeństwo się zmienia, redefiniuje w procesie przekazywania kultury młodemu pokoleniu. W mojej ocenie procesy społeczne przesuwają się w kierunku kosmopolitycznym i multikulturowym. Niestety, zachodzą one także w Polsce – nierównomiernie, ale w dość szybkim tempie. Uważam, że jeżeli chcemy, żeby Polska pozostała Polską i była wierna wartościom, które są fundamentami naszej kultury i dziedzictwem naszej historii, to musimy dokonać dużego wysiłku. Nie możemy zadowolić się wynikiem wyborczym; musimy zdobyć się na powszechny wysiłek polityczny i społeczny, nieograniczający się do jakiejś grupy elit, w szczególności elit partyjnych.

Polityka nie jest obszarem sprzyjającym pracy kulturalno-wychowawczej. Dlatego potrzebujemy dużego ruchu społecznego na rzecz wartości tradycyjnych. Uważam, że zbyt często w naszym życiu narodowym zadowalamy się przekonaniem o rzekomej sile chrześcijaństwa czy konserwatyzmu Polaków, przez co tego dużego ruchu społecznego o profilu konserwatywnym nie wykształciliśmy. Albo to się zmieni, albo szeroko pojęta prawica może zostać trwale zepchnięta do defensywy na pozycje mniejszościowe.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

KSIEGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY
DO KSIEGARNI
DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL



Z Łukaszem Smółką,
marszałkiem województwa małopolskiego
rozmawia Radosław Wojtas

Jesteśmy otwarci, ale chcemy pozostać bezpieczni

RADOSŁAW WOJTAS: W województwie małopolskim miały powstać co najmniej cztery centra integracji cudzoziemców: w Krakowie, Tarnowie, Oświęcimiu i Nowym Sączu. W Krakowie takie centrum już działa. Niedawno ogłosił pan, że kolejne centra nie powstaną. Dlaczego w Krakowie tak, a w innych miejscach nie?

ŁUKASZ SMÓŁKA: Cieszę się, że ten wywiad jest okazją do tego, aby wyjaśnić zagadnienia związane z centrami integracji cudzoziemców. Rzeczywiście w ostatnim czasie wiele mówi się o tej sprawie i nie wszystkie pojawiające się w przestrzeni medialnej wypowiedzi są precyzyjne, a niektóre wręcz wprowadzają w błąd.

Kwestia powstania centrów integracji cudzoziemców jest związana z naborem do rządowego programu. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji w rządzie Donalda Tuska zbiera zgłoszenia od samorządów, które są zainteresowane powstaniem na swoim terenie miejsc, w których obcokrajowcy mogliby otrzymać

pomoc związaną ze swoim pobytem – głównie pomoc administracyjną.

Województwo małopolskie, w którego sejmiku większość stanowi Prawo i Sprawiedliwość, postanowiło nie brać udziału w tym naborze. Dlatego centra integracji cudzoziemców w Małopolsce nie powstaną. To natomiast, o czym pan mówi w odniesieniu do Krakowa, dotyczy realizowanego przez małopolski urząd pracy programu „Żyj i pracuj w Małopolsce”. Od ubiegłego roku osoby nieposiadające polskiego obywatelstwa, legalnie przebywające na stałe na terenie województwa małopolskiego, mogą otrzymać wielorakie wsparcie, m.in. w zakresie doradztwa zawodowego, kursów językowych i nostryfikacji dyplomów. To program, który prowadzimy z własnej inicjatywy i uważamy go za wartość dodaną. Jak wynika z danych małopolskiego urzędu pracy, korzystają z niego głównie kobiety pochodzenia ukraińskiego, natomiast osób chcących skorzystać z takich usług jest mniej, niż pierwotnie się spodziewaliśmy. W związku z tym uznaliśmy, że nie ma sensu uruchamianie na terenie naszego województwa drugiego programu o podobnym charakterze.

Małopolska jest i pozostanie wspianym miejscem do życia dla osób, które przybywają do nas zarówno z innych regionów Polski, jak i z innych krajów, o ile przybywają z zagranicy będą tu przebywać legalnie i będą przestrzegać naszych norm kulturowych i naszego prawa. Jesteśmy otwarci, ale chcemy pozostać bezpieczni. Dlatego prowadzimy program „Żyj i pracuj w Małopolsce”, ale nie będziemy uczestniczyć w rządowym programie budowy centrów integracji cudzoziemców.

Przeciwnicy tworzenia centrów integracji alarmują, że będą one służyły nielegalnym migrantom relokowanym do Polski z krajów unijnych. Zwolennicy twierdzą, że mają służyć do integracji m.in. mniejszości ukraińskiej i białoruskiej. A pan jak je postrzega?

Każdy, kto znajduje się w Polsce legalnie – dotyczy to tak obywateli Rzeczypospolitej, jak obywateli innych krajów – może znaleźć swoje miejsce do życia i pracy w Małopolsce. Jesteśmy gościnni z natury i każdy, kto przyjmie nasze wartości i dostosuje się do naszego prawa i trybu życia, jest mile widziany. Natomiast nikt, kto znajduje się w Polsce nielegalnie, nie może oczekiwać, że będziemy mu ułatwiać procedury obchodzenia przepisów prawa. Wszelkie przejawy dyskryminacji ze względu na pochodzenie są niedopuszczalne i niedopuszczalne jest także nauzywanie małopolskiej gościnności przez tych, którzy przybywając tu, nie mają czystych intencji i zamiarów. Jako samorząd województwa małopolskiego i jako Prawo i Sprawiedliwość pilnujemy, aby nasi mieszkańcy nadal czuli się bezpiecznie, jednocześnie nie pozbawiając się tej cechy, która nas wyróżnia, a więc otwartości i gościnności.

Rozmawiał pan o tym z innymi marszałkami? Czy podejmą podobne kroki?

Według mojej wiedzy za ten moment 12 samorządów wojewódzkich nie podpisało umowy na realizację centrów integracji cudzoziemców z rządowego programu. Natomiast trzeba też podkreślić, że nie wszystkie samorządy wojewódzkie prowadzą analogiczny program do naszego. Samorząd województwa

małopolskiego jest bardzo aktywny i dla tego nie musimy ani czekać na rządowe pozwolenie, ani nowe rządowe pomysły, aby działać na rzecz tych, którzy chcą związać swoją przyszłość z naszym regionem.

Przekonywaliśmy się już, że podobne decyzje mogą się skończyć finansowym szantażem. Czy spodziewa się pan teraz trudności w pozyskiwaniu funduszy zewnętrznych?

Trudno jest nazwać postawę samorządu województwa małopolskiego wobec rządowego programu zakładającego powstanie centrów integracji cudzoziemców „decyzją”. Możemy mówić raczej o „braku decyzji”: konkretnie – braku decyzji o złożeniu wniosku w naborze do tego programu. Nie złożymy tej aplikacji i mamy do tego pełne prawo jako samorząd. Udział w rządowym programie jest dobrowolny i mam nadzieję, że taki pozostanie. Gdyby miał on zostać wprowadzony na zasadzie przymusu, będziemy się temu sprzeciwiali, ponieważ wypaczałoby to ideę samorządności. Nie wyobrażam sobie, aby władza, która na każdym kroku tak mocno podkreśla konieczność wzmacniania kompetencji samorządów, poważała się na taki krok. Nie obawiamy się kar finansowych, a żadnym naciskom nie będziemy się podporządkowywać.

Skoro mowa o pieniądzach: jak idzie wydatkowanie środków z KPO? Wydaje się, że w niektórych obszarach nie zdążycie ich wydać. Na przykład 400 mln zł na zakup pociągów.

Wydatkowanie środków KPO nie jest zagrożone. Zostało ono jednak urealnione do możliwości produkcyjnych wykonawców. W wakacje 2026 r. na małopolskie tory wyjedzie sześć nowoczesnych pociągów zakupionych za kwotę ponad 300 mln zł, z czego 185 mln będzie pochodzić ze środków KPO. Planujemy także zakup kolejnych pociągów, obecnie przygotowujemy się do podpisania umowy wykonawczej na dostawę sześciu pojazdów, tym razem zakup ten będzie współfinansowany ze środków Funduszy Europejskich dla Małopolski 2021–2027. Zgodnie z założeniami pociągi trafią do nas w pierwszej połowie 2028 r.

Nie zapominajmy też, że pieniądze z KPO już pracują na rzecz Małopolan. W marcu aż 600 mln zł przekazaliśmy do szpitali. Dzięki temu w całym regionie

będą mogły rozwijać się specjalizacje i specjalności gwarantujące większe bezpieczeństwo pacjentów, którzy się u nas leczą. Także tych spoza regionu.

Dzięki środkom z KPO udało się także zrealizować wiele projektów z zakresu gospodarki wodno-kanalizacyjnej. Mowa o 60 mln zł, które trafią do małopolskich gmin.

Wróćmy do pieniędzy przeznaczonych na szpitale. Na co dokładnie samorząd chce wydać 600 mln zł, o których pan mówił?

521 mln zł trafi do dziewięciu małopolskich szpitali i zostaną one wykorzystane na inwestycje, natomiast 83 mln zł do pięciu zakładów opieki zdrowotnej z przeznaczeniem na wsparcie rozwoju opieki długoterminowej. Na liście beneficjentów znalazły się Szpital Specjalistyczny im. Ludwika Rydygiera w Krakowie, Narodowy Instytut Onkologii im.

jemy także środki europejskie. Jednym z najnowszych projektów jest modernizacja przychodni przyklinicznej krakowskiego Instytutu Onkologii. W budynku powstaną m.in. wyspecjalizowane „unity narządowe” specjalizujące się w leczeniu najczęściej występujących nowotworów, zostaną zakupione nowoczesna aparatura medyczna i wyposażenie, powstaną nowe poradnie oraz nowy oddział. Tę inwestycję dofinansowaliśmy kwotą ponad 20 mln zł. Zapewniam, że jako samorządowcy robimy wszystko, by pieniądze na leczenie było jak najwięcej, a także by trafiały tam, gdzie są najbardziej potrzebne.

Z jakich środków zostanie zrealizowana budowa filharmonii w Krakowie?

Budowa nowej siedziby Filharmonii Krakowskiej jest dla nas, jako zarządu województwa małopolskiego, jednym

521 mln zł trafi do dziewięciu małopolskich szpitali, natomiast 83 mln zł do pięciu zakładów opieki zdrowotnej

Marii Skłodowskiej-Curie – Państwowy Instytut Badawczy, Oddział w Krakowie, Szpital Wojewódzki im. św. Łukasza SP ZOZ w Tarnowie, Wojskowy Szpital Kliniczny z Polikliniką SPZOZ w Krakowie, Samodzielny Publiczny Zespół Opieki Zdrowotnej w Proszowicach, Szpital Specjalistyczny im. J. Śniadeckiego w Nowym Sączu, Samodzielny Publiczny Zakład Opieki Zdrowotnej w Bochni „Szpital Powiatowy” im. bł. Marty Wieckiej, Scan-med Spółka Akcyjna oraz Podhalański Szpital Specjalistyczny im. Jana Pawła II.

Z kolei adresatami wsparcia w wysokości ponad 83 mln zł na opiekę długoterminową są: ZOZ w Wadowicach, Szpital Powiatowy w Chrzanowie, Zespół Opieki Zdrowotnej w Suchej Beskidzkiej, Samodzielny Publiczny Zakład Opieki Zdrowotnej w Bochni „Szpital Powiatowy” im. bł. Marty Wieckiej oraz Szpital św. Anny w Miechowie.

Mowa o naprawdę dużych środkach. Znamy skalę i stawkę wyzwania. Wiemy, o co wspólnie walczymy. Potrzebne są wielkie pieniądze i każdą złotówkę trzeba wydać dobrze. Do walki o zdrowie i życie naszych mieszkańców angażu-

je z kluczowych przedsięwzięć. Zabezpieczyliśmy środki na jej realizację w budżecie województwa w Wieloletnim Planie Finansowym do 2032 r. To kwota ponad 451 mln zł.

Kiedy pierwszy koncert?

Pamiętajmy, że budowa światowej klasy sali filharmonicznej wymaga współpracy z ekspertami oraz czasu niezbędnego na zaprojektowanie oraz wykonanie sali, dlatego pierwszy koncert planowany jest w 2032 r.

Zespół zadaniowy, który koordynuje przedsięwzięcie, został powołany jesienią 2024 r. Potwierdziliśmy lokalizację budowy – nowa siedziba filharmonii powstanie na działkach położonych przy rondzie Grzegórzeckim w Krakowie. W wakacje planujemy ogłoszenie konkursu architektoniczno-urbanistycznego dotyczącego wykonania koncepcji nowej siedziby filharmonii. Jeśli chodzi o kamienie milowe tej inwestycji, to podtrzymuję swoją obietnicę: budowa nowej siedziby filharmonii powinna ruszyć przed końcem bieżącej kadencji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Weekend na trzeźwo



Zuzanna
Dąbrowska-Pieczyska

Poranny, niedzielny rave przy kawie. To najnowszy trend, który szturmem podbija kolejne duże miasta. Największe plusy? Brak kaca, dobra zabawa i modne zdjęcia na Instagrama

Na ostatnim evencie było już około 300 uczestników. Widać, że ludzie naprawdę to czują. W pierwszym cyklu zagraliśmy w czterech gdańskich kawiarniach Leń, Nurt, Ciekawa i Publiczna. Uczestnicy ze sobą rozmawiają, uśmiechają się, są mili

i chętni do integracji. Cała energia na wydarzeniach jest po prostu pozytywna! To zupełnie nowa alternatywa dla klasycznych imprez – zamiast kaca, serwujemy dobrą energię na cały dzień!” – czytamy na instagramowym profilu Morning Coffee Groove, organizatorów porannych rave’ów (rave – impreza taneczna przy muzyce elektronicznej). Z kolei kolektyw „Niedzielní” pisał w lutym tak: „Zrobiliśmy nasze pierwsze coffee party w Warszawie! I szczerze mówiąc, nie możemy się doczekać kolejnego! Dzięki, że byliście! Super było zbić piątki, zobaczyć znajomych, poznać wiele nowych osób. BTW dzięki za wszystkie miłe słowa, daliście nam mnóstwo energii! Mamy nadzieję, że też wyszliście nakręcení i szczęśliwi”.

O co chodzi? W skrócie – zamiast iść na zakrapianą alkoholem imprezę i zmarno-

wać cały kolejny dzień na walkę z kacem, można wybrać się na taneczny poranek przy kawie w jednej z modnych kawiarni. Atmosfera też jest imprezowa, bo bar lub łada zamieniają się w stół DJ-a, a wokół tłum młodych, ubranych w najmodniejsze stylizacje ludzi podskakuje do mocnych bitów. Obszerne relacje lądują później w mediach społecznościowych, co tylko podgrzewa zainteresowanie.

IMPREZA OD RANA

– To fajna inicjatywa dla osób, które wolą wstać rano i mieć dzień dla siebie, a nie cały weekend stracić na kaca – przekonuje 28-letni Kacper, fan porannych coffee rave’ów. Jego zdaniem ludzie są już znudzeni imprezami do rana lub czekaniem z wyjściem do klubu o 1 czy 2 w nocy. – Taniec pomaga puścić napięcie. To genialna forma relaksu i nawet nie

trzeba pić alkoholu, a przyjąć, zgarnąć kawę czy piwo bezalkoholowe. Wydaje mi się, że takie eventy w ciągu dnia dużo bardziej sprzyjają też nawiązywaniu nowych znajomości; ktoś się przysiadzie, zagada – przekonuje jego rówieśniczka Ania. Karolina dodaje, że dzięki wydarzeniom można poznać partnera. – Tinder i podobne aplikacje raczej nas już nudzą, spotyka się tam przypadkowych ludzi, a tu można kogoś spotkać na żywo – mówi portalowi Noizz.

W większych miastach organizowane są już poranne imprezy specjalnie dla singli. „Wiemy, że kawa kocha singli (albo odwrotnie?), dlatego zapraszamy Cię na wyjątkowe wydarzenie! Coffee Party Single Mingled to jedyne takie wydarzenie w całym mieście, przeznaczone wyłącznie dla singli, gdzie czeka na Ciebie pyszna kawa, dobra muzyka oraz energia osób, które chcą poznać się na żywo. Zamiast przesuwac w prawo na Tinderze, wpadaj do nas na kawę i tańce oraz poznaj setki singli w jednym miejscu!” – zachęcała w maju inicjatywa dla singli „Single Mingled”. W biletowanym wydaniu wzięło udział ponad 200 osób. Na nagraniu widać tłumy tańczących lub rozmawiających ze sobą uczestników. Wszystko w realu i na trzeźwo, w godzinach od 11 do 15.

W Warszawie do najpopularniejszych lokali ustawiają się kolejki chcących spróbować tego nowego rodzaju imprezowania. – Cześć, szukam DJ-ów, kogoś, kto umie robić muzę, bo zaję...e są te takie wiecie, weekendowe, kawiarniane imprezy. Niby jesteśmy w klubie, a jest godz. 10.30. Ja chcę coś takiego zrobić w Szczecinie, bo mi brakuje. Chciałabym znaleźć ludzi, którzy puszczać muzę i chcieliby np. od czerwca robić śniadaniowe party klubowe, żebyśmy mogli sobie pić kawusię i czuć się jak w klubie – ogłaszała się niedawno w sieci właścicielka jednej ze szczecińskich restauracji.

Kawiarnie, te sieciowe, które szanujący się mieszkańiec dużego miasta powinien mieć w oznaczonych lokalizacjach na swoim Instagramie, a także te niszowe, zyskujące stale popularność, przeżywają prawdziwy renesans. Dominik Ropela z kawiarni Coffeedesk wskazuje, że obecnie to właśnie przy kawie najchętniej budujemy relacje. Dodatkowo „kawowy rave” łączy miłoś-

do kawy (napój ten ma swoich prawdziwych wyznawców; skądś biorą się przecież memy pt. „Nie mów do mnie przed pierwszą kawą”) i niechęć do alkoholu. – Kawiarnia od zawsze jest miejscem spotkań, rozmów i budowania społeczności. W świecie, gdzie rośnie popularność trendów no- i low-alcohol, potrzeba alternatywnych przestrzeni dla klubów staje się coraz bardziej widoczna. Przyciągamy ludzi, którzy wcześniej nie myśleli o kawiarni jako o miejscu na imprezowe wyjścia, zwiększamy rozpoznawalność marki – zauważa.

ALKOHOL JEST PASSÉ

„Kawowe rave’y” wpisują się w zauważalne zjawisko odchodzenia od napojów wysokokalorycznych. Dane OECD pokazują, że w UE ogólne spożycie alkoholu na osobę powyżej 15. roku życia zmniejszyło się w ciągu ostatnich czterech dekad z 12,7 litra w 1980 r. do 9,8 litra w 2020 r. na osobę. To spadek o 23 proc. Patrząc na zmiany na poziomie krajowym, w latach 2010–2020 w Regionie Europejskim WHO spożycie alkoholu spadło w 25 krajach, a wzrosło w 11. Z kolei z badania SW Research przeprowadzonego w listopadzie 2024 r. wynika, że spożycie alkoholu w Polsce spada. „Czterech na dziesięciu uczestników badania zgłosiło, że ostatnio ograniczyło spożycie alkoholu. Jeden na dziesięciu całkowicie zaprzestał picia alkoholu, a 16 proc. respondentów nie piło wcześniej alkoholu. Dla ponad jednej trzeciej osób (36 proc.) ilość spożywanego alkoholu pozostała niezmienną” – podano na stronie pracowni.

Zjawisko dotyczy szczególnie osób młodszych. „W grupie do 24. roku życia 40,3 proc. deklaruje, że ogranicza spożycie alkoholu. W grupie 25–34 lata, której część nadal stanowią osoby z pokolenia Z, aż 51 proc. deklaruje, że spożywa mniej alkoholu niż wcześniej. Ten trend nieco przyhamowuje w starszych grupach. Między 35. a 54. rokiem życia 34,8 proc. ogranicza spożycie alkoholu, a w najstarszej grupie 55+ jest to 35,9 proc.” – opisuje SW Research.

Zamiast alkoholu coraz częściej wybieramy napoje „zwykłe” – wodę, soki czy właśnie kawę. Jednocześnie moda na abstynencję zwiększa popyt na bezalkoholowe wina, koktajle oraz piwa.

Dlaczego „zetki” tak chętnie wybierają trzeźwość? „Dla nich Internet to nie dodatek do życia, lecz jego nieodłączny element. Ich życie nie jest podzielone na życie w Internecie i życie w rzeczywistości – te przestrzenie się przenikają i wzajemnie przeplatają. Widać to również w ich możliwościach – podróżują, doświadczają świata, są bardziej świadomi kwestii zdrowia, zdrowia psychicznego, zagrożeń czy seksualności. To pokolenie, które wnosi nadzieję, ponieważ skupia się na wartościach życia, w przeciwieństwie do millennialów, których poczucie sensu życia było silnie związane z pracą. A codzienność była zakrapiana alkoholem. To już nie jest atrakcyjne dla młodych” – przekonuje terapeutka Patrycja Wonatowska, cytowana przez finansowany przez Warszawę portal poświęcony profilaktyce uzależnień stopuzaleznieniom.com.

„Pokolenie Z to osoby z ogromnym potencjałem, które, w porównaniu z poprzednimi pokoleniami, mają przed sobą nieograniczone możliwości. Jednocześnie często czują się zostawione same sobie. Z mojej perspektywy są to ludzie bardziej samotni niż wcześniejsze pokolenia. Choć mają dużą świadomość kwestii takich jak zdrowie psychiczne, to często brakuje im osób, z którymi mogliby o tym porozmawiać. Są pionierami, którzy stawiają czoła wyzwaniom współczesnego świata” – dodaje.

LAJKI ZAMIAST PROCENTÓW

Wonatowska przekonuje, że w dobie niemal 24-godzinnej obecności w sieci, gdzie wszystko jest relacjonowane w czasie rzeczywistym, a niekorzystnych dla nas materiałów po prostu nie da się skasować, pokolenie Z woli zachować kontrolę. „Dla wielu z nich wizja kompromitującego nagrania z imprezy, które mogłoby zakończyć się lawiną hejtu, jest wystarczającym powodem, by nie sięgać po alkohol” – czytamy.

Fakt, że młodzi chętnie decydują się na abstynencję alkoholową, nie oznacza, że nie popadają w inne, bardziej „nowoczesne” uzależnienia – od lajków, liczby followersów na Instagramie i wyświetleń Instastories.



Monika Małkowska

Hanna Wróblewska, obecna minister kultury, gorliwie wymiata wszystkich o niepewnych poglądach, zastępując ich godną zaufania załogą. Jakoś tak się składa, że dominują panie. Wszystkie nowo mianowane „boski” wyznają neoliberalne normatywy. W świątyniach sztuki zapanowała doktrynerska urawniłowka, dziwnie przywołująca pamięć o czasach socrealizmu

W stołecznym Muzeum Narodowym powiało wiosną i twórczością najnowszą. Tę reprezentuje wystawa „Autoportrety”, z której eksponaty staną się zaczynem kolekcji XXI w. To premierowy pokaz w muzeum pod wodzą Agnieszki Lajus, powołanej na przełożoną tej zacnej świątyni sztuki od 1 lutego br.

Wśród „Autoportretów” – fotografia Izabelli Gustowskiej zatytułowana „Ja Artystka (Autoportret Izzy G...)”, datowana na 2022 r. Czasy pandemiczne, więc twarz artystki zakwefiona antycovidową maseczką. Na piersi osłoniętej czarną materią (peleryna?) przyciąga wzrok czerwona emblematyczna błyskawica. Ideowa deklaracja: jestem po stronie Ogólnopolskiego Strajku Kobiet. Uważam tę pracę za symbol zmian, jakie zachodzą w polskich przybytkach sztuki.

SEKSMISJA

„To jest wojna” – tak zatytułowała książkę Klementyna Suchanow i niektóre panie wzięły to na poważnie, bo przecież nastało „nowe średniowiecze”, z którym progresywistki muszą walczyć. Pamiętam – ubrane na czarno aktywistki aborcyjne pod wodzą Marty Lempart, wielokrotnie paraliżujące Warszawę i inne miasta Polski. Nie były to damy, oj nie. Formy ich protestów przypominały ataki rozsierdzonych bulterierów. Nie chodziło tylko o „prawo do dysponowania własnym

Rzeczpospolita coraz bardziej babbska



Praca Izabelli Gustowskiej zatytułowana „Ja Artystka (Autoportret Izzy G...)” może być uważana za symbol zmian, które zachodzą w polskich przybytkach sztuki. FOT. BARTOSZ BAJERSKI

ciałem” i aborcji z powodów embriopatologicznych, co deklarowano na początku.

Proaborcjonistki poszerzyły działania o niszczenie kościołów, zakłócanie religijnych obrządków, dewastację pomników (głównie uwzięły się na Jana Pawła II, ale dostało się też Ronaldowi Reaganowi), demonstracje pod domami niektórych konserwatystów i groźby pod ich adresem. Do tego działaczki OSK postulowały prawa dla osób LGBTQ+, prawa do adopcji dzieci przez związki jedнопłciowe, szacun dla niebinarności, a poza tym sekularyzację państwa, zapobieganie katastrofie klimatycznej, likwidację umów śmieciowych oraz dymisję rządu PiS. Czyli neoliberalny kogel-mogel.

Marsze OSK zbiegły się w czasie z innym obywatelskim zrywem, w tym przy-

padku o międzynarodowym zasięgu. Pod hashtagem MeToo podpisywały się osoby żeńskie, które doświadczyły molestowania seksualnego lub tak odbierały rozmaite męskie zachowania. Akcja dała pożądany efekt w kilku spektakularnych przypadkach, również w naszym kraju, ale doprowadziła także do przechyłów i przewalów wśród (rzekomych) ofiar. Obydwa ruchy – OSK i MeToo – świadczyły o niezgodzie kobiet na wciąż panujący patriarchyat oraz narzucone im, a zadekretowane prawem podrzędne społeczne role.

To w końcu jak: mamy równouprawnienie rzeczywiste czy tylko deklaratywne? Moim zdaniem współistnieją światy nierównoległe. W jednym panie z ukontentowaniem serwują panom kawusie, mrużąc do siebie „Stand by your man”.

Ale są też takie rewiry, gdzie doszło do seksmisji, gdzie kobiety dominują, decydują, dyrygują. Wcale przy tym nie są układne. Złe dziewczyny to dziś normalka w mediach i kulturze, coraz częściej także w polityce. Te wyzwolone panie za matkę przełożoną mają Alexis Carrington z „Dynastii”, gotowe jak ona stąpać po trupach, byle osiągnąć cel.

RÓWNO Z NADANIA

Polska może dumnie wypinać pierś jako jeden z pierwszych krajów świata, który przyznał kobietom czynne i bierne prawa wyborcze już w 1918 r. Jednak równo-uprawnienie – teoretycznie – nastąpiło w Polsce wraz z komunizmem po 1945 r. Wprawdzie zarzewia niezgody na męską supremację można doszukać się w międzywojniu, kiedy z pragmatycznych powodów (powojenne wakaty na męskich stanowiskach) kobietom dane było sięgnąć po męskie profesje. Wtedy to zdarzyło się, że „Pani minister tańczy” (1937), choć wciąż obowiązywały nienaganne maniery, jak te ćwiczone wedle „Ada! To nie wypada”. Wedle zasad bon tonu pannie z dobrego domu „nie wypadało” imać się pewnych zawodów, a po inne, szlachetniejsze, nie miała szans się ubiegać.

PRL, mimo deklarowanego równo-uprawnienia, także nie pozwalała kobietom wybić się na równość z mężczyznami. Legendowane traktorzystki czy włóknierki przodownice doby socrealizmu nijak się miały się do rzeczywistości. Łódzka milicjantka to też miejska (warszawska) legenda z powojennych lat. Codziennosc wyglądała inaczej. W latach 50. kobiety stanowiły zaledwie 30 proc. ogółu zatrudnionych, by pod koniec Rzeczypospolitej Ludowej osiągnąć „aż” półtora razy tyle.

„Kobieta pracująca, która żadnej pracy się nie boi” tylko w serialu „Czterdziestolatek” pozostawała w pełni samodzielna i zdolna podejmować się najróżniejszych, również typowo męskich aktywności zawodowych. W realu matki, żony, kochanki podejmowały pracę głównie po to, by zasilić domowy budżet, a nie żeby się samorealizować. Chociaż socjalistyczne władze starały się ułatwiać paniom łączenie zadań matki i etatowej pracownicy poprzez system darmowych żłobków i przedszkoli, a rozwinięta sąsiedzka samopomoc uzupełniała te instytucje, to daleko było do emancypacyjnego ideału. Po prostu

kobiety pozostawały w tyle za panami, jeśli chodzi o wykształcenie. Toteż mężczyznom przypadły role przywódcze. Wystarczy spojrzeć na kadrę decydencką PRL – sami faceci. Podobnie na wszystkich wyższych kierowniczych szczeblach, od nauki do przemysłu, od medycyny do sądownictwa. A jeśli już zdarzała się baba dyrektor, to uchodziła za osobliwość i zawsze przypisywano jej „męskie” cechy, co niekoniecznie było komplementem. Najbliższy parytetu były organy zarządzające kulturą i sztuką. Wiadomo, dziedziny uchodzące za piękno-duchowskie i bez większego wpływu na politykę, choć przydatne jako dogmatyczne tuby.

ARCHETYPY

Gdy dziś ogląda się film „Rzeczpospolita babska”, trudno uwierzyć, jak naiwna i romantyczna była komunistyczna propaganda doby schyłkowego Gomułka. Komedia traktująca o tużpowojennych czasach weszła na ekrany w lipcu 1969. „Łagodnie i nie przerywając snu”, indoktrynowała Polaków, komu zawdzięczają wolność tudzież Ziemię Odzyskaną. To właśnie tam rozgrywała się akcja. Bohaterkami były zdemobilizowane z Ludowego Wojska Polskiego żołnierki, którym wojskowy dryl wszedł w krew na zawsze. Baby okazały się łebskie, silne i zaradne. A przede wszystkim na każdym polu szły łeb w łeb z męską grupką ekswojaków. Jaki finał? Obupłciowe pojednanie i kilkanaście ślubów.

W tym samym czasie na Zachodzie wzbierała druga fala feminizmu, ruch odwołujący się do tradycji XIX-wiecznych emancypantek. Z tym profeministycznym duchem rymowała się inna polska produkcja z 1969 r. – „Polowanie na muchy”, ekranizacja opowiadania Janusza Głowackiego. Tym razem on jest nieudacznikiem i pantoflarzem (trochę taki Dulski), a gdy usiłuje się wyrwać spod babskiej kurateli... wpada w orbitę kolejnej dominy (intelektualnej). Ją rozpierają ambicje, którymi daremnie próbuje zarazić kochanka. Z tego romansu i tak geniusz się nie rodzi, bo facet fajtłapa. Baba jako decydent po prostu się nie sprawdza – sugeruje film.

ZMIANY PO WIOŚNIE

Zaczęło się zmieniać na dobre pod koniec lat 60. Za żelazną kurtynę docho-

dziły wieści o młodzieżowej rewolucji, na fali której wzbierał ruch feministyczny, antyrasistowski, antyestablishmentowy. Hasło „Rób miłość, nie wojnę” stało się tym łatwiejsze do realizacji, że wprowadzono na rynek tabletki antykoncepcyjne. Słynna „pigulka” dotarła do Europy, w tym także do Polski, w 1966 r. Jasne, nie na masową skalę. Jednak poczucie, że można „się zapomnieć” i dać upust potrzebom ciała i hormonów, przeorało dziewczynom świadomość. Gdy znikł strach przed niechcianą ciążą, kobiety stały się odważniejsze, bardziej samodzielne, samostanowiące na każdym polu.

Znamienne – na skutek młodzieżowej rewolty doszło do rewolucji w kinematografii. W latach 60. przestał obowiązywać spisany w latach 30. kodeks Haysa, wedle którego obowiązywał zakaz realizowania filmów ze scenami seksu pozamałżeńskie, nagości, zmysłowych tańców, homoseksualizmu, porodów i związków par mieszanych rasowo; niedopuszczalne były ośmieszanie religii, prostytutka, nadużywanie alkoholu, narkomania, a nawet używanie słów uważanych za niecenzuralne.

Gdyby wskazać wydarzenie w kulturze symbolizujące obyczajową wolność, niewątpliwie byłoby to musical „Hair”, w którym wątek pacyfistyczny spleta się z wyzwoloną zmysłowością i wolną miłością. Słynne sceny z broadwayowskiego przedstawienia, kiedy nadzy tancerze płci obydwu wchodzili pomiędzy publiczność, nie zostały wprawdzie przeniesione na ekran przez Miloša Formana (przypomnę: rok 1979), ale aura seksułu pozostała.

Warto jeszcze skrócić uwagę na obrazy zupełnie skandaliczne z punktu widzenia tradycyjnej obyczajowości. W kinach pojawiły się fabuły z pozytywnymi bohaterkami uprawiającymi płatny seks! Choćby „Klute”, obsypany nagrodami thriller Alana J. Pakuli, już w roku premiery (1971) wyświetlany także nawet w Polsce. Z tego samego roku pochodzi inny znakomity i nagradzany obraz – „McCabe i pani Miller” Roberta Altmana. Obydwa filmy, choć umiejscowione w odmiennych epokach, pokazują luksusowe prostytutki bez stygmatyzowania, a przeciwnie, z sympatią i empatią.

Kiedy oglądałam ubiegłorocznego triumfatora Oscarów – „Anorę” – pomyślałam, że heroina tego filmu



Wystawa „Autoportrety” to premierowy pokaz w Muzeum Narodowym w Warszawie pod wodzą Agnieszki Lajus FOT. BARTOSZ BAJERSKI

■ wykonująca tańce na rurze i odpłatnie kopulująca jest spadkobierczynią tamtego prostytutootwarcia. Bo erotyki w kinie nigdy nie brakowało, nawet gdy formalnie respektowano kodeks Haysa. Co z tej akceptacji „jawnogrzesznicy” wynikało, każdy widzi: pięć Oscarów dla „Anory”. Czyli prostytutka uwznioślona. Jakby nie było wcześniej Soni Marmieladów czy Małgorzaty Gautier.

BIEG PO DYPLOM

Powróćmy do przetasowań na polskiej szachownicy: białe (białogłowy) zaczęły zbijać przeciwników. W latach 60. dziewczyny szturmem wzięły uczelnie. Wtedy też zaczęły być modne wieczorne studia dla pań pracujących: języki obce, wykłady i kursy podwyższające zawodowe kwalifikacje. Dyplomy to dla kobiet była szansa, żeby w rozmaitych dziedzinach konkurować z płcią przeciwną. Zachęcały do tego darmowe koedukacyjne studia, system stypendialny, bezpłatne akademiki, a od 1968 r. punkty za pochodzenie. Młode, ambitne panny ściągały do dużych miast i kształciły się na potęgę. Etyaty (wtedy nie było jeszcze śmieciówek!) dawały stałą, regularny dochód oraz inne bonusy. Kobiety usamodzielniały się, stać je było na rozwody i rozpoczęcie „nowego życia”, nawet gdy były obarczone macierzyńskimi obowiązkami.

Najbardziej sfeminizowane były kierunki humanistyczne i artystyczne. Konsekwencją ówczesnego pędu do wiedzy i tytułów naukowych stały się dalsze emancypacyjne transformacje, które zaszły w III RP.

Po roku 1989 damy na kilku polach zrównały kroki z płcią przeciwną, a nawet wyszły na prowadzenie. Takim nieme-

skim królestwem jest sztuka. Dziś to teren zawłaszczony przez osoby artystyczne i kuratorskie rodzaju żeńskiego. Jeśli gdzieś uchowały się męskie niedobitki, to najczęściej nieheteronormatywne.

NEOLIBERALNE „BOSSKI”

Już kiedy studiowałam na Akademii Sztuk Pięknych (lata 70.), babski wyż nabierał rozpędu i mniej więcej osiągnął parytet. Ale jednak na uczelniach w roli ciał dydaktycznych zostawało niewiele kobiet. Baba rektor? Niewyobrażalne. Nawet panie dziekanki można było zliczyć na palcach jednej ręki. Szefowe priorytetowych instytucji sztuki – galerii, centrów, muzeów? Do lat 70. znalazła się taka jedna, legendarna dyrektorka Centralnego Biura Wystaw Artystycznych „Zachęta” (wtedy pełna nazwa tej instytucji). Gizela Szancerowa miała wprawdzie niepełne wykształcenie wyższe, lecz w latach 50. ważniejszy niż tytuł był komunistyczny światopogląd. Toteż Szancerowa piastowała to wysokie stanowisko długo, od 1954 r. do 1969, kiedy przeszła w stan spoczynku, przyspieszonego pomarcową nagonką na wierchuszkę pochodzenia żydowskiego. Dwa lata później wraz z mężem, który też stracił pracę, wyemigrowała z Polski.

Rozejrzyjmy się po obecnych dyrektor-skich zastępach w sztukach wizualnych. Hanna Wróblewska, obecna minister kultury, wieloletnia (11 lat) szefowa Narodowej Galerii Zachęta, gorliwie wymiata wszystkich o niepewnych poglądach, zastępując ich godną zaufania załogą. Jakoś tak się składa, że dominują panie. Wszystkie nowo mianowane „bosski” wyznają neoliberalne normatywy, co odzwierciedla się w profilach oddanych im we władanie instytucji. Pod podobnym

kątem dobierane są ekipy współpracowników, a także osoby zapraszane do udziału w wystawach, projektach, akcjach. W efekcie w świątyniach sztuki zapanowała doktrynerska urawniłowka, dziwnie przywołująca na pamięć czasy socrealizmu. Oczywiście nikt już nie maluje produkcyjniaków z podającymi cegłę przodownikami pracy czy roześmianymi traktorzystkami na pierwszym planie. Ale zideologizowana twórczość wszędzie jest eksponowana na pełnej petardzie.

BABSKA SZTAFETA

Spójrzmy na listę ostatnich dyrektorskich powołań. Od września 2024 r. ster Zamku Królewskiego w Warszawie dzierży Małgorzata Omilanowska; od 1 października tego samego roku szefową Centrum Sztuki Współczesnej „Znaki Czasu” w Toruniu została Anna Kompanowska; w tym samym dniu Marta Kołacz objęła stanowisko CSW Łaźnia w Gdańsku; od grudnia ubiegłego roku Zachętę prowadzi Agnieszka Pindera; od 1 kwietnia 2025 Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski prowadzi Anna Łazar. Oprócz wymienionych są też liderki przez wiele lat zasiedziały, do których obecna władza widać nie miała zastrzeżeń – Joanna Mytkowska w MSN (od 2007 r.), Katarzyna Krysiak w Galerii Foksal (od 2008), Iwona Bigos we wrocławskim Pawilonie Czterech Kopuł (od 2018), Karolina Ziębińska-Lewandowska w Muzeum Warszawy (od 2021), Eulalia Domanowska w sopockiej Państwowej Galerii Sztuki (od 2022). Spis zamyka Martyna Grądzka-Rejak jak na razie p.o. w Muzeum Getta Warszawskiego.

Dlaczego minister Wróblewska postawiła na kobiety? Z pewnością to efekt feminizacji kilku kierunków studiów, takich jak historia sztuki, kulturoznawstwo, studia gender, studia kuratorskie oraz rozliczne prywatne i państwowe kierunki plastyczne. Mam też nieodparte wrażenie, że Polki en masse zmieniły się psychicznie i charakterologicznie w stosunku do poprzednich pokoleń. Chcą być bardziej postępowe niż płęć przeciwna, uświadomione społecznie i politycznie, wyczulone na nowe trendy w nauce, tolerancyjne dla wszelkich odchyśleń od normy. Niestety, także doktrynerskie. Ale to już temat dla socjologów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

**OD PONIEDZIAŁKU
DO PIĄTKU**

PO 9:00

PO 10:00

PO 11:00

 www.radiotvrepublika.pl

 [Telewizja Republika](#)

 [@RepublikaTV](#)

 [RepublikaTV](#)

 [@RepublikaTV](#)

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multiplexie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multiplex dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multiplexach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzyj na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: [@Telewizja_Republika](#).



SKANUJ KOD QR
**WSPIERAJ
DOM WOLNEGO**

Biały dym, czarne wizje



Film „Konklawe” powstał na podstawie powieści Roberta Harrisa. To książka napisana zręcznie, ale z fałszywymi tonami. Tak jest i na ekranie. FOT. PHILIPPE ANTONELLO



Piotr Gociek

Po co filmowcom papież na ekranie? Zwykle po to, by Kościołowi dołożyć

Kilka dni przed wyborem nowego Ojca Świętego Martin Scorsese podzielił się z dziennikarzami nowiną związaną z aktywnością poprzedniego papieża. Jak się okazuje, amerykański reżyser miał okazję w ostatnich miesiącach życia Franciszka zarejestrować materiał filmowy, który dziś nazwać można ostatnim wywiadem. Nagrań dokonywano na potrzeby filmu dokumentalnego „Aldeas – A New Story”, opowieści o inicjatywie papieskiej Scholas Occurrentes i promowaniu – jak wskazywał Franciszek – „kultury spotkań” wśród młodych. Częścią inicjatywy był projekt Aldeas, w ramach którego młodzi z różnych krajów świata kręcili krótkie filmy.

Z całym szacunkiem dla Martina Scorsese jego zapowiedź nowego dokumentu przepełniona była banałami o „dialogu międzykulturowym”, więc nie dziwi mnie, że uwagę mediów kradł tylko na moment. Natomiast w tym samym czasie najgłośniej było o filmie fabularnym „Konklawe” Edwarda Bergera, nominowanym do Oscara, nagrodzonym Złotym Globem za scenariusz i wyróżnionym czterema nagrodami BAFTA. Nie tylko temat – kulisy wyboru papieża – był na czasie. Popularność filmu zwiększyła jeszcze wiadomość, że kardynałowie przed konklawe oglądają tę produkcję, by oswoić się z tym, co może ich czekać. Był bowiem film Bergera chwalony za akuratność, z jaką przedstawia procedury i ogólny klimat wyboru papieża. Doprawdy, mało który kinowy hit może pochwalić się taką rekomendacją.

Film „Konklawe” powstał na podstawie powieści Roberta Harrisa. Recenzowałem ją na łamach „Do Rzeczy” (13/2017), pisząc, że jest zręczna, ale z fałszywymi tonami. Tak jest i na ekranie. Dla tych, którzy nie widzieli i nie czytali: w filmie o poparcie kardynałów walczą konserwatysta Tedesco, radykalny i czarnoskóry

Adeyemi oraz uznawany za rozsądnego liberała Bellini plus kandydat zdawałoby się bez właściwości, Tremblay. Niewielką sensację wzbudza to, że w ostatniej chwili do elektorów w kaplicy Sykstyńskiej dołączył Filipińczyk Benitez – zmarły papież wskazał go in pectore, nie ujawniając decyzji ze względu na skomplikowaną sytuację polityczną. Benitez jest bowiem biskupem Bagdadu.

Wszystko to byłoby ciekawe, gdyby nie to, że szybko się orientujemy, iż film Bergera jest propagandową ustawką. Konserwatysta Tedesco jest brzydki, gruby i nieumiarkowany w piciu, potem zaś dowiadujemy się, że to rasista, ksenofob i zwolennik wojny religijnej. Postępowi kardynałowie są zaś uduchowieni i piękni, no i jak jeden mąż domagają się progejowskiej polityki Watykanu.

Twórca ma prawo do artystycznej dowolności, jednak zadałem sobie trud przeczytania kilku wywiadów z Harrisem – on wyraźnie opowiadał w nich, że inspiracją było dla niego konklawe z roku 2005, kiedy to liberałowie rozpaczliwie – i nieskutecznie – walczyli o zablokowanie wyboru Josepha Ratzingera, późniejsze-

go papieża Benedykta XVI. Najwyraźniej Ratzinger był w oczach Harrisa diablem wcielonym. Co nie powinno dziwić, gdy przypomnimy sobie, że brytyjski autor bestsellerów to typowy lewicowy liberał dzielący liberalne uprzedzenia wobec Kościoła. Najlepiej widać to w jego książce „Drugi sen”, w której Kościół jest tyranią trzymającą ciemny lud w niewiedzy, wrogiem nauki, wrogiem prawdy i wrogiem wolności.

WYMARZONY PAPIEŻ

Fenomen „Konklawe” to doskonała okazja, by przypomnieć sobie, po co właściwie Hollywood papieża na ekranie – otóż głównie po to, by Kościołowi dołożyć i wytknąć, jak bardzo jest wsteczny i pilnie potrzebujący reformy. Wszystko zgodnie z zasadą obowiązującą w mainstreamowych mediach, że najwięcej do powiedzenia na temat wiary mają niewierzący i że najbardziej aktywnymi oraz głośnymi reformatorami są wrogowie Kościoła. O jakich tytułach było w ostatniej dekadzie najgłośniejsze (oprócz „Konklawe”)?

Dla fikcyjnego bohatera filmu Nanniego Morettiego „Habemus Papam” wybór na papieża był tak ciężką traumą, że potrzebował pomocy psychoanalityka. Wspomnijmy serial „Młody papież”, który suflował narrację, że jeśli w Watykanie pojawi się papież konserwatysta, to z pewnością będzie to jednostka głęboko strauumatyzowana i, najkrócej ujmując, nie do końca normalna. Oraz film Netflixa „Dwóch papieżów”, który próbował pokazać relacje między Benedyktem XVI a jego następcą, Franciszkiem, jako coś w rodzaju przebudzenia „pancernego kardynała”, który odkrywa, że światu bardziej potrzebny jest ktoś taki, jak Jorge Mario Bergoglio.

Owo marzenie o papieżu, który nie byłby orędownikiem Chrystusa, ale głową wielkiej organizacji charytatywnej nie jest w Hollywood niczym nowym. W filmie „Trzewiki rybaka” („The Shoes of the Fisherman”, 1968) reżyser Michael Anderson malował obraz Ojca Świętego z Ukrainy, który aby zapobiec światowej wojnie, ogłasza, że sprzedaje majątek kościelny i za pozyskane pieniądze kupuje zboże dla głodujących komunistycznych Chin. Na rozmaitych listach najlepszych lub najważniejszych filmów papieskich przygotowanych z okazji wyboru nowe-

**Marzenie o papieżu,
który nie byłby orędownikiem
Chrystusa, ale głową wielkiej
organizacji charytatywnej,
nie jest w Hollywood
niczym nowym**

go Ojca Świętego pojawiają się opowieści o legendarnym papieżu kobiecie (czyli różne wersje historii „papieżycy Joanny”). I tak dalej. Z rzadka zdarzały się projekty bardziej zniuansowane, np. Christian Duguay brał w obronę Piusa XII w filmie „Under the Roman Sky” (2010).

Z DALEKIEGO KRAJU

Papież Franciszek przejdzie do historii jako najbardziej „filmowy” z hierarchów Kościoła, obok św. Jana Pawła II – kinowy przegląd dokumentów i fabuła na temat obydwu tych bohaterów zająłby wiele godzin. Różne są jednak konteksty. Postać Karola Wojtyły bywała dla filmowców okazją do opowieści o wielkiej zmianie, czyli o upadku komunizmu. W filmie Krzysztofa Zanussiego „Z dalekiego kraju”, skierowanym przede wszystkim do widza zagranicznego, odbiorcy otrzymali kinowy bryk z najnowszej historii Polski, mieliśmy też parę cukierkowych przedsięwzięć biograficznych.

Z kolei Franciszek okazał się dokładnie taką figurą, o jakiej postępowi filmowcy marzyli – można było wreszcie przeciwstawić „dobrego papieża” „złemu Kościołowi”, a przynajmniej innym „złym hierarchom”. Ten ton pobrzmiwał i w fabularnych biografiiach, i dokumentach. Reżyser włoskiego dokumentu „In Viaggio: The Travels of Pope Francis” (2018) Gianfranco Rosi stwierdził nawet, że jego opowieść o podróżach i nauczaniu papieża to opowieść o porażce. Dlaczego? Bo świat nie chce słuchać. Był dokument koncentrujący się na wciąganiu papieża w szeregi wyznawców świeckiej religii klimatyizmu („The Letter: A Message for our Earth”, 2022). Tym, co łączy większość owych przedsięwzięć, jest traktowanie głowy Kościoła raczej jako wybitnego działacza społecznego, a nie duchowego przewodnika. Jeśli zaś

duchowość się już pojawia, to w charakterystyczny dla współczesnej popkultury sposób. Czyli zamieniający chrześcijaństwo w coś na kształt serii pogadek człowieka dobrej woli dla innych, którzy choć z różnych stron świata i różnych religii, też chcieliby dobrze.

NIEUFNOŚĆ HOLLYWOOD

Wróćmy do wypowiedzi Martina Scorsese dla agencji Associated Press, która poinformowała na początku maja o jego projekcie „Aldeas – A New Story” i ostatnim wywiadzie Franciszka. „Teraz bardziej niż kiedykolwiek musimy ze sobą rozmawiać, słuchać się nawzajem w kontekście międzykulturowym. Jednym z najlepszych sposobów na osiągnięcie tego jest dzielenie się historiami tego, kim jesteśmy, odzwierciedlonymi w naszym życiu osobistym i doświadczeniach” – mówił Scorsese. Może jestem ślepy, ale o religii nie widzę tu zbyt wiele; całość przypomina raczej zgrabne zdania przygotowane dla kursantów przez trenera personalnego. „Dla papieża Franciszka ważne było, aby ludzie na całym świecie wymieniali się pomysłami z szcunkiem, zachowując jednocześnie swoją tożsamość kulturową, a kino jest najlepszym medium, aby to zrobić” – kontynuuje Scorsese. Czy to rzeczywiście najważniejsze zadanie stojące przed Ojcem Świętym?

Zarówno Jan Paweł II, jak i Franciszek – choć z różnych powodów – byliby wspaniałymi bohaterami filmów, w których ktoś na serio potraktowałby wyzwania i rozterki katolików na przełomie stuleci XX i XXI – takich filmów jednak nie mamy i nie wiemy, czy kiedyś się doczekamy. Ciekaw jestem bardzo, jak świat filmu podejdzie do postaci nowego papieża, Leona XIV. Z jednej strony jest pokusa, żeby jak najszybciej zarobić na nowym bohaterze zbiorowej wyobraźni. Z drugiej strony nie wiadomo, jak do niego podejść. Deklaruje się jako kontynuator pontyfikatu Franciszka, ale media wyciągają mu wypowiedzi z przeszłości. Jak choćby ta: „Zachodnie media są niezwykle skuteczne w promowaniu powszechnej publicznej solidarności z przekonaniami i praktykami sprzecznymi z Ewangelią, takimi jak aborcja, homoseksualizm i eutanazja”. Na razie Hollywood pozostaje więc nieufny. Tak jak i my nieufni powinniśmy pozostawać wobec Hollywood. © Wszelkie prawa zastrzeżone

O czym jest „Wesele” Wyspiańskiego? Jak wiadomo – do końca nie wiadomo. O wielu sprawach naraz, bo o polskiej sprawie. A o czym bywa „Wesele” w teatrze? Albo służy do zadawania pytań, jak w oryginale, albo – do udzielania odpowiedzi. Tą drugą, łatwiejszą drogą idą zazwyczaj reżyserzy i dyrektorzy teatrów. Najnowsze „Wesele”, zrealizowane z rozmachem przez Maję Kleczewską w krakowskim Teatrze im. Słowackiego, jest podręcznikowym wręcz przykładem tłumaczenia ciemnemu ludkowi – i sobie samemu – „jak jest”, z gościnnym udziałem słów napisanych kiedyś przez biednego autora.

Wyspiański wpisał do „Wesela” mechanizm dyskursywny, któremu nadał siłę teatralnej i poetyckiej wizji. I to się nadal, po prawie 125 latach od premiery, sprawdza. Wielu o tym pisało, ten dramat to arcytekst, tak jak „Dziady”. W życiu publicznym choćbyśmy nawet nie chcieli, ciągle odgrywamy i „Dziady”, i „Wesele”. Natomiast teatr polski od dekad pracuje nad unieważnieniem tego scenariusza społecznego i odebraniem mu mocy. Jeśli chodzi o stosunek do konceptu tożsamości narodowej, to ludzie teatru są w swym indywidualizmie, tak podkreślanym przy każdej okazji, niepokojąco podobni. Bez zbędnych ceregieli produkują serie spektakli fantazjujących o unicestwieniu poczucia przynależności do narodu. W myśl motta z Marii Janion: „Szczерze nienawidzę naszego mesjanizmu” przewrotnie aktualizują genialny finał „Wesela”, podrygując, na premierach i festiwalach, w konformistycznym stuporze. Niewiele ma z tym wspólnego Wyspiański. Polskość i mesjanizm próbował on zrozumieć,



FOT. BARTŁOJ GARCZYK



Grzegorz Kondrasiuk

Wystarczyło przestawić akcenty, śmiało poprawić Wyspiańskiego w kilku kluczowych miejscach, a resztę znaczeń po prostu unieważnić. Z „Wesela” zrobiono spektakl propagandowy, ojkofobiczny manifest

w imię patriotyzmu, jak sądzę – traktował ironicznie i krytycznie, jak zadane ćwiczenie „do myślenia”. Natomiast nienawiść, jak to z afektami bywa, w myśleniu raczej nie pomaga.

Spektakl jest zrobiony z rozmachem, z udziałem plejady krakowskich aktorów, z kostiumami, tańcem i śpiewami, a zarazem „współcześnie”, bo z myślą o naszej nieszczęsnej licealnej młodzieży. Wyznacza kolejny przystanek na drodze do wymarzonego (przez twórców) końca polskość jako formacji kulturowej – wystarczyło przestawić akcenty, śmiało poprawić Wyspiańskiego w kilku kluczowych miejscach, a resztę znaczeń po prostu unieważnić. Z „Wesela”, wypowiedzianego mniej więcej tak, jak zostało napisane, zrobiono spektakl propagandowy, ojkofobiczny manifest.

Po pierwsze – temat główny wprowadza Rachela, stylizowana na Kasandrę, zinterpretowana ahistorycznie, obciążona traumą po Zagła-

dzie. Pełna złowrogich przeczuć zostanie upokorzona, przepędzona nago przez widownię (co jest właściwie pornografią Zagłady, odtworzeniem wstrząsających fotografii i filmów robionych przez Niemców podczas pogromów i marszów śmierci).

Po drugie – Rycerz (Tomasz Wysocki), ubrany w ciemnozielony mundur wprost kojarzący się z mundurami Wojska Polskiego, to sadystyczny antysemita morderca. Otwiera akt wizyjny, wprowadzając na scenę kilku Żydów wyglądających jak uczniowie szkoły rabinicznej. W trakcie dialogu Stańczyka z Dziennikarzem – padają tu kwestie „wina ojca idzie w syna” i słynne słowa, wypowiedziane przez Poetę, „Polska to jest wielka rzecz” – Rycerz władczymi gestami każe żydowskiemu chłopcom zdejmować spodnie (aby sprawdzić, czy są obrzezani), a potem zabija, jednego po drugim, strzałami z broni ręcznej.

Po trzecie wreszcie – finał jest komentarzem do innej lotnej kwestii, tej o sercu, z rozmowy Poety z Panną Młodą: „A jest jedna mała klatka – o, niech tak Jagusia przymknie / rękę pod pierś”. „A tam puka?”. „Serce – ! –?”. „A to Polska właśnie”. Chochoł, którego gra tancerka (Kaja Kłodzieczyk) w ekstatycznym dygocie, plując krwią, wyrwa sobie to serce i kładzie je na weselnym stole, a potem bezskutecznie próbuje podpalić wiecheć słomy. W tej – jakże głębokiej – symbolice zawiera się cała myśl interpretacyjna „Wesela” Kleczewskiej. A żeby nie było wyłącznie uniwersalne, lecz także aktualnie, dopisano jeszcze kontekst wojny na Ukrainie oraz uwypuklono antagonizm pomiędzy chłopami a szlachtą. Wernyhorrą, prorokiem z zaświatów (jak wiadomo w oryginale bezskutecznie wzywającym Polaków do niepodległościowego działania), jest ukraińska aktorka śpiewaczka (Anna Syrbu). Tylko co to, na dobrą sprawę, znaczy? Czy napadnięta Ukraina woła, abyśmy wsiedli „na koń”? Tak czy inaczej: toksyczna polskość, wyznawana przez szlachtę i inteligencję, nie jest zdolna do niczego innego, jak do mordowania Żydów i gnębienia chłopów. Nic więc dziwnego, że ten świat jest skazany na katastrofę. Zdaje się, że twórcy przedstawienia uważają, iż Polacy na nią sobie zasłużyli, wizualizację w finale pokazując płonący, niszczonej przez wojnę, współczesny Kraków. ©©

STANISŁAW WYSPIAŃSKI,
„WESELE”
TEATR IM. J. SŁOWACKIEGO
W KRAKOWIE
REŻYSERIA: MAJA KLECZEWSKA
PREMIERA: 16 MARCA 2024 R.
POKAZ NA WARSZAWSKICH
SPOTKANIACH TEATRALNYCH:
26 MARCA 2025 R.

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

**Nowa, finalna data zapisów
na akcje Do Rzeczy S.A.
do 13 maja.**

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

**Zainwestuj
w Do Rzeczy S.A.
Kup akcje spółki!**



Paweł Lisicki
REDAKTOR NACZELNY
TYGODNIKA „DO RZECZY”



Do RZECZY S.A.
– LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU
WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE
NA **NEW/CONNECT (GPW)**



Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka”). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej www.dorzeczy.pl/gielda oraz Domu Maklerskiego INC S.A. www.platforma.dminc.pl.



INFOLINIA: +48 508 040 882

Dom maklerski INC S.A.



FOT. MATERIAŁ PRASOWY



PIOTR GÓCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Kod Guya Ritchiego



jedyna w obsadzie, która nie robi wrażenia znudzonej.

Takie kino może się podobać, nawet jeśli jest głupiotkie, wszystko zależy jednak od charyzmy, jakości scenariusza i efektu „wow!”. „Fontanna młodości” zawodzi w każdej z tych kategorii. Krasinski i Portman nie są trafnie obsadzeni, dialogi pełne są niepotrzebnych ekspozycji i oczywistości, a egzotyczne widoczki znaleźć dziś można w byle przygodowej grze wideo. Nowy film Guya Ritchiego kosztował 180 mln dol. Jestem przekonany, że w kinach nie zarobiłby nawet połowy tej kwoty. Czekają go jednak losy gumy do żucia dla oczu w streamingu, jak przydarza się to wielu zupełnie niepotrzebnie nakręconym produkcjom. Dobrym przykładem na kłopot z tym filmem są sceny akcji – Ritchie był kiedyś ich mistrzem, wspomnijmy „Porachunki” czy nawet ostatni pastisz wojenny „Ministerstwo Niebezpiecznych Drani”. W „Fontannie młodości” nawet mordobicia i strzelaniny są nudne. Ani to kino rodzinne, ani na poważnie. Tak szczerze mówiąc, to najbardziej dla nikogo. ©



★★★★★
REŻ. GUY RITCHIE
„FONTANNA
MŁODOŚCI”
(„FOUNTAIN
OF YOUTH”)

wyst. John
Krasinski, Natalie
Portman, Eiza
González

Kino zjada własny ogon: „Fontanna młodości” nie tylko jest beczelną żrątką z serii o Indianie Jonesie, lecz także wykazuje wtórność wobec tych filmów, które już wcześniej z tej klasyki kina nowej przygody zrzucały. Każdy może wybrać ulubiony trop: „Skarb narodów”, „Bibliotekarz”, „Kod Leonarda da Vinci” – Guy Ritchie pożyczka od wszystkich. Pół biedy, gdyby potrafił z tego ulepić coś własnego, tymczasem do wyprodukowanego dla Apple TV+ filmu najbardziej pasuje słowo „wysilony”.

Rodzina poszukiwaczy skarbów opłacana przez miliardera pędzi przez świat w poszukiwaniu

tytułowego źródła wiecznego życia i zdrowia. Goniąca jest międzynarodowa: Tajlandia, Londyn, Wiedeń, Egipt. W roli głównej John Krasinski, jego sceptyczną siostrę gra Natalie Portman, fundatorem poszukiwań jest Domhnall Gleeson, o którym od razu wiadomo, że jest podejrzany: bo rudy i bogaty. Tropem ekipy wzorowanej nieco na kolektywie Ethana Hunta z „Mission Impossible” podąża inspektor Interpolu, który chce wszystkich zapuszkować na kradzież dzieł sztuki. Pojawia się i znika także charyzmatyczna femme fatale, która wie więcej od innych i ma własne powody, by zatrzymać poszukiwania. Gra ją Eiza González,

GRA TYGODNIA: „DOOM: THE DARK AGES – DOOM SLAYER”

Powiew świeżości w gatunku FPS-ów i pokaz siły id Software, godne zwieńczenie nowej trylogii „Doom”. Tarcza, którą dzierży bohater (już nie tak mobilny jak wcześniej) w jednej ręce, jest nie mniej ważna od broni, którą trzyma

w drugiej. Refleks i celne oko to za mało, kluczowe jest odpowiednie blokowanie ataków. Nie oznacza to, że mocno ucierpiała dynamika. Szarżę z użyciem tarczy, poczucie potęgi bohatera, widowiskowość i atrakcyjność walki stoją na



FOT. MATERIAŁ PRASOWY

★★★★★
wysokim poziomie. Nie ma trybu multiplayer. ©

Radosław Wojtas

- **Gatunek:** akcji, FPS
- **Platforma:** XSX, PS5, PC
- **Producent, dystrybutor:** id Software; Bethesda Softworks

W pułapce wolności

KINO

Seks, Berlusconi i kasety wideo – tak Włosi zapamiętali końcówkę XX w. No, może nie wszyscy Włosi, ale na pewno ci, którzy kibicowali poczynaniom Il Cavaliere, Cicciołiny, Moany Pozzi i Ewy Henger. Zasługi medialnego magnata i czterokrotnego premiera dla promowania rozwiązłego stylu życia są znane. Giulia Steigerwalt, ambitna „artystka bez ograniczeń”, zajęła się więc paniami, które rzuciły wyzwanie hipokryzji, zostając pierwszymi w historii słonecznej Italii gwiazdami porno. Scenariusz powstał na podstawie wspomnień asystentki pioniera erotycznego biznesu. Riccardo Schicchi zaczynał od fotografii, ale zasłynął jako reżyser filmów dla dorosłych tudzież odkrywca „talentów” wyżej wspomnianych niewiast.

„Diva Futura” podobnie jak w „Boogie Nights” bazuje na kontraście między publicznym wizerunkiem bohaterów, ich codzienną egzystencją oraz wyobrażeniami na własny temat. „Misjonarki miłości” zyskują miano celebrytek. Goszczą w programach telewizyjnych, zakładają partię i startują w wyborach (ten wątek został



★★★★★
REŻ. GIULIA STEIGERWALT
„DIVA FUTURA”
WŁOCHY 2024

wyst. Pietro Castellitto, Tesa Litvan, Denise Capezza

zaledwie muśnięty, a szkoda). Z kolei Schicchi, upozowany na św. Franciszka, mentalnie zatrzymał się na poziomie 12-latka. Wrażliwy romantyk, uczciwy biznesmen, kobiety nie uderzyłyby nawet kwiatkiem. Ubolewa, że „w życiu zawsze wygrywają najniższe instynkty”. Steigerwalt ma do chronologii podejście swobodne, więc prawie od początku wiemy, że naiwnemu Riccardo pisany jest los męczennika. Trudno mówić o zaskoczeniu. Rewolucje, również obyczajowe, z reguły pożerają swoje dzieci. Beneficjentami wojny z kołtunierią zostali bezwzględni cwaniacy, ani chyba związani ze światem przestępczym. Od kultu wolności i kobiecych ciał do przemocy i patologii prowadzi droga szeroka niczym autostrada.

Schicchi miał problemy z prawem. Wśród zarzutów (które sąd uznał za zasadne) było czerpanie zysków z prostytucji i wspieranie nielegalnej imigracji. Szef firmy „Diva Futura” przygarniał i zatrudniał cudzoziemki, co czyni zeń idealnego bohatera współczesności. Młodość wspomniana po latach zwykle wydaje się niewinna i pełna powabu, więc ani myślę polemizować z pastelową wizją pani Giulii. Jednak trochę się jej dziwię. ©©

Wiesław Chelminiak

KARIERA SIDNEYA F.



Nawet w cynicznym cwaniaku czasem budzi się sumienie. Sto lat temu urodził się Tony Curtis, gładysz z urodzenia, gwiazdor z wyboru. Sławę zapewniły mu umizgi do boskiej Marilyn w komedii „Pół żartem, pół serio”, aktorsko najlepiej spisał się w „Słodkim zapachu sukcesu” – klasyku kina moralnego niepokoju. Jako agent prasowy Sidney Falco, „czaruś o 40 twarzach”, wysługiwał się jeszcze bardziej niegodziwej figurze. Ów łotr, felietonista gazety, przed którym drżą artyści, politycy i biznesmeni, ma kłopot: jego siostra zadurzyła się w Panu Nikim, czyli gitarzyście jazzowym. W tle nowojorska betonowo-asfaltowa dżungla, gdzie kobiety są towarem, a korupcja i szantaż chlebem powszednim. Curtis błyszczy, lecz film dobrze zniósł upływ czasu także dzięki grze Burta Lancastera i muzyce Elmera Bernsteina. ©©



★★★★★
REŻ. ALEXANDER MACKENDRICK
„SŁODKI ZAPACH SUKCESU”
USA 1957

wyst. Tony Curtis, Burt Lancaster, Susan Harrison

DO ZOBACZENIA

Wyjście z cienia



RADOSŁAW
WOJTAS

GDZIE?
Zamek Królewski na Wawelu
KIEDY?
ekspozycje stałe

Dwie nowe wystawy stałe na Wawelu. Pierwsza – „Miasteczko wawelskie” – jest opowieścią o codziennym życiu toczącym się na wzgórzu tuż obok zamku i katedry. „Na pierwszym planie ukazano to, co zwykle pozostaje w cieniu – codzienność służby, urzędników, rzemieślników, psalterzystów i kanoników katedralnych, uczniów szkoły katedralnej oraz wszystkich



FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

tych, którzy stanowili zaplecze dla władcy i biskupa” – piszą kuratorzy. Centrum opowieści są

znalezione na wzgórzu przedmioty codziennego użytku.

Druga wystawa – „Międzymurze” – to wystawa podziemna, rezerwat archeologiczno-architektoniczny w zachodniej części wawelskiego wzgórza. „Ramy wystawowej przestrzeni tworzą mury wewnętrzne i zewnętrzne fortyfikacji z końca XVIII wieku. Pomiedzy nimi znajdują się odsłonięte przez archeologów obwałowania wzgórza od XI do XIX wieku”. ©©

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Pióra łamane wstydem

Znakomitą monografię Jana Parandowskiego (1895–1978), autora „Mitologii”, „Alchemii słowa” i „Nieba w płomieniach”, medalisty igrzysk olimpijskich w 1936 r. w konkursie sztuki za „Dysk olimpijski”, wieloletniego prezesa Polskiego PEN Clubu napisała Grażyna Pawlak. Wcześniej podobne, zresztą nieliczne, prace o charakterze dokumentacyjnym powstały o Julianie Tuwimie, Władysławie Broniewskim, Tadeuszu Boyu-Żeleńskim i Gabrieli Zapolskiej. Ta jednak robi wyjątkowe wrażenie, może dlatego, że uporządkowane i zweryfikowane fakty z życia Parandowskiego tworzą portret twórcy niekoniecznie zgodny z powierzchowną wiedzą na jego temat i powszechnymi odczuciami.

Już samo ustalenie genealogii pisarza to prawdziwe przedzieranie się przez gąszcz zagadek i niewyjaśnionych do końca zdarzeń. Nosił bowiem Jan Parandowski nazwisko matki, a jego ojcem był – co ukrywał pisarz przez lata całe – Jan Bartoszewski, ksiądz grekokatolicki, kanonik, profesor Uniwersytetu Lwowskiego. Jeszcze na maturze przyszłego autora „Nieba w płomieniach” odnotowana została religia grekokatolicka.

Aleksander Wat w liście do Czesława Miłosza pisał, że pisarz „odciął się doskonale od ojca, Ukraińca-diaka”. Naprawdę zmarły w 1920 r. ojciec Jana Parandowskiego po przyjęciu święceń nie mógł się ożenić. Gdy matka pisarza zmarła pięć lat później, została pochowana w grobowcu rodziny Bartoszewskich na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.

Zarówno we Lwowie, jak i później w Warszawie podejmował się przed wojną Jan Parandowski różnych prac, najczęściej redaktor-

skich, utyskując za każdym razem, że odrywają go one od najważniejszego zajęcia – pisarskiego, a i nie zapewniają odpowiednio wysokich gratyfikacji materialnych (choć Mieczysław Grydzewski płacił mu za artykuły w „Wiadomościach Literackich” po królewsku). Dopiero Polskie Radio zapewniło mu pracę w pełni satysfakcjonującą. Od lutego 1936 r. był tam zastępcą kierownika literackiego, co według Czesława Miłosza wyglądało tak: „Zjawiał się w biurze późno, czytał »Nouvelles Litteraires« albo inny periodyk w tym rodzaju i szedł na kawę”. Aż tak pięknie oczywiście nie było, niemniej inkasował Parandowski co miesiąc ponad 1 tys. zł i to pozwoliło mu na nabycie na własność ładnego mieszkania na Ochocie.

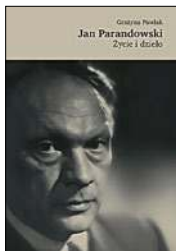
Wojna zmieniła wszystko, przywróciła też Jana Parandowskiego, dotąd religijnie raczej indyferentnego, na łono Kościoła, poniekąd za sprawą jego drugiej żony, Ireny Helzel, Żydówki, która przed ich ślubem w 1925 r. przeszła konwersję na katolicyzm. Wcześniej, w trakcie trzyletniego pobytu w Rosji, gdzie przeżył rewolucję bolszewicką, związał się Parandowski z Aurelią Wyleżyńską, z tym że ich akt małżeński, jeden z tych, które w porewolucyjnej Rosji – rzecz można – rozdawano w urzędach, nie był uznawany w Polsce.

W 1958 r. wziął Jan Parandowski udział w pierwszej pielgrzymce pisarzy na Jasną Górę, gdzie wraz z m.in. Anną Kamieńską, Janem Dobraczyńskim, Pawłem Jasienicą, Zofią Kossak czy Zygmuntem Kubiakiem mógł wysłuchać księdza prymasa Stefana Wyszyńskiego apelującego do ludzi pióra o większą wrażliwość i ujmowanie się za biednym i krzywdzonym: „Ktoś musi się nad nim zlitować

– mówił prymas – bo to przecież twój brat, twój rodak! A chociaż byłby twoim wrogiem – człowiekiem jest! Będziesz jeszcze brudnym piórem dziobał jego rany? Będziesz je rozdrażniał, zanieczyszczał, przelewał w niecałą twoją brudną duszę, zapłaconą groszami od wiersza, by ponieierać cierpiących i zmęczonych Polaków? Tyle się brudu leje! Papieru i atramentu brak. Ale nie brak rannych, cierpiących, wyrzuconych i sponiewieranych Polaków! Czy wy mielibyście należeć do tego grona, które tylko rozgrzebuje rany swych udręczonych braci?”

Nie miał Parandowski temperamentu politycznego, w PRL zarzucano mu asekuracyjność wobec władz, ale nawet jego taktyczne milczenie miało niebagatelne znaczenie. Nie zamykał się też wcale w „bańce” historii starożytnej, filologii klasycznej, antyku. W 1964 r. podpisał List 34, najgłośniejszy protest intelektualistów przeciw polityce kulturalnej komunistycznego państwa. A już w 1947 r. w „Odrodzeniu” pisał – jak miało się okazać – proroczo: „Niebawem rozpoczną Niemcy wielką ofensywę moralną przeciw tym, których wczoraj zabijali i tępił z zamiarem całkowitej zagłady.”

W coraz już śmielszej propagandzie ludność polska, nawet księża polscy są przedstawiani jako nieludscy oprawcy na Ziemiach Odzyskanych. Można być pewnym, że w niedalekiej przyszłości znajdą się pióra dość nikczemne, by najpierw zohydzić męczeńskie narody, następnie zaryzykować rehabilitację katów Europy. Nie wystarczy wtedy protestować, karcić, oburzać się, trzeba zmusić do myślenia, trzeba także pióra łamać wstydem. Może to zaś uczynić tylko ciągła naozność faktów”. © ©



★★★★★

GRAŻYNA
PAWLAK„JAN
PARANDOWSKI.
ŻYCIE I DZIEŁO”INSTYTUT BADAŃ
LITERACKICH PAN,
WARSZAWA 2023



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Korona królów

Nakład książki prof. Przemysława Urbańczyka „Bolesław Chrobry – lew ryczący” od dawna jest już wyprzedany, ale na pociechę dostaliśmy esencjonalną książeczkę „Co się stało w 1025 roku?”, w której ten sam autor barwnie opisuje najważniejsze, oprócz chrztu Polski, wydarzenie w dziejach naszego kraju.

Co zwraca uwagę, to dwie kwestie: upór, z jakim Chrobry o koronę zabiegał, a był bliski osiągnięcia swego celu kilkakrotnie. Druga sprawa to polityka niemiecka, w której przychylność Ottona II była tylko niewiele znaczącym epizodem. Tak naprawdę bowiem rytm relacji polsko-niemieckich wyznaczały powtarzające się regularnie germańskie jazdy, raz za razem odpierane przez budowane przez Bolesława państwo. Zmagania militarne to tylko część układanki; dzieje organizowanych przez Niemców zamachów, skrytobójstw, porwań czyta się jak sensacyjną powieść historyczną.

Już we wstępie używa prof. Urbańczyk ciekawego pojęcia, które zasługuje, moim zdaniem, na wielką karierę. Opisuując wysiłek państwowotwórczy polskich Piastów, czeskich Przemysławów, węgierskich Arpadów, chorwackich Trpimirowiczów czy weneckich Orseolów, odnotowuje,

że „ze zmiennym szczęściem utrzymywali swoją względną niezależność w przestrzeni międzyimperialnej”. Słowa „przestrzeń międzyimperialna” uważam za kluczowe nie tylko dla czasów Bolesława Chrobrego, lecz także dla całej historii Polski. Oczywiście tysiąc lat temu były to inne imperia, o wpływy na terenie przyszłego Międzyzmorza rywalizowały Bizancjum oraz siły pretendujące do tytułu dziedzica tradycji rzymskiej. Nie zmienia to faktu, że od samego początku było polskie królestwo w położeniu niekorzystnym. Co powinno skłaniać nas do większego szacunku dla dokonania tych, którzy w owej międzyimperialnej przestrzeni swoje osobne miejsce zdołali utrzymać.

Co ciekawe, choć Chrobry dla krzewienia nowej wiary chrześcijańskiej miał zasługi dużo większe niż Mieszko I, to nigdy nie został odpowiednio doceniony przez Kościół. Bar-

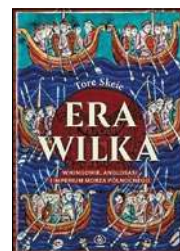
dzo ciekawe są też fragmenty, w których Urbańczyk pisze, jak szybko powstał poza granicami Polski mit „potężnego wschodniego króla”, który trzęsie Rusią i Słowiańszczyzną. Tak, chodziło o Chrobrego. Najgorszymi epitetami obrzucał go za to niemiecki kronikarz Thietmar. Minęło tysiąc lat i niewiele się zmieniło. ©



★★★★★
PRZEMYSŁAW
URBAŃCZYK
„CO SIĘ STAŁO
W 1025 ROKU?”
ZYSK I S-KA

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Rywalizacja Anglosasów i wikingów na Morzu Północnym, mit założycielski Norwegii, burzliwe początki podboju Brytanii, polityka i życie codzienne – norweski historyk łączy to w barwną i pełną zaskakujących detali opowieść.



TORE SKEIE
„ERA WILKA”
REBIS

Wyznania bywalca, czyli podsumowanie ćwierć wieku wypraw polskiego krytyka do Cannes. Często nie zgadzam się z opiniami Sobolewskiego, ale jego wspomnienia z największego targowiska próżności czytałem łapczywie.



TADEUSZ
SOBOLEWSKI
„CANNES. RELIGIA
KINA”
AGORA

Przemyslenia publikowane na stronie solidarni2010.pl w latach 2021–2024. Mozaika felietonów, polemik, listów otwartych, czasem wierszy; mądre i błyskotliwe teksty, które zasługują na uważną lekturę i nowy krąg odbiorców.



MARCIN BOGDAN
„OSTATNIE
LATA POLSKI
W FELIETONACH”
SOLIDARNI 2010

Do kanonicznej sagi o Andrew Wigginie („Gra Endera”) Card dopisał serię „Saga Cienia” o drugoplanowych postaciach serii. Poziom się nie obniżył, a w dodatku nie ma drugiego tak empatycznego twórcy powieści SF.

© © recenzuje Piotr Gociek



ORSON SCOTT
CARD
„CIEŃ ENDERA”
VESPER

KOMIKS TYGODNIA: OFERMA WIELKI

Kajko, Kokosz, Mirmił, Lubawa, Łamignat, Krwawy Hegemon – to dobra zbyt ważne dla polskiego komiksu, aby zostawić je w rękach jednych tylko kontynuatorów dzieła Janusza Christy. I oto ukazuje się kolejna antologia, w której zmieniają się scenarzyści



AUTORZY RÓŻNI
„KAJKO I KOKOSZ.
OFERMA WIELKI”
STORY HOUSE
EGMONT 2025

i rysownicy oraz style graficzne, ale pozostają humor, błyskotliwość i ciepło.
© ©

Piotr Gociek

Prezydentura na słabą tróję



Łukasz Warzecha

Jeśli nie zajdą żadne nadzwyczajne okoliczności – a nie jest to bynajmniej w naszej sytuacji pewne – to w sierpniu tego roku swoje 10-letnie urzędowanie jako prezydent RP zakończy Andrzej Duda. Jakim był przez te dwie kadencje prezydentem?



Andrzej Duda, jako drugi obok Aleksandra Kwaśniewskiego spośród dotychczasowych sześciu prezydentów w III RP (wliczając w to wybranego jeszcze przez Zgromadzenie Narodowe Wojciecha Jaruzelskiego), wywalczył sobie reelekcję, a 10 lat to kawał czasu.

Ocena 10-letniej prezydentury jest bardzo trudna. Bo w jaki właściwie sposób i jaką metodą oceniać? Względem ocze-

kiwań? Względem innych prezydentów? Względem możliwości, które teoretycznie dany prezydent miał, zadając sobie pytanie, czy je należycie wykorzystał? Wreszcie – względem poglądów oceniającego? Gdybym miał te wszystkie kryteria w jakiś sposób połączyć i ujednolicić, musiałbym uznać, że była to prezydentura średnia, a momentami słaba. Nie tragiczna, nie beznadziejna, ale właśnie słaba. W skali szkolnej od 1 do 6 ocena sięgałaby

najwyżej stopnia dostatecznego, momentami zjeżdżając nawet do miernego.

„DŁUGOPIS” CZY PREZYDENT NIEZALEŻNY?

Noc ze środy na czwartek, z 2 na 3 grudnia 2015 r., to moment, gdy Andrzej Duda popełnił grzech pierworodny. Dzisiaj, gdy przez dekadę nawarstwiły się na nim niezliczone kolejne zdarzenia, wiele osób może już



FOT. WOJCIECH DULSKI/KEA NEWS

Historia jest doskonale znana: powołanie sędziów wyłonionych nieprawidłowo było reakcją na podobne działanie Platformy Obywatelskiej w samej końcówce VII kadencji parlamentu, tyle że reakcją nadmiarową. Znana mi relacja jednego z ówczesnych współpracowników prezydenta wskazuje, że Andrzej Duda doskonale rozumiał, iż popełnia w tym momencie delikt konstytucyjny.

Nie miejsce tutaj na opisywanie pozornych prawnych uzasadnień tego posunięcia. Ważne jest, że niedoświadczony prezydent ze stażem zaledwie kilku miesięcy nie znalazł wówczas w sobie wystarczająco wiele asertywności, żeby sprzeciwić się swojemu politycznemu patronowi, który postanowił nie czekać na wygaśnięcie kadencji prawidłowo powołanych sędziów TK i pójść na rympał. Polityczna argumentacja była doskonale znana: wszyscy politycy PiS powtarzali wtedy za Kaczyńskim, że gdyby nie to, trybunał sparaliżowałby ich rządy.

Oczywiście nie wiemy, czy tak by się stało – wydaje się to raczej mało prawdopodobne. Jasne jest, że sędziowie mają swoje polityczne poglądy – przecież dlatego właśnie PiS tak się spieszył, żeby obsadzić TK swoimi nominatami. Jednak praktyka TK pokazywała, że choć ogólna linia jego działania była dość czytelna, to jednak nigdy nie była stuprocentowo jednolita. Ważniejsze jest, że za sprawą tamtej decyzji prezydenta rozpoczął się trwający do dzisiaj radykalny i podmywający państwo konflikt o wymiar sprawiedliwości. Być może gdyby Andrzej Duda zaprzysiągł tamtej nocy jedynie sędziego Pszczółkowskiego, nie byłoby wielu późniejszych dramatycznych zwrotów akcji, z masowymi protestami w 2017 r. w sprawie ustaw sądowych czy użyciem przez Komisję Europejską szantażu w postaci KPO łącznie.

Ironia losu polega na tym, że uległość wobec PiS i Jarosława Kaczyńskiego wcale nie trwała długo. Wbrew złośliwym przydomkom Długopis oraz Adrian (ten ostatni miał korzenie w satyrycznym serialu Roberta Górskiego „Ucho Prezesa”) przez większość swoich dwóch kadencji Andrzej Duda utrzymywał z Nowogrodzką relacje zaledwie poprawne, a często wręcz pełne napięcia. Zaowocowało to rekordową liczbą zawetowanych ustaw własnego obozu politycznego – naj-

większą w historii prezydentur III RP, zarówno w samej pierwszej kadencji, jak i w obu. Prezydent Duda sięgał po weto w takich sytuacjach aż dziewięciokrotnie.

Najgłośniejszym wetem było to do dwóch spośród trzech ustaw sądowych (o Sądzie Najwyższym i o Krajowej Radzie Sądownictwa) w lipcu 2017 r. O pozostałych mniej się pamięta – a to błąd. Ogromne znaczenie miało weto w sierpniu 2018 r. do ustawy zmieniającej ordynację do Parlamentu Europejskiego. Był to bodaj jedyny raz, gdy prezydent serio potraktował wspólne apele mniejszych ugrupowań oraz think tanków, z Klubem Jagiellońskim na czele. Wskazywały one, że przegłosowana przez Sejm nowelizacja uprzywilejowuje największe partie, podczas gdy te mniejsze tracą w ogóle szansę na zdobycie mandatów.

Mniej pamiętane – ale także głośne – weto to chociażby to do ustawy degradacyjnej. Prezydent powoływał się na automatyzm przewidzianej procedury i wskazywał na niedopuszczalność mechanizmu odpowiedzialności zbiorowej. Jednak w grudniu 2016 r. nie miał wątpliwości co do podpisania ustawy dezubekizacyjnej, która stosowała dokładnie taki sam mechanizm, co dzisiaj odbija się państwu polskiemu czkawką. Było też głośne weto w grudniu 2021 r. do nowelizacji Ustawy o radiofonii i telewizji, zwanej „lex TVN”.

Kilkakrotnie się zdarzyło, że Andrzej Duda był boleśnie i bezceremonialnie upokarzany przez PiS. I nie chodzi tutaj o wymowne gesty, takie jak niepodanie ręki przez pana Kaczyńskiego. Pierwszą taką sytuacją było odrzucenie przez zdominowany przez PiS Senat VIII kadencji prezydenckiego wniosku o referendum konsultacyjne w sprawie zmiany konstytucji. Dzisiaj nikt już prawie nie pamięta tej dziwacznej inicjatywy Dudy, ogłoszonej w 2017 r. W ramach pytań, które miały się pojawić w referendum, prezydent zamierzał zapytać o wpisanie do konstytucji członkostwa Polski w Unii Europejskiej – pomysł zaiste skrajnie kuriozalny.

Drugie pamiętne upokorzenie miało miejsce w 2020 r. Najpierw prezydent zaszantażował PiS odmową podpisania ustawy, w ramach której rządowa telewizja zostałaby dofinansowana z budżetu ogromną sumą 2 mld zł. Szantaż

nie pamiętać, że właśnie wtedy prezydent zaprzysiągł – ulegając naciskowi prezesa Jarosława Kaczyńskiego – czterech sędziów Trybunału Konstytucyjnego: Henryka Ciocha, Lecha Morawskiego, Mariusza Muszyńskiego i Piotra Pszczółkowskiego. Tylko ten ostatni był wyłoniony prawidłowo, trzech pierwszych zaś było – jak to do dzisiaj określa obóz obecnej władzy – dubletami.

pozornie okazał się skuteczny – Jacek Kurski, który z TVP zrobił propagandową jacejkę, stracił stanowisko prezesa w marcu. Żeby już kilka miesięcy później – w lipcu, gdy ustawa była już podpisana i pieniądze zagwarantowane – powrócić triumfalnie na fotel przy Woronicza. Andrzej Duda został wtedy ograny jak dziecko.

Sprawę relacji pomiędzy kierownictwem PiS a prezydentem ilustruje najlepiej anegdota z dnia otwarcia gmachu Muzeum Historii Polski 29 września 2023 r., tuż przed wyborami. Imponujący budynek MHP oglądali wówczas Andrzej Duda w otoczeniu swoich współpracowników oraz Jarosław Kaczyński ze swoimi ludźmi. Ta druga grupa bardzo się pilnowała, żeby nie spotkać się z tą pierwszą. Do tego stopnia, że gdy do sali, w której obecny był prezes PiS, zbliżała się delegacja prezydenta, współpracownicy Naczelnika ostrzegali: „Idzie, idzie!” – i pospiesznie wyprowadzali Kaczyńskiego do innej części gmachu.

POLITYKA ZAGRANICZNA I UKRAINA

Relatywnie najmocniejszą stroną prezydenta była polityka zagraniczna. Jedną z pierwszych zagranicznych wizyt, jeszcze w listopadzie 2015 r., nowa głowa państwa złożyła w Chinach. Andrzej Duda wracał tam później dwukrotnie – w latach 2022 i 2024. To dążenie do utrzymania dobrych relacji z Pekinem trzeba mu policzyć zdecydowanie na plus, zwłaszcza że było to działanie niekoniecznie zgodne z życzeniami administracji USA, której przedstawiciele czuli się w Polsce jak gubernatorzy.

Właśnie Stany Zjednoczone były drugim ważnym dla prezydenta kierunkiem, ale ten dla obozu PiS był w gruncie rzeczy standardowy, więc trudno uznać to za wyjątkowe osiągnięcie.

Częścią tej dziedziny działalności Andrzeja Dudy jest jego aktywność w relacjach polsko-ukraińskich głównie po 24 lutego 2022 r. I tutaj, w szkolnej skali, należy się jedynka – niedostateczny.

W swojej ciekawej książce „Duduś. Prezydent we mgle” dziennikarz „Newsweeka” Jacek Gądek zawarł opowiedaną ustami ludzi z otoczenia Andrzeja Dudy relację m.in. z dramatycznego wyjazdu polskiego prezydenta do Kijowa

Andrzej Duda konsekwentnie ignorował coraz bardziej asertywną i beczelną postawę władz ukraińskich wobec Polski.

Nie był w stanie przewidzieć, a potem to lekceważył, że Kijów brutalnie realizował własne interesy kosztem naszego kraju

w przededniu wybuchu wojny. W tym okresie – bezpośrednio poprzedzającym rozpoczęcie rosyjskiej agresji oraz bezpośrednio następującym po nim – działania prezydenta dają się wytłumaczyć. Polskie wsparcie dla Ukrainy w pierwszym okresie wojny wydaje się racjonalne i wszystko wskazuje na to, że miało zasadnicze znaczenie dla skutecznego przeciwstawienia się naszego sąsiada początkowym ciosom Rosji.

Jednak polityka, którą prowadził Andrzej Duda wobec Ukrainy później, aż do mniej więcej 2024 r., nie daje się już obronić. Symboliczne są tutaj jego tak kuriozalne wystąpienia jak to z 3 maja 2022 r., w którym prezydent oznajmił: „Ukrainy, która – mam nadzieję – będzie na dziesięciolecie, a daj Boże i na stulecie, państwem bratnim dla Rzeczypospolitej, pomiędzy którym a nami, Polską – jak, mam nadzieję, proroczo powiedział prezydent Wołodymyr Zełenski – nie będzie granicy [...]”.

Andrzej Duda konsekwentnie ignorował coraz bardziej asertywną i beczelną postawę władz ukraińskich wobec Polski. Nie był w stanie przewidzieć, a potem to lekceważył, że Kijów brutalnie realizował własne interesy kosztem naszego kraju (eksport produktów rolnych do UE czy wypiękanie polskich przewoźników z unijnego rynku). W żadnym momencie nie wskazał, że nasza polityka wobec Ukrainy powinna wreszcie stać się warunkowa i podmiotowa. Transakcyjna.

Ignorował także coraz bardziej aroganckie wypowiedzi ukraińskich polityków wobec Polski, a przoduującego w nich przedstawiciela ukraińskiego państwa, byłego już ambasadora Wasyla Zwarycza, odznaczył Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Zasługi Rzeczypospolitej, co wywołało słuszne oburzenie. Zwłaszcza że oficjalnie odznaczenie to jest przyznawane za zasługi w budowaniu wzajemnych relacji, a to ostatnia rzecz, z którą ambasador był kojarzony.

Jest wreszcie kwestia rzezi wołyńskiej. W tej sprawie prezydent po prostu się skompromitował – trudno to inaczej określić. Jednym z najbardziej symbolicznych momentów jego prezydentury był jego atak na śp. ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego w 79. rocznicę apogeum ukraińskich zbrodni. Obaj panowie spotkali się na uroczystościach w stolicy i wtedy właśnie prezydent wysyczał pod adresem duchownego pamiętne: „Niech ksiądz waży słowa!”. Później zaś dopełnił autokompromitacji, stwierdzając, że ks. Isakowicz-Zaleski „biega z widłami”, co w kontekście wołyńskiego ludobójstwa było metaforą wyjątkowo paskudną.

Obraz prezydenta obojętnego na sprawę ukraińskich zbrodni uzupełniły uroczystości w ich 80. rocznicę, kiedy to Wołodymyr Zełenski łaskawie na moment pojawił się na nabożeństwie w katedrze w Łucku, w towarzystwie Dudy, a potem ten ostatni napisał na X: „Razem oddajemy hołd wszystkim niewinnym ofiarom Wołynia! Pamięć nas łączy! Razem jesteśmy silniejsi”. Kim był ów „Wołyń” mający na koncie jakieś ofiary – nie wiemy do dzisiaj. Wiemy natomiast, że było to powielenie ukraińskiej narracji, która unika jak ognia wskazania narodowości morderców tysięcy Polaków.

Wasył Zwarycz został przez prezydenta odznaczony, natomiast ks. Tadeuszowi Isakowiczowi-Zaleskiemu nie przyznano Orderu Orła Białego również pośmiertnie, gdy wcześniejszy spór z Dudą powinien zostać uznany za należący do przeszłości.

WOLNOŚCI OBYWATELSKIE

Prezydent Andrzej Duda nie sprawdził się w roli obrońcy wolności obywatelskich. Tak się składa, że dwukrotnie mógł się pokazać w tej roli. Po raz pierwszy podczas pandemii. Rząd Mateusza Morawieckiego regularnie gwałcił wtedy prawa obywateli, wprowadzając rozporządzeniami daleko

idące ograniczenia wolności, które powinny być wprowadzane jedynie na poziomie ustawowym lub po wcześniejszym zarządzeniu jednego ze stanów nadzwyczajnych. W tamtym okresie prezydent wykazywał w ogóle bardzo niewielką aktywność, a gdy wypowiadał się publicznie, stwierdzał, że nie widzi żadnego problemu ani w poczynaniach rządu, ani policji. Ta ostatnia – pracująca pod nadzorem ułaskawionych na początku pierwszej kadencji przez Andrzeja Dudę, przed uprawnoczeniem się wyroku, Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika – za sprawą swoich działań w trakcie pandemii zanotowała rekordowy spadek zaufania społecznego, którego już nie odbudowała.

Drugą okazją była wojna na Ukrainie. Wtedy to rząd PiS sięgnął po narzędzia cenzorskie, korzystając z ówczesnie obowiązującego Prawa telekomunikacyjnego i zablokował strony „Najwyższego Czasu!”, wRealu24 czy „Myśli Polskiej”. Prezydent w ogóle nie zainteresował się tymi aktami cenzury prewencyjnej – wyraźnie zakazanej przez polską konstytucję (poza okolicznościami stanów

trybunału. Faktycznie stworzono wtedy system – do dzisiaj trwający w zasadzie w niezmienionej postaci – całkowicie fikcyjnej kontroli post factum. Przeciwno takim regulacjom protestowały wtedy organizacje zajmujące się ochroną wolności obywatelskich. Prezydent spotkał się z ich przedstawicielami i tłumaczył, że ustawę musi podpisać, bo trzeba wykonywać wyrok TK, ale obiecał, że uwzględniając ich uwagi, sam w ramach inicjatywy ustawodawczej przygotowuje nowelizację. Nigdy tej obietnicy nie dotrzymał.

Gdy na jego biurko trafiła ostatnio bardzo groźna ustawa nowelizująca Kodeks karny (znana jako ustawa przeciwko „mowie nienawiści”), zamiast użyć weta, skierował ją do TK. To decyzja niezrozumiała, ponieważ jego następcą – gdyby miał nim zostać Rafał Trzaskowski – może akt z trybunału po prostu wycofać i podpisać. To kwestia jednego dnia. Weto zaś oznaczałoby, że do jego obalenia potrzeba by w Sejmie trzech piątych, czyli 276 głosów (jeśli na sali byłiby obecni wszyscy posłowie) – tyle nie ma cała koalicja włącznie z kołem

był specjalnie tą problematyką zainteresowany, a kurs społeczno-gospodarczy jego obozu politycznego wyznaczali ludzie tacy jak wieczny przewodniczący Solidarności Piotr Duda.

Nigdy też prezydent nie skorzystał ze swoich prerogatyw, aby obronić przedsiębiorców przed opresją podatkową czy instytucjonalną. Bez mrugnięcia okiem podpisał ustawy tworzące pakiet Polskiego Ładu, co zresztą odbiło się PiS czkawką w 2023 r. Symbolicznym dopełnieniem socjalistycznego kursu tej prezydentury stało się niedawne weto do ustawy obniżającej składkę zdrowotną dla przedsiębiorców. Uzasadnienie, po które sięgnął prezydent, było typowe dla lewicy: nie może być tak, że ktoś będzie miał lepiej (mimo że prawie nikt wskutek tej regulacji nie miałby gorzej niż obecnie), a „sprawiedliwość społeczna” musi być.

GRACZ BEZ DRUŻYNY

Jednym z najpoważniejszych zarzutów wobec prezydenta jest ten, że choć dysponował wszelkimi instrumentami niezbędnymi dla realizacji celu, to nie zdołał stworzyć własnego środowiska czy też nieformalnego obozu politycznego. Wspomniana prezydentka Narodowa Rada Rozwoju mogła się stać jego zaczątkiem, tak się jednak nie wydarzyło.

Lech Kaczyński, u którego Duda był ministrem, miał swoje lucieńskie semina. Spotykali się na nich intelektualiści, którzy dyskutowali o metapolityce, co może miało ograniczone znaczenie praktyczne, ale w przypadku urzędu takiego jak prezydent RP jest jednak istotne. Daje podbudowę dla praktycznego działania. Referaty wygłaszane w Lucieniu tworzą obszerny, do dzisiaj interesujący wolumin. Niczego takiego po swoich dwóch kadencjach Andrzej Duda nie pozostawia. Ta prezydentura nie miała waloru państwowotwórczego i nie przyniosła żadnej wizji – w przeciwieństwie do prezydentury Lecha Kaczyńskiego. Z koncepcją tragicznego zmarłego prezydenta można było się nie zgadzać, ale była ona bardzo czytelna.

Po prezydenturze Andrzeja Dudy nie zostanie nic tej miary, jedynie spis doraźnych i reaktywnych działań. Tak dokumentnie zmarnowana okazja nie zasługuje na więcej niż słaba trója.

Wspierając kandydaturę Karola Nawrockiego na konwencji w Łodzi, prezydent Andrzej Duda chwalił się, że stał na straży „socjalnych zdobyczy PiS”. Tak było faktycznie

nadzwyczajnych, a i to w ograniczonym zakresie, nieobejmującym Internetu). Trudno było jednak tego oczekiwać, skoro jego własni ministrowie – ze skrajnie proukraińskim Jakubem Kumochem na czele – wyzywali publicznie publicystów krytykujących proukraińską politykę polskiego państwa od „powielających rosyjską propagandę”.

Prezydent zresztą w ogóle wykazywał obojętność na sprawy obywatelskich swobód. Symboliczny w tej mierze jest epizod z początku jego prezydentury. Realizując wyrok TK, nakazujący stworzenie systemu nadzoru nad kontrolą operacyjną prowadzoną przez służby, większość PiS uchwaliła w styczniu 2016 r. tzw. ustawę inwigilacyjną, zmieniającą przede wszystkim Ustawę o policji i kilka innych ustaw. W rzeczywistości był to humbug mający jedynie formalnie zrealizować wyrok

Razem. Oczywiście ustawę można by próbować uchwalić od nowa, ale to rozdziłoby ryzyko, że tym razem skończy się to niepowodzeniem np. wobec niepoparcia jej przez klub PSL. Dlaczego Andrzej Duda nie sięgnął w tak fundamentalnej kwestii po najmocniejsze narzędzie, pozostaje zagadką.

SOCJALISTA Z PRZEKONANIA

Wspierając kandydaturę Karola Nawrockiego na konwencji w Łodzi, prezydent Andrzej Duda chwalił się, że stał na straży „socjalnych zdobyczy PiS”. Tak było faktycznie. Przez całą swoją prezydenturę odchodzący prezydent ani razu nie wystąpił z inicjatywą opartą na koncepcjach wolnorynkowych, mimo że takie pojawiały się ramach działającej przy prezydencie Narodowej Rady Rozwoju. Wydaje się, że prezydent nie



Paweł Chmielewski

Zachodnie elity od dawna prowadzą globalny program redukcji populacji. Istotną rolę odgrywały w tym Stany Zjednoczone

Dzietność w Unii Europejskiej cały czas spada. Na początku marca tego roku Eurostat podał, że w roku 2023 w krajach unijnych na świat przyszło 3,67 mln dzieci – o ponad 5 proc. mniej niż rok wcześniej. Polski i Europy dotyczy to szczególnie, ale problem skrajnie niskiej dzietności ma dziś charakter globalny. Przyczyną tego stanu rzeczy jest całe multum. W tym tekście chciałbym zwrócić uwagę czytelnika na jeden tylko aspekt: celowe działania depopulacyjne, które podejmował od lat 70. rząd Stanów Zjednoczonych. Dobry powód daje próba likwidacji amerykańskiego programu „pomocowego” USAID, którą podjął niedawno prezydent USA Donald Trump. Program ten był w niemałej mierze odpowiedzialny za promowanie na świecie aborcji, co wynikało z przyjęcia przez Amerykę ograniczenia światowej populacji jako swojego celu strategicznego.

BEZPŁODNY ŚWIAT

Otwarcie proaborcyjne działania w USA zaczęły się za prezydentury Richarda Nixona (1969–1974). Szerzono wówczas obawy przed rychłym przeludnieniem. Narracjom o nadchodzącym kryzysie uległ do pewnego stopnia nawet papież Paweł VI. W encyklice „Humanae vitae” z 1968 r. zakazał wprowadzić sztuczne ograniczanie potomstwa, ale rozwodził się nad naturalnymi metodami kontroli urodzeń, biorąc pod uwagę możliwość przeludnienia. W tym samym roku małżeństwo Paula i Anny Ehrlich z Uniwersytetu Stanforda w Kalifornii opublikowało książkę pt. „Bomba populacyjna” (ang. „The Population Bomb”), przekonując, że już za kilka lat miliony ludzi zaczną umierać z powodu głodu i braku podstawowych surowców.

W 1973 r. Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych wydał katastrofalny w skutkach wyrok w sprawie Roe v. Wade, dopuszczając w całym kraju aborcję. Program USAID,

Zaprogramowana depopulacja

FOT. ANDRZEJ STOK

dotąd skupiający się w sprawie depopulacji na antykoncepcji, zaczął finansować aborcje poza granicami USA. Działania na rzecz upowszechnienia zabijania dzieci poczętych nie były nigdy motywowane wyłącznie troską o rzekome „prawa kobiet”. W świadomy sposób dążono do zmniejszenia liczby ludzi na świecie. W 1974 r. w Departamencie Stanu USA opracowano memorandum dotyczące bezpieczeństwa narodowego w kontekście wzrostu światowej populacji ludzi. Dokument jest znany jako „Raport Kissiniera” od nazwiska słynnego sekretarza stanu. Rzecz dotyczyła przede wszystkim krajów rozwijających się, ale miała skutki dla całego świata.

W analizie, odtajnionej w 1989 r., zdefiniowano zmniejszenie liczby ludności na świecie jako jeden z celów strategicznych USA. Zbyt szybki wzrost populacji miałby prowadzić do niestabilności w wielu krajach, a to mogłoby bardzo uderzyć w interesy Waszyngtonu i amerykańskich firm. W dokumencie rekomendowano przeznaczenie dziesiątków milionów dolarów na rozwój programów służących ubezwładnianiu ludzi na całym świecie. Rekomendowano prowadzenie badań nad: antykoncepcją doustną; antykoncepcją mechaniczną; przewidywaniem owulacji; sterylizacją mężczyzn i kobiet; długotrwałą antykoncepcją hormonalną czy nowatorskimi metodami antykoncepcji chemicznej.

W studium z 1974 r. zalecono też „tworzenie klimatu sprzyjającego spadkowi płodności”. Szczególny nacisk kładziono na propagandę w radiu i telewizji,

która miała skłaniać ludność w najslabiej rozwiniętych krajach do ograniczania liczby dzieci. Ten klimat miały budować też promocja pracy kobiet oraz budowa systemu emerytalnego, który pozwoli im „rozwinąć alternatywy wobec dzieci jako źródła bezpieczeństwa na starość”.

Szczególną uwagę poświęcono zabijaniu dzieci nienarodzonych. Raport stwierdza, że „żadnemu państwu nie udało się ograniczyć wzrostu ludności bez odwoływania się do aborcji”. W dokumencie czytamy, że w ramach programu USAID podjęto starania na rzecz upowszechnienia łatwej i bezpiecznej aborcji. W efekcie opracowano „zestaw regulacji miesięczek”. Była to bardzo prosta, plastikowa pompka służąca do wywoływania sztucznego poronienia na wczesnym etapie ciąży. Zgodnie z obowiązującym wówczas prawem Amerykanie nie mogli otwarcie promować aborcji, np. zachęcając kobiety na świecie do stosowania jej jako jednej z form antykoncepcji. W „Raplocie Kissiniera” wyraźna jest próba jakiegoś rodzaju obejścia tego ograniczenia. Wskazywano np. na możliwość szkolenia z pieniędzy USAID lekarzy z tego, jak przeprowadzać aborcje. Choć sami Amerykanie nie mogli finansować zakupów ani rozprowadzać przenośnego zestawu aborcyjnego, o którym była mowa, to w raporcie podkreśla się, że mogą to robić „inni darczyńcy czy organizacje”, jako że aborcja za pomocą pompki jest „obietnicą metodą kontroli płodności”. Zaznaczono też, że zaprzestanie finansowania z budżetu USA badań nad

aborcją (doskonalenia metod jej przeprowadzania) byłoby „niemądre”. O ile USAID nie mogło finansować aborcji, o tyle nic nie stało na przeszkodzie we wspieraniu organizacji, które ją przeprowadzają i promują. Tego zakazał dopiero Ronald Reagan, wprowadzając w 1984 r. słynną „Mexico City Policy”, później wielokrotnie uchylaną przez demokratów i przywracaną przez republikanów. Zgodnie ze strategią depopulacyjną Kissingera aborcja stanowiła przecież „obiecującą metodę” depopulacji świata.

W raporcie przyjęto, że jeżeli uda się wdrożyć w życie środki przewidywane przez ten raport i działania ONZ, to w roku 2100 populacja światowa przekroczy 12 mld ludzi. Plan udało się zrealizować bardzo skutecznie: zgodnie z obecnymi prognozami ONZ w 2100 r. na świecie będzie nawet mniej, bo tylko 10,4 mld, ludzi. Prognozy te mogą zresztą być jeszcze zawyżone, bo w wielu krajach świata, jak w Polsce, dzietność po pandemii zaczęła spadać szybciej, niż wcześniej zakładano.

Choć „Raport Kissingera” zasadniczo dotyczył krajów mało rozwiniętych, to omawiał też sytuację w innych państwach. Z nieskrywaną satysfakcją wspomniano, że w większości państw NATO dzietność jest niska, a tylko w dwóch krajach polityka państwowa nakierowana jest na jej zwiększenie – we Francji i w Grecji. W obu przypadkach, podano, obywatele jednak całkowicie to ignorują, a Francuzi przyjęli bardzo wiele rozwiązań prawnych działających antynatalistycznie. W bogatszych krajach, zwłaszcza po 1968 r. owładniętych przez rewolucję seksualną, nie trzeba było robić wiele: zachodni intelektualści sami chętnie rozwijali i podtrzymywali wroga rodzinie marksistowską ideologię. Komunistyczni myśliciele i działacze – od Marska i Engelsa, przez Clarę Zetkin i Aleksandrę Kołontaj aż do teoretyków szkoły frankfurckiej – konsekwentnie rozwijali filozofię walki z rodziną, rozumianą jako przestrzeń zniewolenia.

Oczywiście masy były urabiane do jej przyjęcia również przez propagandę tworzoną w USA, zwłaszcza w Hollywood. Można się zastanawiać, dlaczego filmy produkowane za oceanem od lat 70. tak bardzo uderzały w rodzinę – czy był to wynik odzwierciedlania powszechnych poglądów czy jednak efekt kooperacji twórców wielkich produkcji kinowych ze

specjalistami z Białego Domu wypełniającymi strategię z „Raportu Kissingera”. Ostatecznie przez długie lata najśłynniejsze hollywoodzkie produkcje, jak „Ojciec chrzestny” (1972) czy „Łśnienie” (1980), przedstawiały naturalną, patriarchalną rodzinę jako strukturę opresji i patologii. Skrajnie negatywne przedstawienie patriarchy, rozumianej jako model rodziny opartej na stabilnej i silnej władzy ojca, są obecne nawet w tak – zdawałoby się – odległych od tego tematu filmach jak „Park Jurajski” (1993).

Dziś samo brzmienie pojęcia „patriarchat” wzbudza dreszcze niechęci; bynajmniej nie dlatego, by rodzina oparta na władzy ojcowskiej była zła, ale dlatego, że do takiego jego postrzegania zostaliśmy przyzwyczajeni. Hollywoodzkie produkcje standardowo promowały model niewielkiej liczby dzieci, przedstawiając jako ideał dwoje: chłopca i dziewczynkę. Liczniejsze rodziny przedstawiano zwykle w kontekście problemowym, nawet jeżeli były to filmy komediowe. Społeczeństwa Ameryki i Europy nie musiały zatem korzystać z plastikowych przenośnych zestawów aborcyjnych. Wystarczyło, że oglądano filmy, słuchano radia, czytano prasę. Przeciętym mieszkaniem Zachodu uznał po prostu za obiektywny fakt, że posiadanie większej liczby dzieci jest czymś nienormalnym.

W narracji współczesnej konserwatywnej prawicy słyszy się niekiedy, że winnym niskiej dzietności i rozpadowi rodzin jest przede wszystkim feminizm albo w ogóle „roszczeniowość” kobiet. Radykalny feminizm jest niewątpliwie częścią problemu. Mógł być też podsycany przez strategów depopulacji. Nie ma wątpliwości, że wśród wielu kobiet rozpowszechnione są dziś skrajnie aspołeczne i antyrodzinne postawy. To samo dotyczy jednak mężczyzn, bo walka z rodziną dotyczy wszystkich. Dlatego szukanie źródeł obecnego gigantycznego kryzysu w feminizmie jest żenującym uproszczeniem, a jak każde uproszczenie – generuje złe odpowiedzi.

W ostatnich latach coraz większą popularnością u mężczyzn w młodym i średnim wieku cieszy się ruch zwany „red pill”, to znaczy „czerwona pigułka”. „Red pill” odwołuje się do czerwonej pigułki z filmu „Matrix” (1999), której zażycie miało otwierać oczy na prawdziwą naturę rzeczywistości. Zwolennicy „red pill” twierdzą, że współczesne kobiety są tak zepsute, iż

mężczyźni muszą przyjmować wobec nich agresywną postawę „samców alfa”, dążąc w relacjach do maksymalizacji własnych korzyści. Ruch jest lustrzanym odbiciem ekstremistycznego feminizmu, powielając jego zasadnicze błędy – materializm, ateizm, zawężającą analizę. Niedawno „red pill” pojawił się również w Polsce. Spotykając się z tym fenomenem, warto pamiętać, że jego istota jest z gruntu niekatolicka, a co za tym idzie – wewnętrznie wroga cywilizacji, którą stara się „ratować”.

POWRÓT DO ŹRÓDEŁ

Do zniszczenia rodziny doprowadziło przecież przede wszystkim jedno: odrzucenie nauki chrześcijańskiej jako paradygmatu funkcjonowania społeczeństwa. Przed rewolucją francuską idealny cel społeczeństwa (idealny, czyli nie zawsze realizowany w praktyce) stanowiło doprowadzenie poszczególnych ludzi do zbawienia, co nie było możliwe bez wierności wobec ładu naturalnego. Ufundowanie państw nowożytnych na podstawach ateistycznych oznaczało zanegowanie tego celu i zastąpienie go innymi, ograniczonymi do porządku doczesnego. To uczyniło narody całego świata podatnymi na polityczną ingerencję w najbardziej podstawowe obszary ludzkiej egzystencji. Ingerencja ta doprowadziła wiele krajów – w tym Polskę – na skraj demograficznej zagłady.

Dostrzegam cię szansę – podkreślam, tylko cię – na to, że Stany Zjednoczone odejdą od dotychczasowej polityki promującej niszczenie ładu naturalnego zarówno u siebie, jak i za granicą. Niestety, likwidacja USAID to tylko jeden element, w całej układance przecież relatywnie drobny. „Tworzenie klimatu” sprzyjającego depopulacji trwało zbyt długo, a oprócz Amerykanów uczestniczyło w nim jeszcze wiele innych wielkich podmiotów politycznych i prywatnych.

Jeżeli nie powrócimy do wyznawania religii chrześcijańskiej, to nic nas już nie uratuje, nawet odpowiednicy Donalda Trumpa w każdym państwie europejskim. Po z górą 200 latach rewolucyjnej, bezbożnej propagandy i blisko siedmiu dekadach intensywnej walki z rodziną i dziećmi za sprawą wyrafinowanej biopolityki nadszedł czas na to, by wykonać jeden prosty krok: na nowo odkryć wiarę.

Szpiegowski początek



Wojciech Golonka

W dyskursie węgierskiego przywódcy jak najbardziej realne problemy nabierają nieco demagogicznego kolorytu na potrzeby kolejnych wyborów. Jednocześnie nie sposób nie przyznać mu racji: kiedy dany naród głosuje inaczej niż po linii Brukseli, ma mieć pod górkę aż do ostatecznego zwycięstwa właściwego obozu politycznego, czyli tego, który potulnie bez zastrzeżeń zrealizuje unijną agendę

Ostatnie dodatkowe napięcia na wystarczająco już zaognionym odcinku Budapeszt – Kijów, w tym wzajemne zarzuty o szpiegostwo, nie dotyczą tylko kwestii węgierskiej mniejszości na Zakarpaciu, na co wskazywałyby nagłówki medialne, choć bez wątplenia sprawa ta należy do zasadniczych kości niezgody między oboma krajami. W rzeczywistości Węgry z różnych powodów blokują procedurę akcesu Ukrainy do Unii Europejskiej, chcąc zabezpieczyć własne interesy. Z kolei rząd w Kijowie, nieskłonny do znaczących ustępstw względem gabinetu Viktora Orbána, znajduje się z nim na kursie bezpośredniej konfrontacji. Zresztą węgierski premier w połowie maja podjął działania informacyjno-propagandowe przypominające początek kampanii pod przyszłoroczne wybory parlamentarne, atakując na tym gruncie opozycję, zarzucając jej współpracę z zagranicą przy możliwym udziale w tym procederze także ukraińskiej administracji wojskowej. Jakkolwiek skończy się ten kryzys, a rozwinie sama kampania wyborcza, w atmosferze wzmożonego napięcia z Kijowem, Viktor Orbán dostał doskonały pretekst do zaostrzenia prawa regulującego zagraniczne wpływy na Węgrzech w postaci zakazu zagranicznego finansowania NGO-sów.

Oskarżenia o szpiegostwo cechują się zazwyczaj tym, że towarzyszą im wiele medialnego szumu, pewna dawka

niejasności podsycana przez zainteresowanych, kategoryczne dementi państwa oskarżanego i tegoż klasyczna retorsja w postaci desygnowania obcego szpiega na własnym terytorium, najczęściej pośród dyplomatów kraju, który rozpoczął oskarżenia, i wydalenie go z medialnym hukiem celem zneutralizowania negatywnych skutków pierwotnej wpadki, choćby domniemanej, a zarazem celem osłabienia potencjalnych kadr wywiadowczych przeciwnika na własnym terytorium.

Ma się rozumieć, w przypadku potyczki ukraińsko-węgierskiej bardzo łatwo, ale niekoniecznie roztropnie, można dać większy kredyt zaufania Węgom niż Ukraincom – węgierski nacjonalizm nie wbijał nam noża w plecy w tragicznych chwilach naszej historii, nie mordował naszej ludności cywilnej i nie hołubi do dziś sprawców tychże mordów ani nie przechowuje zazdrośnie pod ziemią na pustkowiach kości swoich ofiar jako pośmiertnych zakładników, nie pozwalając na ich stosowny pochówek. Jednak przy całej sympatii do „bratanków” i wzmożonej ostrożności do wszelkich oskarżeń Kijowa (by przypomnieć wadliwą prawdomówność naszych ukraińskich partnerów podczas śmiertelnego incydentu w Przewodowie) jest jak najbardziej możliwe, że Służba Bezpieczeństwa Ukrainy rzeczywiście skutecznie rozpracowała komórkę węgierskiego wywiadu wojskowego operującą na Zakarpaciu, zbierającą informacje natury wojskowej,

a nawet – czemu Budapeszt stanowczo zaprzeczył ustami swego szefa dyplomacji Pétera Szijjártó, kwitując całą sprawę jako propagandę Kijowa – sondującą nastroje tamtejszej populacji na wypadek wkroczenia węgierskich sił zbrojnych na Zakarpacie.

KONTROFENSYWA BUDAPESTU

Chcę przez to powiedzieć, że poważny polityk pokroju Orbána, ewidentnie interesujący się losem rodaków oddzielonych od macierzy na skutek traktatu podpisanego w wersalskim Trianon w 1920 r. przez państwa ententy z Węgrami, stanowiącego tychże Węgier istny pogrzeb, polityk tego formatu w dobie wojny rosyjsko-ukraińskiej interesowałby się tymże losem oczywiście we wzmożony sposób, co też czyni, i adekwatnie do sytuacji, tj. również z pomocą wywiadu wojskowego.

Interesowałby się tym losem także na wypadek, gdyby doszło do możliwej dezintegracji państwa ukraińskiego, kiedy to mógłby lub nawet musiałby wystąpić w roli naturalnego protektora swych współziomków, wkraczając zbrojnie na historycznie rodzime ziemie celem ich zabezpieczenia przed chaosem towarzyszącym upadającemu państwu. W rzeczy samej, choć wraz z upadkiem imperium sowieckiego przywykliśmy do uspakajającego mitu o dozwolonej nienaruszalności granic na naszym kontynencie, przywódca kraju, który przywykł do jeszcze dłuższej okupacji niż nasze zabory (całkowite wyzwolenie Węgier spod trwającej ponad 150 lat okupacji osmańskiej nastąpiło dopiero trzy lata po wiktorii wiedeńskiej), byłby przypadkowym człowiekiem na swym stanowisku, gdyby nie brał pod uwagę wszystkich wariantów względem swych pobratymców na Zakarpaciu – a nie sposób uznać, że Viktor Orbán, sterujący Węgrami od 2010 r. i który pomyśli nie przetrwał wszelkie dotychczasowe burze, włącznie z antywęgierskim sojuszem Białego Domu Joe Bidena i Brukseli

kampanii Orbána

pod wodzą Ursuli von der Leyen, jest politycznym dyletantem.

Budapeszt jednakże bardzo stanowczo zareagował na podobne oskarżenia Kijowa i nie ma się co temu dziwić, wszak mogłyby one w następstwie sugerować, że Węgry – kraj członkowski nie tylko Unii, lecz także NATO! – umyślnie grają na dezintegrację państwa ukraińskiego, na co akurat dowodów żadnych nie ma, a co w ogóle, jeśli upublicznione, stanowiłoby polityczne samobójstwo ze strony Orbána (i dlatego jest to w ogóle zupełnie nieprawdopodobny scenariusz u tak wytrawnego polityka). W każdym razie, w odwecie na oskarżenia i aresztowanie dwóch obywateli ukraińskich węgierskiego pochodzenia na Zakarpaciu, rząd w Budapeszcie natychmiast wydalili dwóch ukraińskich dyplomatów, zarzucając im szpiegostwo, i przeszedł w dalszej mierze do kontrofensywy naracyjnej, choć zanim o niej wspomnimy, zaznaczmy, że w przestrzeni informacyjnej pojawiły się wówczas niepotwierdzone szerzej informacje, najwyraźniej fake newsy, sugerujące eskalację napięcia między oboma krajami w postaci zestrzelenia ukraińskiego drona nad terytorium Węgier oraz ruchu węgierskich wojsk w kierunku ukraińskiej granicy.

Otóż w chwili, kiedy nasza uwaga skupiona była na gorącym finiszu kampanii przed pierwszą turą wyborów prezydenckich, obóz premiera Węgier wziął za cel lidera opozycji, Pétera Magyara, który to w kwietniu obiecał, że jeśli wygra wybory w 2026 r., to zorganizuje na Węgrzech wiążące referendum w kwestii akcesu Ukrainy do Unii Europejskiej.

Deklaracja Magyara mogłaby być zatem, również z perspektywy dalszej chronologii, słusznie odebrana przez Orbána jako kolejny apel zachęcający zewnętrzne siły do mieszania się w wewnętrzne sprawy Węgier: pomóżcie mi przejąć władzę, a dam wam, ale subtelnie, tak, aby dziś nie prowokować Węgrów wciąż drażliwym tematem, zielone światło dla unijnego akcesu Ukrainy

– a przynajmniej tak zaczął konsumować kryzys szpiegowski obóz premiera, inicjując parlamentarne postępowanie komisji do spraw bezpieczeństwa narodowego celem wyjaśnienia powiązań łączących Magyara z ukraińskimi operacjami wpływu, w tym ukraińską administracją wojskową, czym wedle przewodniczącego klubu parlamentarnego Fideszu Mátém Kocsisem winien się zająć sam węgierski wywiad.

WPŁYWY JURGIELTNICZE

Destrukcyjne dla tożsamości węgierskiej wpływy George’a Sorosa oraz groźba wciągnięcia w wojnę na Ukrainie – wykorzystując politycznie tego typu zagrożenia, Viktor Orbán zdołał zmobilizować zwolenników swojej partii i odnieść zwycięstwo w wyborach w latach 2018 oraz 2022. Tym razem hasła te ustępują jednak miejsca nowemu zagrożeniu numer jeden, tj. zgubnej dla Węgier perspektywie akcesu Ukrainy do Unii Europejskiej. W swej argumentacji premier Węgier przekonuje, że przyjęcie Ukrainy do Unii oznacza de facto przyjęcie do Unii wojny; oznacza w każdym razie przyjęcie zrujnowanego wojną kraju, którego koszty odbudowy poniosą wówczas kraje Unii już nadwyrężone sytuacją wojenną; to w końcu ogromne zagrożenie dla węgierskiej gospodarki i rolnictwa w postaci ukraińskiej konkurencji.

Podkreśla on przy tym, że Ukraina, zamiast podjąć z Węgrami konstruktywny dialog, obiera je za przedmiot swych ataków, współ z Unią, która w miejsce pochylenia się nad obawami Węgier, celem należytego rozwiązania ich powodów, notorycznie dyskredytuje Budapeszt. I to nie wszystko, na szczycie Europejskiej Wspólnoty Politycznej w Tyranii 16 maja 2025 r., Orbán skarżył się sekretarzowi generalnemu NATO Markowi Ruttemu na niedopuszczalną akcję wywiadu kraju spoza sojuszu wymierzoną w jego kraj członkowski. Z kolei na gruncie polityki wewnętrznej, a także w powiązaniu z kwestią zagraniczną, szef

Fideszu zapowiedział pochylenie się nad zagranicznym finansowaniem prowojennej propagandy na Węgrzech, tj. nad zaostreniem prawa o zagranicznych wpływach.

Trudno nie dostrzec, że w dyskursie węgierskiego przywódcy jak najbardziej realne problemy nabierają nieco demagogicznego kolorytu na potrzeby przetrwania kolejnego święta demokracji, z drugiej strony nie sposób, choćby na przykładzie Polski, w tym na świeżym przykładzie fundacji Akcja Demokracja agitujującej w polskich wyborach prezydenckich w oparciu o zagraniczne fundusze, nie przyznać mu racji: kiedy dany naród nie głosuje po linii Brukseli, ma mieć pod górkę aż do ostatecznego zwycięstwa właściwego obozu politycznego, tj. tego, który potulnie zrealizuje agendę unijną bez zastrzeżeń. Należy przy tym zaznaczyć, wbrew dotychczasowym utopijnym marzeniom w Polsce o szybkiej integracji Ukrainy z Unią, że Viktor Orbán podnosi jak najbardziej trafnie temat trudności z taką perspektywą związany, poczynawszy od faktu, że nie sposób o czymkolwiek sensownie rozmawiać dopóty, dopóki pokój nie zawita trwale w tym umęczonym przez wojnę kraju, dopóki nie będą znane zasady warunkującego go rozejmu, powojenna mozaika polityczna itp., a na drastycznych, acz nieuniknionych kwestiach ekonomicznych skończywszy.

Warto w końcu, odnotowując różnicę w mentalności Węgrów, do których Orbán kieruje hasła, które na gruncie polskim stanowiłyby obciążenie PR-owskie i polityczne, zadać pytanie, o taką rozbieżność w odbiorze tychże haseł przez nasze narody. Śmiem sugerować, że oprócz możliwej odmiennej wrażliwości za taki odbiór rzeczy odpowiadają przede wszystkim media – media z zagranicznym kapitałem, niekoniecznie skupione na polskiej racji stanu, aczkolwiek jak najbardziej wpisujące się w nasze wielowiekowe tradycje jurgieltnicze.



W kamasze za Solidarność



Grzegorz Majchrzak

Ostatni raz w sposób zorganizowany wysyłanie do Ludowego Wojska Polskiego, jako formę represji, wykorzystano w stanie wojennym. Osoby, które miały trafić do wojska, typowała Służba Bezpieczeństwa

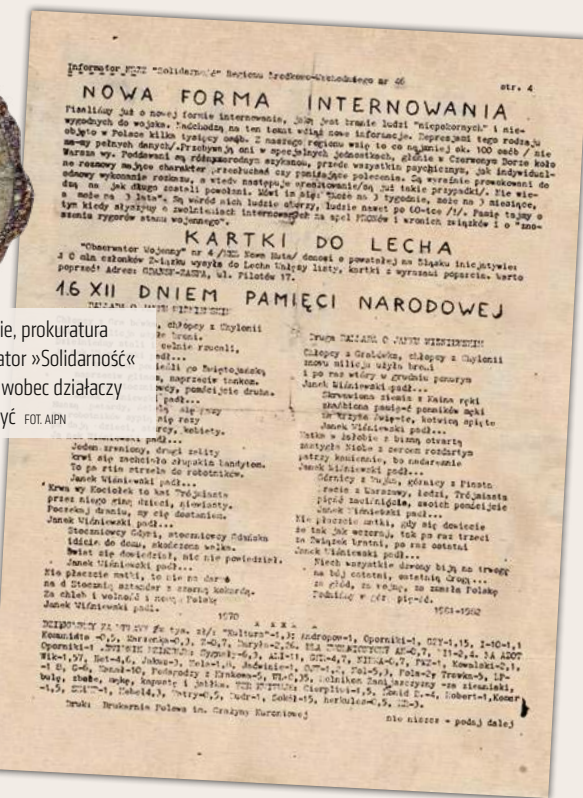
Represyjne wysyłanie do wojska miało w Polsce Ludowej długą historię. Po raz pierwszy na większą skalę sięgnięto po nie tuż po zakończeniu drugiej wojny światowej. W latach 1949–1959 do specjalnych batalionów pracy oraz batalionów gór-

niczych skierowano mężczyzn uznanych za tzw. element niepewny ze względu na pochodzenie społeczne, poglądy polityczne, „oblicze moralne” czy po prostu przeszłość. To była największa fala represyjnego wykorzystania powołań do Ludowego Wojska Polskiego – objętych

zostało nią ok. 200 tys. osób. Największa, ale nie jedyna. Kolejni byli klerycy w latach 1955–1980. W tym przypadku obok represji co najmniej równie ważnym celem było ich zeświecczenie. Ogółem „w kamasze” trafiło niespełna 23 tys. słuchaczy wyższych seminariów duchownych. Z kolei od 1968 r. do wojska wysyłano osoby zaangażowane w – jak to określali władze PRL – „działalność antysocjalistyczną”. Pierwsi byli uczestnicy Marca '68 – zawieszani czasowo w prawach studenci. „Do woja” trafiło ich łącznie ok. 2 tys. Po raz kolejny – tym razem na mniejszą skalę – po wysłanie do wojska sięgnięto dwa lata później, po kolejnym proteście społecznym – Grud-

Namioty na poligonie Wojskowego Obozu Internowania w Chełmnie

FOT. ZBIORY ARCHIWUM STOWARZYSZENIA OSÓB INTERNOWANYCH „CHEŁMIŃCZY 1982”



Za taką „pamiątkę”, jak ta wykonana w Budowie, prokuratura garnizonowa wyszczyniała śledztwo. Obok: „Informator »Solidarność« Region Środkowo-Wschodni” z 1982 r. – represji wobec działaczy i sympatyków podziemia nie dało się ukryć

FOT. AIPN

z marginesu społecznego, 342 „politycznie niepewne”, 32 intelektualistów oraz – jako kadra – 101 aktywistów). Po raz ostatni w sposób zorganizowany wysyłanie do Ludowego Wojska Polskiego jako formę represji wykorzystano w stanie wojennym. Tak na marginesie – wyciągając wnioski z roku 1976 – postanowiono w tym przypadku oddzielnie „do woja” wysłać osoby z przeszłością kryminalną czy też mogące stanowić zagrożenie dla „ładu i porządku” oraz tych, którzy mogli stwarzać ludowej władzy problemy ze względu na swoje zaangażowanie polityczne (opozycyjne). Ci pierwsi trafili więc do wojska już w styczniu 1982 r., a ci drudzy podzielili ich los w listopadzie tego samego roku. Podobnie natomiast jak sześć lat wcześniej osoby, które miały trafić do wojska, typowała Służba Bezpieczeństwa.

„Powołanie określonej grupy poborowych do odbycia zasadniczej służby wojskowej oraz żołnierzy rezerwy na ćwiczenia wojskowe” formalnie odbyło się jednak na podstawie zarządzenia szefa Sztabu Generalnego WP Floriana Siwickiego z 26 października 1982 r. W „kamasze” wysłano nieco ponad 1,7 tys. osób (1447 rezerwistów oraz 264 poborowych). Trafili oni do specjalnie wcześniej wytypowanych jednostek, określanych przez nich mianem wojskowych obozów specjalnych. Rezerwistów skierowano do: Brzegu, Budowa, Chełmna nad Wisłą, Czarne, Czerwonego Boru koło Łomży, Głogowa, Gorzowa Wielkopolskiego, Rawicza, Trzebiatowa oraz Unieścia, natomiast poborowych do: Chełma, Jarosławia, a także Węgorzewa. Kryteria doboru kierowanych do wojska tak określili dyrektor Depar-

tamentu V MSW

Józef Sasin: „Wytypować osoby rekrutujące się z dużych zagrożonych zakładów pracy podejrzane o: inspirowanie i organizowanie ostatnich strajków i zajęć ulicznych, aktywne występowanie przeciwko tworzeniu nowych związków zawodowych, czynną wrogą działalność (np. druk, kolportaż, łącznikowanie itp.), a nie nadające się z różnych powodów do internowania lub zatrzymania”. Głównym celem – jak to określił Wojciech Jaruzelski – „inteligentnej formy internowania” było osłabienie opozycji przed zapowiadanym przez Tymczasową Komisję Koordynacyjną NSZZ „Solidarność” na 10 listopada 1982 r. protestem przeciwko delegalizacji związku, którego władze PRL wręcz panicznie się obawiały. Skala wysyłania „do woja” pod koniec 1982 r. była zdecydowanie mniejsza niż internowania w latach 1981–1982 (do „internatów” trafiło niespełna 9,8 tys. osób, w tym ponad 1 tys. kobiet), ale robiła wrażenie. „Masowa branka do wojska – nowa forma internowania (brano nawet inwalidów III grupy, mężczyzn powyżej 50 lat i z kategorią D) – objęła, jak się wydaje, więcej ludzi niż 13 grudnia. Na przykład w Słupsku do wojska wzięto 214 osób, w Łęborku 284, w samych tylko Zakładach Cegielskiego

niu '70. Niestety, w tym przypadku mamy jedynie dane cząstkowe, np. do jednostki wojskowej w Budowie skierowano 26 żołnierzy z Trójmiasta, z powodu ich udziału w demonstracjach grudniowych.

Nieco inaczej wyglądała „branka” przed zaplanowanymi na czerwiec 1976 r. podwyżkami cen. Miała ona charakter profilaktyczny – władze postanowiły skierować do wojska osoby, w przypadku których miały podejrzenia, że mogą one po kolejnej „regulacji cen” stwarzać problemy. Odbywało się to pod pozorem ćwiczeń wojskowych. Według danych Wojskowej Służby Wewnętrznej „w kamasze” trafiło 1526 rezerwistów (w tym 688 recydywistów, 363 osoby

■ w Poznaniu 208” – pisano na łamach „Tygodnika Mazowsze”. Tak na marginesie powołania wielu z nich otrzymało z rąk funkcjonariuszy MO i SB.

NIE BACZĄC NA STAN ZDROWIA

Podobnie jak w 1976 r. ta „branka” nie objęła wszystkich wskazanych przez Służbę Bezpieczeństwa. I tak np. na liście przygotowanej przez gdańską bezpiekę na pierwszym miejscu znalazł się Donald Tusk, na trzecim zwolniony dwa tygodnie wcześniej z internowania Lech Kaczyński, a na czwartym obrońca w procesach politycznych stanu wojennego Jacek Taylor; jednak ostatecznie żaden z nich na „przeszkolenie wojskowe” nie trafił... Kogo zatem ostatecznie wysłano w kamasze? Jak relacjonowała jedna z osób odwiedzających w stanie wojennym jednostkę wojskową w Czerwonym Borze: „Znajduje się tam około 450 osób w wieku od 24 do 46 lat, które brały czynny udział w działalności NSZZ »Solidarność«. Wśród nich można spotkać przewodniczących komisji zakładowych, jak również prostych pracowników. Są tam prawnicy, inżynierowie, nauczyciele, górnicy, robotnicy i nawet artyści z całej Polski [...]. Żadna z tych osób nigdy nie była w wojsku i wcielono ich, nie bacząc na ich stan zdrowia. Znajdują się wśród nich tacy, którzy przebyli niedawno operację chirurgiczną, mieli wyciętą część żołądka, nie mają palców, chodzą o laskach, noszą okulary powyżej 5,5 dioptrii, czyli ludzie, którzy w normalnych warunkach nigdy by nie byli wcieleni do wojska”. Dla kadry nie był to jednak żaden problem. W „Tygodniku Mazowsze” tak relacjonowano praktykę w tej jednostce: „Już na poligonie zmieniono kategorie w książeczkach wojskowych, wpisując wsteczne daty. W ten sposób zdolnymi do służby wojskowej, i to w jednostce saperskiej, stali się mężczyźni niepełnosprawni, m.in. z poważnymi wadami wzroku, bez dwóch palców u ręki itp.”. Z kolei według „Biuletynu Komunistycznego” (pisma Regionalnej Komisji Wykonawczej NSZZ „Solidarność” Małopolska) pomysłowi oficerowie wpadli na nietypowy pomysł: „Po to, by uporać się z pretensjami rezerwistów z kategoriami B, D i E, wprowadzono jeszcze jedną, nową kategorię – F – zdolny do przebywania na terenie koszar”.

Dla jasności wspomniane wcześniej kategorie zwalniały (przy czym B czasowo) ze służby wojskowej w czasie pokoju... Nie inaczej było w innych jednostkach. Jak wspominał Józef Pintera, którego wysłano do Chełmna: „Okazało się, że powołano kolegę na wózek inwalidzkim, innego w gorsecie ortopedycznym”.

Warunki, w których odbywali służbę wojskową działacze opozycji w stanie wojennym, były – podobnie jak w przypadku osadzonych w klasycznych „internatach” – różne, nierzadko jednak gorsze. „Miałem skalę porównawczą, jak było w normalnym ośrodku internowania, a jak było w tym wojskowym. Normalny ośrodek internowania w porównaniu z tamtym to jest przedszkole. Tam była gehenna” – wspominał po latach Adam Siatka, który najpierw trafił do „internatu” w Uhercach, a następnie do jednostki wojskowej w Czerwonym Borze. Niektórzy wysłani „do woja” byli przetrzymywani wręcz w skandalicznych warunkach – mimo mroźnej zimy 1982/1983 w namiotach (Chełmno) czy też w wagonach kolejowych (Czerwony Bór). W obu przypad-

Głodówki należały – obok „wrogich napisów” czy „wrogich okrzyków” – do najczęstszych form oporu karnie wysłanych do wojska

kach, delikatnie rzecz ujmując, niedogranych. Jak po latach relacjonował Jerzy Olszewski, który trafił do jednostki w tej pierwszej miejscowości: „Był to pięćdziesięciometrowy pas ziemi między Wisłą i wałem przeciwpowodziowym. Przeróżające miejsce na wypadek powodzi nocnej”. Tak na marginesie opozycjonistów starano się odizolować – nie tylko zresztą od miejscowej ludności, lecz także od innych żołnierzy. „Po pewnym czasie dowiedzieliśmy się, że wśród mieszkańców Rawicza rozpowszechniono informację, że jesteśmy bandą kryminalistów, złodziei i wykolejenców” – wspominał skierowany do tamtejszej jednostki wojskowej Edward Kluczyński. Z kolei tak relacjonował Zbigniew Gruca, który trafił do Budowa: „Mówili o nas, że jesteśmy »nie-

bieskie ptaki«, nieroby itp. A my wszyscy mieliśmy po 10, 15, 20 lat pracy”...

Jak wspominał na łamach podziemnego „Hutnika” jeden z rezerwistów skierowanych do Czerwonego Boru: „Duży terror fizyczny (zajęcia na poligonie prawie od świtu do zmierzchu) oraz psychiczny (ciągłe przesłuchania, arogancja, poniżanie) przez kadrę oficerską wybraną specjalnie do tego ośrodka z całej Polski (przeszli specjalne przeszkolenie wcześniej w Warszawie), największe skurysy i bandyci – zwłaszcza polityczni [...]. Ciągłe przesłuchania prowadzone przez trzyosobową ekipę przybyłą z Krakowa – dwóch oficerów kontrwywiadu z »czerwonych beretów« i jednego esbeka z Mogińskiej”. A jak wyglądał dzień powszedni wysłanych „w kamasze”? Opisywała to – na podstawie grypsu z jednej jednostki wojskowej, który dotarł do „Tygodnika Mazowsze” – podziemna prasa: „Od 8.00 do 14.00 ciężka robota w wodzie lub błocie, ok. 15.00 obiad, od 16.00 znów zajęcia, dopóki cokolwiek widać. O 19.00 kolacja, przymusowy DTV, apel, o 21.00 gaszenie świateł”. Bo – o czym trzeba przypomnieć – „wysłani w kamasze” zostali poddani indoktrynacji. Jak wspominał po latach Jacek Pawłowicz skierowany do jednostki wojskowej w Węgorzewie w celu odbycia tam zasadniczej służby wojskowej: „Obowiązkowo oglądaliśmy »Dziennik Telewizyjny«, po którym odbywały się szkolenia polityczne pułkownika Gruchota lub Grzmota. Cały czas nas prowokował, aby ktoś się wychylił z »wrogim« komentarzem [...]. Ten, który to zrobił, najpierw był publicznie sponiewierany, a następnie najbliższą godzinę spędzał, biegając wkoło boiska w pełnym oporządzeniu”. Działacze opozycji i na to znaleźli sposób – bierny opór. Jak relacjonował Marian Firkowski, który trafił do Czarnego: „Zmuszali nas do oglądania »Dziennika Telewizyjnego«, odwracaliśmy się wtedy plecami. Tylko raz oglądaliśmy normalnie, to jest wtedy, kiedy zmarł Leonid Breżniew”.

DZIAŁANIA BEZSENSOWNE

Warto jeszcze wrócić do tego, jak wyglądały służba, zajęcia czy też praca opozycjonistów wysłanych pod koniec 1982 r. do wojska. Były to często działania kompletnie bezsensowne. I tak np.

w Unieściu polegały one „na wykonywaniu ciężkich prac fizycznych przy budowie strzelnicy na kilkunastopniowym mrozie [...]. Najczęściej zrywano zamrożniętą dań, przenoszono materiały budowlane, duże płyty chodnikowe, wycinano drzewa czy kopano głębokie doły, które później inni zasypywali”. Jak wspominał z kolei Tadeusz Antkowiak, który trafił do Chełmna: „Przerzucaliśmy piasek z jednej przemy na drugą osiem godzin albo przekopywaliśmy brzeg Wisły, by na skarpę mógł wjechać czołg, a później powtórne zasypywanie wjazdu”. „Przekładaliśmy podkłady kolejowe z miejsca na miejsce. Kazali doły kopać, że niby się okopujemy” – to z kolei relacja Franciszka Konaszewicza z Brzegu. Więcej szczęścia mieli rezerwiści, których skierowano do Trzebiatowa. „Nie byliśmy zakwaterowani na poligonie, ale codziennie chodziliśmy do pracy na poligon. Około 5 km w jedną stronę. Mieliśmy poprawiać transeje i kopać rowy, ale absolutnie nic tam nie robiliśmy ani nikt z kadry nie przymuszał nas do takich prac. Szliśmy po prostu z łopatami, paliliśmy ognisko i wracaliśmy do jednostki” – relacjonował po latach Jerzy Kazański. Z kolei Tomasz Baranek skierowany za „działalność antysocjalistyczną” do odbycia zasadniczej służby wojskowej w Chełmie tak zapamiętał swoje „szkolenie”: „Przechodziliśmy na terenie węzła kolejowego Łazy szkolenie praktyczne z zakresu budowy i naprawy torów kolejowych. Jak nam powiedziano, jest to wychowanie przez pracę, żeby nam wybić z głowy różne niepotrzebne rzeczy [...]. Przez cały czas pobytu w karnej kompanii mieliśmy kilka zajęć na strzelnicy. Podczas strzelania oficerowie ostentacyjnie trzymali ręce na otwartych kaburach swoich pistoletów osobistych. Nigdy też żaden z nas nie pełnił służby wartowniczej”.

O czym była już mowa, wysłanych „w kamasze” z przyczyn politycznych poddawano przesłuchaniom, a także rewizjom oraz innym szykanom. Jak wspominał po latach Leszek Jaranowski wysłany przez ludową władzę do Czerwonego Boru: „Nie było żadnych szkoleń wojskowych, ale pobrali nam za to odciski palców. Cały czas odbywały się przesłuchania”. I to – szczególnie początkowo – intensywne. Jego kolega z tej samej jednostki, Stanisław Alot, tak to zapamiętał: „Szczególnie przez pierwsze

Tablica pamięci w Czerwonym Borze. Tam powołanych do wojska opozycjonistów – mimo mroźnej zimy – przetrzymywano w wagonach kolejowych FOT. NATALIA KRZYWICKA/IPN



sześć tygodni dość często wzywano nas na przesłuchania przez oficerów WSW, niektórych kilkakrotnie. Oficerowie WSW dysponowali wiedzą przekazaną im przez SB, a zdarzało się, że mundur WSW ukrywał funkcjonariusza SB”. Z kolei Dariusz Wódz, który trafił do Węgorzewa, relacjonował: „Wzywali nas na rozmowy, prowadzili je oficerowie kontrwywiadu. Pytania, jakie zadawali, nie miały nic wspólnego z normalną zasadniczą służbą, a bardziej dotyczyły kwestii związanych z bieżącą sytuacją polityczną”. Dotyczyły też oczywiście samej Solidarności czy kolegów, którzy wraz z przesłuchiwanymi trafili do wojska. Bo jednym z ich celów był oczywiście werbunek do współpracy. Tak na marginesie o ile pierwsze tygodnie internowania były pod tym kątem wysłanych „w kamasze” bezpiecznie poszło dużo gorzej. Pod koniec listopada 1982 r. Wojskowa Służba Wewnętrzna, owszem, posiadała 75 tajnych współpracowników wśród kadry zawodowej i dowódców drużyn, ale w gronie opozycjonistów już tylko 13 (z czego czterech wcielono do wojska specjalnie w celu inwigilacji kolegów, a dziewięć zwербowano już w jednostkach wojskowych). Niestety, w niektórych przypadkach to starczało. Jak wspominał Firkowski, tak było np. w Czarnem – „zawsze, kiedy chcieliśmy coś zorganizować, to dowództwo jednostki wiedziało o tym wcześniej. Chyba mieli pośród nas z dwóch-trzech donosicieli”. Tak na marginesie niekiedy udawało się opozycjonistom ich zdekonspirować. Jak relacjonował Stanisław Pitula, który

– jako poborowy – trafił do Jarosławia: „Pisarzem na kompanii był taki człowiek, który nie był z solidarnościowych kręgów. I myśmy go rozpracowali, że to kapuś. I paru chłopaków zrobiło mu w nocy kocówkę. Z tego wyszły poważne konsekwencje, bo był proces i dwóch chłopaków poszło siedzieć za pobicie”.

KADRA ZNIESMACZONA KRZYŻAMI

Na koniec warto przypomnieć, że wysłani do wojska działacze opozycji – mimo szykan i inwigilacji – stawiali opór. I tak np. na łamach „Hutnika” relacjonowano: „W dniu 10.11 [w Czerwonym Borze – przyp. G.M.] wszyscy odmówili jedzenia obiadu, w związku z czym aresztowano czterech z brzegu i przewieziono do więzienia w Białymstoku – grozi im sąd wojskowy”. Więcej szczęścia mieli ich koledzy chorzy na wrzody, którzy odmawiali spożywania normalnych posiłków i z tego powodu trafili „tylko” do wojskowego aresztu, tak na marginesie za „obniżanie zdolności bojowej Wojska Polskiego”. Inna sprawa, że głodówki należały – obok „wrogich napisów” czy „wrogich okrzyków” – do najczęstszych form oporu karnie wysłanych do wojska. Podobnie jak ich internowani koledzy wytwarzali oni również pocztę obozową (okolicznościowe koperty, stemple, znaczki). Formą oporu było również ustawianie krzyży, które zniesmaczona kadra niemal natychmiast usuwała. I za które szykanowała, np. karnymi wartami.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Author jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Pułkownik
bandzior

Dziś wiedza o nie tylko bandyckiej działalności GL-AL jest już powszechnie dostępna. Przecież jeszcze ważniejsza była współpraca z Niemcami (wspólne akcje z gestapo!) oraz pogromy Żydów. W Polsce Ludowej, gdy istniała ścisła prewencyjna cenzura, można to było łatwo ukrywać. Dziś można pisać prawdę. Dostępne są dokumenty własne tej organizacji, liczne wspomnienia i pamiętniki, które leżały pod kluczem w archiwach. A mimo to trudno jest się z tym przebić do powszechnej świadomości.

Zobaczmy to na przykładzie osławionego Bolesława Kaźmiraka ps. Cień, którego po wojnie władza ludowa przemianowała na „Kowalskiego”, aby zatrzeć ślady jego licznych zbrodni. Morderstwa żołnierzy AK i NSZ były na porządku dziennym. W Owczarni jego banda podstępnie zamordowała 17 żołnierzy AK. W Stefanówce – 13 żołnierzy AK. A był to zaledwie czubek góry lodowej, bo ich licznych zbrodni nikt nigdy nie policzył. Do tego pospolite rabunki i gwałty, morderstwa – niezwykle okrutne – na cywilach (m.in. Potok-Stany i Dąbrówka – 16 ofiar), co świadczyło o jego sadystycznych skłonnościach. Nie było to przeszkodą w pośpiesznym rozwijaniu kariery. Został „oficerem” AL, a później nawet pułkownikiem „ludowego” Wojska Polskiego!

Była możliwość szybkiej likwidacji bandy przez od-

działy AK (mjr. cc Hieronima Dekutowskiego „Zapory”) i NSZ (mjr. cc Leonarda Zub-Zdanowicza „Zęba”), ale szef sztabu Okręgu Lublin AK ppłk Franciszek Żak „Wir” kategorycznie zabronił podjęcia takiej akcji. Banda „Cienia” znalazła się więc pod swoistą ochroną Okręgu AK: „Zabraniam wszelkiej akcji w stosunku do oddziałów PPR, nawet w stosunku do oddziałów »Cienia«”.

W związku z tym po wejściu Sowietów w lipcu 1944 r. „Cień” uzyskał nowe możliwości: został hersztem 120-osobowej bandy złoczyńców pod nazwą „oddziału specjalnego”, już w stopniu... „majora”. Co robił w tym czasie? Były to pacyfikacje terenu i likwidowanie niewygodnych świadków swych haniebnych czynów. Dotyczyło to przede wszystkim żydowskich nie-szczęśników, którzy poszukiwali śladów swych krewnych zamordowanych przez bandę „Cienia” podczas okupacji.

W meldunku AK z listopada 1944 r. zawarta jest informacja, że „z powodu dobrego wyposażenia i wyekwipowania, jak i możliwości wzbogacenia się na rabunkach [banda] ma bardzo dużo ochotników [...]. Nie przyjmują do swego oddziału Żydów”.

„Cień”, poza awansem do stopnia pułkownika (!), doczekał się licznych odznaczeń państwowych i bojowych. Jest pochowany na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Alei Zasłużonych. ©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Polonez

Pierwsza poważniejsza modernizacja sztan-dardowego produktu FSO nadeszła w 1983 r. Cztery lata później pojawiło się nowe nadwozie z tylnymi bocznymi szybami, co znacznie poprawiło widoczność. Od pewnego czasu montowano już pięciobiegowe skrzynie biegów oraz dzieloną tylną kanapę. Dwa lata później rozpoczęto produkcję modelu ze zmienionymi lampami tylnymi i obniżonym progiem bagażnika, co ułatwiało załadunek. Natomiast 10 czerwca 1991 r. zadebiutował Polonez Caro, który całkowicie odmienił wizerunek modelu.

Problemem były jednak silniki, które pomimo ciągłej modernizacji niewiele się zmieniały. Nawet z wtryskiem paliwa i elektronicznym zapłonem pozostawały mało elastycznymi jednostkami o koszmarnie dużym zużyciu paliwa i zbyt słabej mocy. Natomiast wersje z silnikiem Rovera i Citroena były stosunkowo drogie i produkowano je w ograniczonym zakresie.

W pierwszej połowie lat 90. dla marki nadeszły dni chwały. Poziom produkcji był najwyższy w historii, a gdy polscy piłkarze zdobyli srebrny medal na olimpiadzie w Barcelonie w 1992 r., otrzymali od władz FSO polonezy Caro w limitowanej wersji w kolorze złotym. Dwa lata później produkcja osiągnęła blisko 90 tys. egzemplarzy i nie narzekano na brak klientów. Stosunkowo duży i nieźle wyposażony pojazd

był bowiem relatywnie tani, a jednocześnie posiadanie nowego egzemplarza stało się synonimem powodzenia finansowego dla rodzącej się klasy średniej. Wielu kierowców wołało też nowe wozy z Żerania niż mocno używane sprowadzane z Zachodu. Przy okazji Polonez był też najczęściej kradzionym pojazdem, o czym wielu jego posiadaczy miało okazję się osobiście przekonać.

Załamanie nadeszło w drugiej połowie dekady. Zmiany w sytuacji gospodarczej społeczeństwa i rozwój sprzedaży ratelnej zachodnich modeli spowodowały, że potencjalni klienci zrozumieli, iż pojazd z Żerania jest mocno przestarzałą konstrukcją. Nie można było zresztą zamówić systemu ABS ani poduszek powietrznych, co w nowych pojazdach stało się standardem. Dalej nie potrafiąco uporać się z problemem korozji, a gdy FSO przejęło Daewoo, koreańska firma zaczęła wprowadzać na polski rynek własne modele.

W zadziwiająco tempie, zaledwie w ciągu kilku lat, Polonez stał się symbolem obciachu i potwierdzeniem niepowodzeń zawodowych swego właściciela. To była wręcz droga do bohatera do zera. Samochód zaczynał jako marzenie polskich kierowców, potem stał się symbolem statusu rodzącej się klasy średniej, a na koniec był uważany za parodię pojazdu czy też wyrób samochodopodobny. ©



UWIERZYĆ SNOM

W wielu krajach azjatyckich spada turystyczne zainteresowanie Japonią. Krąży opinia, że przyczyną tego są lęki spowodowane przepowiednią zawartą w mandze wydanej w roku 1999. Jej autorka, Ryo Tatsuki, podzieliła się w tej książce swoimi „proroczymi” snami, w których zobaczyła gigantyczną katastrofę w Kraju Kwitnącej Wiśni. Dramat ma się wydarzyć 5 lipca 2025 r., choć naukowcy nie widzą podstaw do snucia takich wizji.

FOT. ADRIEN STOLK

WOLNOŚĆ SŁOWA

Szeryf hrabstwa Volusia na Florydzie miał niecodzienne spotkanie z człowiekiem, który za pośrednictwem e-maili groził mu śmiercią. Stróż prawa postanowił osobiście powitać na lotnisku nękającego go mężczyznę. Następnie przewiózł go do aresztu. Człowiek grożący szeryfowi twierdzi, że jego korespondencja była „satyrą” chronioną przez zapisy amerykańskiej konstytucji o wolności słowa.

BUTELKĄ PO WINIE

Niesforna kobieta musiała opuścić samolot lecący z Teryty do Glasgow. Swoim zachowaniem spowodowała, że maszyna lądowała awaryjnie w Faro. Kobieta była pod wpływem alkoholu. Gdy załoga samolotu przytąpała ją na paleniu e-papierosa i zwróciła jej uwagę, że na pokładzie jest to zabronione, zaczęła być agresywna. Straszyla, że użyje butelki po winie jako broni. Ostatecznie została na portugalskim lotnisku zatrzymana przez tamtejszą policję.

SZKODA AUTA

W Londynie pieszy wściekł się na kierowcę wartego ok. 250 tys. dol. lamborghini. Nie wiadomo, co tak zezłościło mężczyznę. W każdym razie zbliżył się do samochodu i wdał się w sprzeczkę z człowiekiem za kierownicą. Być może miał do niego pretensje, że ten za szybko jechał. Pieszy był gotowy kopnąć pojazd, ale się w ostatniej chwili powstrzymał, ponieważ samochód nagle ruszył. Wśród głosów komentujących zdarzenie pojawił się i taki, że mężczyzna słusznie oszczędził luksusowe auto.

BÓJKA NA AUTOSTRADZIE

Dużo ostrzejszy przebieg miała konfrontacja na autostradzie w Australii Południowej. Doszło tam do bójki między dwoma mężczyznami. Wysiedli oni ze swoich pojazdów i się na siebie rzucili. A wszystko to działo się na drodze, którą wciąż jeździły samochody. Ich kierowcy stanęli przed nie lada zadaniem, żeby dwóch krewkich dżentelmenów nie potracić. © ©

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Chińskie oko i tabliczka MON

Chińscy naukowcy ujawnili niedawno, że opracowali system, który działa jakby był wprost wyjęty nawet nie z literatury szpiegowskiej, ale z powieści science fiction.

Nowatorska technologia wykorzystuje teleskopy i lasery, umożliwiając odczytanie szczegółów (np. liter) mniejszych niż ziarenko ryżu z wysokości niemal 1,4 km. Bez typowych zniekształceń i w dobrej rozdzielczości. Nowy system ma teoretycznie ułatwić pracę archeologów oraz specjalistów monitorujących zagrożone gatunki. Jest też prawdopodobne,

że chińska technologia zostanie zastosowana do działalności szpiegowskiej, choć na razie trudno o dyskrecję, bo obiekt musi być jednak oświetlony laserem.

Polski rząd z kolei może się pochwalić innym sposobem, który ma zapewnić państwu ochronę kontrwywiadowczą. Nasz dzielny szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz nie bawi się w jakieś nowoczesne lasery. Zamiast tego wydał rozporządzenie, które wprost zakazuje fotografowania obiektów ważnych dla bezpieczeństwa kraju (w tym m.in. mostów, wiaduktów i tuneli).

Obowiązujące od kwietnia prawo określa wzór tabliczki o boku 60 cm z czerwoną obwódką, rysunkami przedstawiającymi tradycyjny aparat fotograficzny, kamerę wideo i smartfon (o istnieniu dronów pewnie ktoś w końcu szefowi MON powie i się wtedy zrobi nowy wzór) oraz z napisami po polsku, angielsku, niemiecku, rosyjsku i arabsku. Za złamanie zakazu grozi do 30 dni aresztu, grzywna do 20 tys. zł i utrata sprzętu. Teraz z pewnością wszyscy wrodzy szpieg nad Wisłą mają już spakowane plecaki ewakuacyjne... © ©



Maciej Pieczyński

Wojna toczy się nie tylko na froncie. Ukraińcy sprawnie likwidują swoich wrogów, niczym izraelski Mosad. Zabijają również cywilów – polityków i propagandystów, którzy nie byli sprawcami, tylko piewcami zbrodni wojennych

21 maja pod prywatną amerykańską szkołą w Pozuelo de Alarcón pod Madrytem został zastrzelony Andrij Portnow. Prorosyjski polityk ukraiński odprowadzał na lekcje swoje córki: 10- i 12-latkę. Dostał pięć kul w szyję, plecy, jedną – kontrolną – w głowę, co świadczy o tym, że sprawcami byli zawodowi zabójcy. Odgłosy strzałów wywołały panikę nie tylko w szkole, lecz także w całej okolicy. Wśród świadków zabójstwa byli słynny trener Atlético Madryt (a w przeszłości argentyński piłkarz), Diego Simeone, i jego żona, Carla Pereira. Odprowadzali swoje dzieci do prestiżowej szkoły w tym samym czasie, co ukraiński polityk.

Od 2005 r. Portnow był głównym prawnikiem w sztabie wyborczym Bloku Julii Tymoszenko, ówczesnej szefowej ukraińskiego rządu. Miał wtedy zaledwie 32 lata. Rok później dostał się z list BJUT do Rady Najwyższej, gdzie był nawet wiceprzewodniczącym frakcji parlamentarnej. Na początku 2010 r. Tymoszenko przegrała wybory prezydenckie z Wiktorem Janukowyczem. Portnow, jako prawnik przegranej, reprezentował jej interesy przed sądem, próbując zakwestionować uczciwość wyborów. Chwilę później jednak zmienił front. Jednego dnia przygotowywał pozew przeciwko Janukowyczowi, nazajutrz – już jako człowiek Janukowycza – działał przeciwko dawnej patronce. Według doniesień mediów aresztowanie i uwięzienie byłej premier za podpisanie niekorzystnego kontraktu gazowego z Rosją było w dużej mierze zasługą Portnowa.

Już w kwietniu 2010 r. został on wiceszefem administracji prezydenta,



Ukraińcy niczym Mosad

a rok później – doradcą Janukowycza. Kierował też prezydencką komórką zajmującą się planami reform sądownictwa. Faktycznie odpowiadał za nominacje sędziowskie, tworząc rozległą sieć wpływów. Podczas Euromajdanu (według mediów, bo sam Portnow temu zaprzeczał) kierował przygotowaniem tzw. ustaw dyktatorskich, które miały usprawiedliwić brutalne stłumienie protestów. Jako najbardziej wpływowy prawnik epoki Janukowycza jest współodpowiedzialny za masakrę w Kijowie. Po zwycięstwie rewolucji wraz z żoną uciekł do Rosji. Po-

tem przeniósł się do Wiednia, gdzie pracował jako adwokat. Wrócił na Ukrainę w przededniu wyborczego zwycięstwa Zełenskiego nad Poroszenką w 2019 r., popierając otwarcie tego pierwszego.

Wtedy jeszcze wydawało się, że „sługa narodu”, w przeciwieństwie do swojego, znanego z wojenno-patriotycznej retoryki poprzednika, będzie szukał porozumienia z Rosją. W tych warunkach Portnow, ze swoją szemraną przeszłością, mógł ponownie wejść do poważnej politycznej gry. Opracował nawet projekt ustawy zabraniającej zatrudniania



Andrij Portnow, prorosyjski polityk ukraiński, został zastrzelony w Hiszpanii, gdy odprowadzał na lekcje swoje córki

FOT. RICARDO RUBIO/EUROPA PRESS/AP/EAST NEWS

w administracji państwowej ludzi, którzy pracowali dla państwa między Euromajdanem a dojściem do władzy Żełenskigo. Niedługo potem z podobnym (choć nie tak radykalnym) pomysłem lustracji wystąpił sam prezydent, co wywołało spekulacje na temat współpracy obu polityków.

Choć za czasów Poroszenki Portnow został oskarżony o zdradę stanu, to po jego powrocie śledztwo umorzono. Według mediów Portnow (wspólnie z ówczesnym szefem Biura Prezydenta Żełenskigo Andrijem Bohdanem) bezprawnie wpłynął na odwołanie prezesa Sądu Konstytucyjnego. W 2020 r. miał też szantażować nową prokurator generalną Irynę Wieniediktową ujawnieniem rzekomo kompromitujących ją materiałów. W tym samym roku p.o. dyrektor Państwowego Biura Śledczego w wywiadzie dla „ukraińskiej Prawdy” przyznał, że w organach ścigania funkcjonowały „wpływowe grupy”, które przekazywały tajemnice państwowe i szczegóły śledztw byłym urzędnikom, w tym Portnowowi. Prawnik miał przez lata szerokie wpływy w ukraińskim sądownictwie. Był „riesząłą” – tak w rosyjskojęzycznym slangu kryminalnym nazywa się

człowieka, który dzięki swoim rozległym kontaktom i wpływom rozwiązuje różne problemy w relacjach z władzą.

W czerwcu 2022 r. Portnow uciekł z Ukrainy. Według jednej z wersji wyjechać z kraju pomógł mu Ołeh Tatarow, wiceszef biura prezydenta (również były współpracownik Janukowycza oskarżany o korupcję). Według mediów kilka dni przed śmiercią Portnow przebywał na Ukrainie i spotykał się z wysoko postawionymi urzędnikami odpowiedzialnymi za resorty siłowe.

„ZLIKWIDOWANY”

Kto go zabił? Najbardziej oczywisty trop prowadzi wprost do Kijowa. Portnow znajdował się na liście wrogów Ukrainy publikowanej przez powiązany z SBU portal Myrotvorec. Po śmierci polityka jego profil zaktualizowano przez dodanie zdjęcia jego ciała z dopiskiem „zlikwidowany”. Zdaniem Ołeksija Arestowycza na 99 proc. za śmierć Portnowa odpowiada sam prezydent Żełenski, który w ten sposób pozbywa się konkurentów w walce o dawny prorosyjski elektorat w przyszłych wyborach. Podobnego zdania jest prorosyjski bloger Anatolij Szarij. Twierdzi ponadto, że zamordowany polityk dysponował materiałami kompromitującymi Żełenskigo.

Parlamentarzystka Solidarności Europejskiej Wiktorija Siumar zasugerowała z kolei, że zabójstwo mogło być zemstą za niesprawiedliwe wyroki sądowe wydawane przez skorumpowanych sędziów zawdzięczających swoją karierę Portnowowi. Wybrany z list Sługi Narodu parlamentarzysta Ołeksandr Dubinski (obecnie oskarżony o zdradę stanu) uważa, że polityk mógł paść ofiarą porachunków biznesowych, związanych z wyrokami sądowymi na zamówienie, albo zamachu przeprowadzonego przez rosyjski wywiad.

Oleg Cariow, kolega Portnowa z czasów wspólnej działalności w ekipie

Janukowycza, następnie jeden z przywódców donieckich separatystów, obecnie przebywający w Rosji, w nagraniu opublikowanym w swoich mediach społecznościowych spekuluje z kolei: „Miał mnóstwo zamówień. Jeden chciał, żeby sądy zostawiły w spokoju jego aktywa, drugi chciał, żeby zamknięto prowadzone przeciwko niemu śledztwo, trzeci – żeby go nie wpisali na listę sankcyjną. Andriej rozwiązywał problemy, prawie wszystkie. Niektórzy płacili po 10 mln dol. Ale nie wszystkie sprawy dało się rozwiązać. Nie wydaje mi się, żeby został zabity z powodów politycznych”.

Ukraińscy komentatorzy raczej wątpią w wersję o „ukraińskim śladzie”. Przekonują, że Portnow nie był priorytetowym celem dla Kijowa, a poza tym skoro przed śmiercią przebywał na Ukrainie, to łatwiej byłoby go tam zlikwidować, niż ryzykować zamach w Hiszpanii. Można jednak podejrzewać, że likwidacja polityka w kraju byłaby zbyt oczywista. Trudno byłoby wtedy zrzucać winę na porachunki biznesowe czy rękę Moskwy. Portnow został zabity bez sądu, i to bynajmniej nie na polu bitwy, więc niekoniecznie Kijów chciałby ujawniać, że ma z tym coś wspólnego (o ile to rzeczywiście sprawka Ukraińców). Poza tym już w wypadku poprzednich zamachów na swoich wrogów Kijów zaprzeczał, po czym okazywało się, że tropy prowadzą jednak do Kijowa właśnie.

W sierpniu 2022 r. w wybuchu samochodu pułapki zginęła Daria Dugina. Być może celem był jej ojciec, słynny geopolityk i publicysta, znany ze swoich imperialnych, antyzachodnich i antyukraińskich poglądów Aleksandr Dugin. Moskwa oskarżyła o zamach Ukraińców. FSB już dwa dni po zamachu znalazła sprawcę – Natalię Wowk, działającą jakoby na zlecenie SBU. Kijów zaprzeczył. Na Zachodzie rezonowała ukraińska narracja o rzekomych porachunkach wewnątrz rosyjskiej elity władzy.

To dość częste medialno-polityczne zjawisko. Zazwyczaj gdy ginie wróg Ukrainy, ale nie na polu walki, tylko w zamachu, a do tego owym wrogiem nie jest żołnierz, bezpośrednio odpowiedzialny za zbrodnie wojenne, tylko polityk lub propagandysta, a zatem jego likwidacja bez sądu może być uznana za wątpliwą moralnie, reakcja nad

Likwidacja polityka w kraju byłaby zbyt oczywista. Trudno byłoby wtedy zrzucać winę na porachunki biznesowe czy rękę Moskwy

■ Dnieprem i w Europie jest podobna. Można ją streścić następująco: „Z pewnością za spust nie pociągnęli Ukraińcy. To oczywiste, że mamy do czynienia z porachunkami wewnątrzrosyjskimi, z rywalizacją pomiędzy kremlowskimi służbami lub prokremlowskimi grupami interesu”. Na Zachodzie wielu wierzy na słowo oficjalnym komunikatom Kijowa, które zaprzeczają swojemu udziałowi.

Dokładnie tak było z Duginą. Tymczasem już kilka miesięcy po zamachu „New York Times”, powołując się na swoje źródła w amerykańskich służbach, informował, że sprawcami byli rzeczywiscie Ukraińcy. Prawdziwym celem miał być sam Aleksandr Dugin, jego córka zaś – choć również była prowojenną propagandystką – zginęła przypadkowo. Zamach miał być przeprowadzony bez wiedzy i zgody Waszyngtonu, za co Amerykanie mieli upomnieć Ukraińców, przestrzegając, że tego typu działania mogą sprowokować Rosję do przeprowadzenia własnych ataków przeciwko wysokim rangą ukraińskim oficielom.

Jesienią 2023 r. „The Washington Post”, opierając się na informacjach od obecnych i byłych urzędników amerykańskich i ukraińskich, podał więcej szczegółów zamachu. Ustalenia FSB okazały się prawdziwe – sprawcą była Natalia Wowk. Wjechała do Rosji z Estonii w lipcu 2022 r. w towarzystwie 12-letniej córki. Bombę w częściach przemyciła w klatce dla kota, która nie zwróciła uwagi pograniczników, bo była tylko jednym z mnóstwa gratów, którymi samochód Ukrainki był wypełniony aż po sufit. Wowk zamieszkała na tym samym moskiewskim osiedlu co Dugina. Obserwowała ją przez kilka tygodni, a gdy zainstalowała ładunek pod jej samochodem, wróciła do Estonii. Przypomnijmy, że Dugina zginęła, wracając z patriotycznego festiwalu Tradycja pod Moskwą. Ukraińcy byli zatem w stanie zlikwidować swojego wroga w samym sercu Rosji.

DŁUGA LISTA

Według „NYT” to była jedna z wielu udanych operacji SBU. Od 2015 r. CIA wpompowała dziesiątki milionów dolarów w unowocześnienie ukraińskich służb specjalnych – obok SBU, również HUR. Efekty są widoczne. O ile na froncie Ukraińcy nie są w stanie odzyskać

O ile na froncie Ukraińcy nie są w stanie odzyskać utraconych terytoriów, o tyle w punktowej likwidacji swoich wrogów odnoszą znaczące sukcesy

utraconych terytoriów, o tyle w punktowej likwidacji swoich wrogów odnoszą znaczące sukcesy. W kwietniu 2023 r. znany rosyjski Z-blogger Władlen Tatarski spotkał się ze swoimi czytelnikami w jednej z petersburskich kawiarni. Jedną z uczestniczek spotkania autorskiego wręczyła mu prezent – złotą statuetkę, która po chwili eksplodowała. Tatarski zginął na miejscu, a 32 osoby zostały ranne.

Podobnie jak wcześniej w wypadku Duginy i dziś w wypadku Portnowa początkowo sprawców szukano w Rosji. Według popularnej wówczas wersji zabójstwo było ostrzeżeniem dla Jewgienija Prigożyna, który już wtedy ostro krytykował ministerstwo obrony i sztab generalny. Wydawało się to o tyle prawdopodobne, że kawiarnia, w której przeprowadzono zamach, należała do szefa wagnerowców. Jednak według dobrze poinformowanych amerykańskich mediów również Tatarski zginął z rąk służb Kijowa. Podobnie jak Dugina nie był on sprawcą zbrodni wojennych, tylko ich piewą, propagandystą inwazji na Ukrainę.

Niemal identyczny jest przypadek Zachara Rilepina. Niemal, bo znany pisarz i publicysta jest nie tylko podżegaczem wojennym, lecz także uczestnikiem wojny. W 2014 r. był zastępcą dowódcy batalionu separatystów oraz doradcą lidera tzw. Donieckiej Republiki Ludowej Aleksandra Zacharczenki. Po 24 lutego 2022 r. walczył w szeregach Rosgwardii. Cały czas zajmował się też antyukraińską działalnością propagandową – w telewizji, Internecie, pisał kolejne książki o wojnie i wspierał początkujących Z-pisarzy. W maju 2023 r. cudem przeżył zamach – pod jego samochodem wybuchła bomba, gdy pisarz wracał z frontu do Moskwy i po drodze zatrzymał się w swoich rodzinnych stronach, na rosyjskiej prowincji niedaleko Niżnego Nowogrodu.

Pod nóż idą też kolaboranci – zdrajcy Ukrainy współpracujący z administracją okupacyjną. W grudniu 2023 r. pod Moskwą od kuli zamachowca zginął prorosyjski ukraiński polityk Ilja Kywa. Tym razem Kijów niemal dosłownie przyznał się do likwidacji wroga. Ginęli również rosyjscy dowódcy wojskowi. W Krasnodarze na południu Rosji podczas joggingu został zastrzelony Stanisław Rżycki – były kapitan łodzi podwodnej, która ostrzeliwała obiekty cywilne w Winnicy.

SŁABOŚĆ ROSYJSKICH SŁUŻB

Przez lata rosyjskie służby specjalne słynęły ze swojej zabójczej skuteczności. Przeciwnicy Putina ginęli zarówno w Rosji, jak i na całym świecie. Inwazja na Ukrainę obnażyła słabość armii rosyjskiej, ale o wiele bardziej ośmieszyła FSB. Putin uwierzył w swoją własną propagandę, licząc na to, że jego żołnierze zostaną nad Dnieprem powitani z kwiatami. Za to niedocenie nie przeciwnika odpowiadają służby specjalne, które ponadto, po pierwsze, nie potrafiły zapobiec wszystkim wymienionym powyżej zamachom, a po drugie – nie potrafiły odpowiedzieć SBU czy HUR tym samym. Kreml dalej potrafi likwidować swoich wrogów wewnętrznych (choćby Aleksieja Nawalnego, który jednak sam wszedł do paszczy lwa, wracając do Rosji po próbie otrucia), ale zewnętrznych już niekoniecznie. Z rąk kremlowskich służb nie zginął żaden znaczący ukraiński polityk czy dowódca wojskowy. Oczywiście swoją przewagę Ukraińcy zawdzięczają przede wszystkim wsparciu Waszyngtonu, co kolejny raz pokazuje, jak wielką przewagą technologiczną nad Rosją dysponuje szeroko rozumiany Zachód.

Jednym z nielicznych sukcesów rosyjskich służb w wojnie z Ukrainą jest likwidacja Maksyma Kuzminowa. Rosyjski pilot, który zdezerterował i przeszedł na stronę Kijowa, przywożąc Ukraińcom śmigłowiec wojskowy i udzielając cennych informacji ukraińskiemu wywiadowi, dostał ochronę i pół miliona dolarów rekompensaty, został zastrzelony w lutym 2024 r. w Alicante. Portnow jest więc już drugą ofiarą wojny rosyjsko-ukraińskiej zabity w Hiszpanii. Wojny, której końca wciąż nie widać.

© All Wszelkie prawa zastrzeżone

10 lipca 2023 r. prowadziłem w Gdańsku spotkanie poświęcone książce „Ocaleni z ludobójstwa. Wspomnienia Polaków z Wołynia” pod redakcją naukową dwojga historyków z gdańskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej – dr Joanny Karbarz-Wilińskiej i Bartosza Januszewskiego. Na sali byli historycy, autorzy opracowania zawartych w książce świadectw i licznie zgromadzona publiczność. Wyczuwalne było napięcie. Tego dnia przypadała okrągła 80. rocznica rozpoczęcia masowej czystki ludności polskiej w dawnych województwach: wołyńskim, stanisławowskim, tarnopolskim. 10 lipca 1943 r., w upalną i spokojną niedzielę, na Wołyniu podjęto działania będące kontynuacją na dużo większą skalę czystki ludności polskiej, która była prowadzona od lutego 1943 r. Od lipca 1943 r. dowództwo OUN-B – czyli w Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów frakcja Stepana Bandery – postanowiło zintensyfikować mordy na ludności polskiej. Krwawa rzeź objęła kobiety i dzieci oraz małżeństwa mieszane wraz z członkami ich rodzin. Ukraińcy kierowali się szczególnym okrucieństwem w swoich działaniach wobec ludności polskiej. W masakrach zginęło – jak szacują historycy – ok. 100 tys. osób oraz 10–15 tys. Ukraińców w ramach działań odwetowych. Walki z partyzantką ukraińską, która atakowała cywilną ludność polską, trwały do 1945 r. i przeniosły się aż na Zamojszczyznę i Lubelszczyznę. Tymczasem 9 lipca 2023 r. prezydenci Ukrainy i Polski spotkali się w Łucku, żeby wspólnie uczcić ofiary ukraińskiego ludobójstwa, w tym krwawej niedzieli. Ze strony polskiej nie padły twarde żądania wznowienia ekshumacji ofiar tej zbrodni. Ekshumacja bowiem, co należy przypomnieć, została przerwana po 2020 r. przez stronę ukraińską.

Podczas wspomnianego spotkania w Gdańsku autorzy książki „Ocaleni z ludobójstwa” rzetelnie i obiektywnie relacjonowali przebieg swojej pracy nad źródłami wiedzy o ukraińskim ludobójstwie. Analizowali sam termin „ludobójstwo”. Po drugiej wojnie światowej ukuł go jako kategorię prawną prawnik ze Lwowa Rafał Lemkin. Termin ten wszedł w 1947 r. do prawa międzynarodowego, na podstawie którego zbrodnie dokony-

Ukraińcy żądają i nie ustępują



Rafał Dudkiewicz

Trudno nie odnieść wrażenia, że strona ukraińska chce do maksimum ograniczyć prace poszukiwawcze, które mogłyby ukazać skalę zbrodni na ludności polskiej, do której doszło na Ukrainie podczas drugiej wojny światowej. Problemem strony polskiej jest brak stosownej polityki negocjacyjnej, żeby zostały zrealizowane wszystkie złożone wnioski

wane miały być ścigane do skutku i bez możliwości przedawnienia. Po prezentacji książki rozpoczęła się seria pytań od publiczności. Były one często podszyte goryczą w stosunku do postawy elit i klasy politycznej III RP – ludzi, którzy od 1989 r. lekceważą i ignorują rodziny tzw. Wołyniaków, jeśli chodzi o szeroko rozumianą pamięć ofiar ludobójstwa ukraińskiego. Nad tym ludobójstwem unosi się wieloletnie tabu, a ofiary zbrodni i ich rodziny stają się zakładnikami kunktatorskiej polityki władz polskich, które nie są w stanie wymóc ani twardej deklaracji na władzach ukraińskich na temat wydarzeń z lata 1943 r., ani

uzyskać zgody na ekshumację i godne upamiętnienie ofiar tej zbrodni.

HISTORIA POSZUKIWAŃ I EKSHUMACJI

Kwestie pochówków oraz miejsc pamięci ofiar reguluje Umowa między Rządem Rzeczypospolitej Polskiej a Rządem Ukrainy o ochronie miejsc pamięci i spoczynku ofiar wojen i represji, która została zawarta pomiędzy oboma państwami 21 marca 1994 r. Same badania natury historycznej nad kwestiami polsko-ukraińskimi w okresie drugiej wojny światowej rozpoczęły się w sposób sukcesywny i metodyczny dopiero po powołaniu

19 stycznia 1998 r. Instytutu Pamięci Narodowej. Pierwszym historykiem, który zaczął prowadzić sukcesywne badania jako historyk zatrudniony w IPN, był Grzegorz Motyka, aktualnie dyrektor Wojskowego Biura Historycznego w Rembertowie. Badania nad kwestiami ukraińskimi – przede wszystkim książka Ewy i Władysława Siemaszków – cieszyły się dużym uznaniem wśród czytelników, ale praca ta miała trudność z tym, żeby zostać poważnie potraktowana przez środowisko akademickie i świat polityki. Wszyscy ci, którzy podnosili problem ludobójstwa ukraińskiego, byli sekowani i często otrzymywali łatkę zwolenników „rosyjskiej narracji”.

Bardzo duże znaczenie nad badaniami zmieniła w roku 2016 premiera filmu „Wołyń” w reżyserii Wojciecha Smarzowskiego. Od tego momentu sprawa krwawej rzezi dokonanej na Polakach przez ukraińskich sąsiadów przebiła się do powszechnej świadomości. Co zaskakujące, wielu polityków na ten temat pozostawało głuchych.

Do 2016 r. umowę z 1994 r. realizowała Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Do tego momentu skutecznie zrealizowano poszukiwania, ekshumacje i pochówki w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej (jeszcze w 1992 r.), w latach 2001–2002 ekshumacje w Pawliwce i Radowiczach, w roku 2011 kolejne ekshumacje w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej (kontynuowane w latach 2014 i 2015), w 2013 r. w Gaju.

W 2016 r. doszło do nowelizacji ustawy o IPN. W jej wyniku ROPWiM została do IPN włączona jako odrębny pion – Biuro Upamiętniania Walk i Męczeństwa. Powołano także w IPN Biuro Poszukiwań i Identyfikacji. Część prerogatyw dotyczących realizacji umowy przeszła również do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Sytuacja instytucjonalna i prawna stała się klarowna i jasna, ale rozpoczął się wtedy spór w relacjach polsko-ukraińskich dotyczący upamiętnień partyzantów UPA w Polsce.

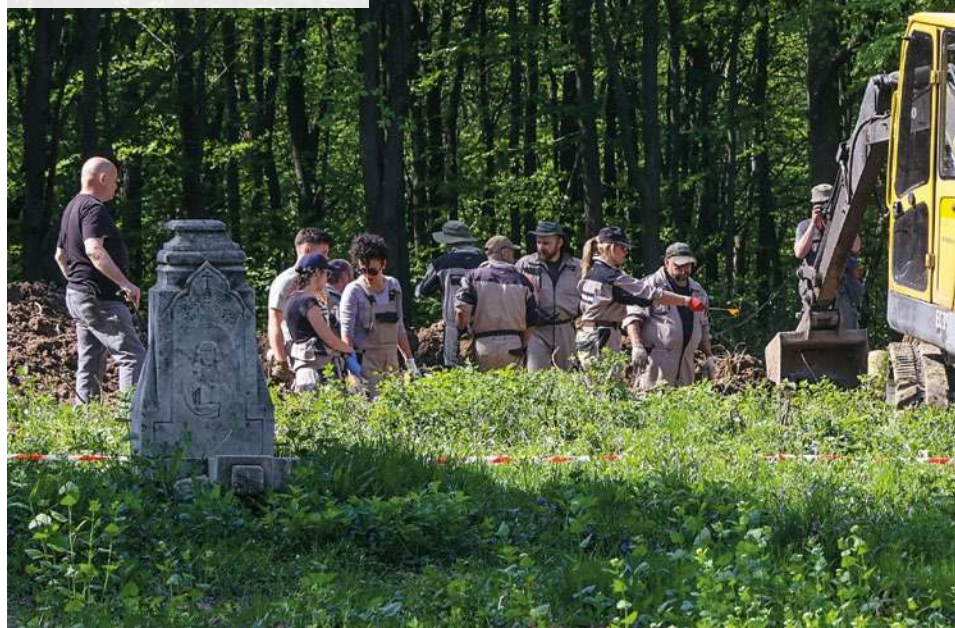
IMPAS W ROZMOWACH

27 kwietnia 2017 r. w odpowiedzi na zdemontowanie nielegalnie postawionego pomnika UPA w Hruszowicach ukraiński IPN, który był wówczas kierowany przez Wołodymyra Wiatrowycza, ukraińskiego historyka, propagatora narracji o bohaterstwie UPA, wstrzymał możliwości stronie polskiej na kontynuację prac poszukiwawczych na Ukrainie. Ponownie polityka zaciążyła nad pamięcią o ofiarach. W lutym 2018 r. rozpoczęły się negocjacje polityczne.

Najpierw odbywały się one na szczepku ministrów kultury, tj. Piotra Glińskiego i Pawła Rozenki. 8 lipca 2018 r. prezydent RP Andrzej Duda zaapelował do ówczesnego prezydenta Ukrainy Petra Poroszenki o wyjście z impasu. Strona ukraińska już wówczas żądała usunięcia ze znowelizowanej ustawy o działalności Instytutu Pamięci Narodowej przepisu mówiącego o odpowiedzialności karnej za zaprzeczanie zbrodniom ukraińskich nacjonalistów. Przepisy te zostały zakwestionowane przez polski Trybunał Konstytucyjny w styczniu 2019 r. Ale strona ukraińska, pomimo jej licznych deklaracji na szczepku ministra kultury i nowego prezydenta Ukrainy, Wołodymyra Zełenskiego, nie zezwoliła na wznowienie prac poszukiwawczych. Miał je prowadzić szef Biura Poszukiwań i Identyfikacji dr hab. Krzysztof Szewczyk, historyk, który skuteczność i doświadczenie w tej materii potwierdził m.in. na warszaw-

Rozpoczęcie prac przy wydobywaniu szczątków polskich ofiar rzezi wołyńskiej na terenie dawnej wsi Puźniki, 25 kwietnia 2025 r.

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS



skiej „Łączce”, czyli cmentarzu Powązkowskim, identyfikując i wydobywając liczne ofiary komunistycznych zbrodni sądowych z okresu stalinizmu.

W lipcu 2020 r. szef dyplomacji Ukrainy Dmytro Kułeba, podczas spotkania z ministrem spraw zagranicznych Jackiem Czaputowiczem, postawił stronie polskiej nowe żądania. Stwierdził, że IPN będzie mógł prowadzić dalsze prace poszukiwawcze, ale pod warunkiem, iż strona polska odnowi pomnik nagrobny na wzgórzu Monastyr, w pobliżu miejscowości Monasterz w województwie podkarpackim. Pomnik był dwa razy zniszczony – w latach 2015 i 2020 – prawdopodobnie przez wandalów. Jeszcze w 2020 r. tablica przez stronę polską została odnowiona z pominięciem spisu nazwisk członków UPA i bez napisu „Polegli za wolną Ukrainę”. W październiku 2020 r. podczas wizyty Andrzeja Dudy na Ukrainie prezydent Zełenski zażądał przywrócenia tablicy w poprzednim brzmieniu i kształcie, a szef ukraińskiego IPN Anton Drobowycz od spełnienia tego postulatu uzależnił udzielenie zgody na dalsze prace identyfikacyjne i poszukiwawcze w Hołosku, Zboiskach i Hucie Pieniackiej. Strona polska odmówiła



potwierdzili gotowość strony polskiej do kontynuowania prac poszukiwawczych, ekshumacyjnych i godnych pochówków ludności polskiej zamordowanej podczas drugiej wojny światowej na Ukrainie. Szef dyplomacji polskiej i minister spraw zagranicznych Ukrainy Andrij Sybiha po spotkaniu 26 listopada 2024 r. wydali wspólne oświadczenie, w którym strona ukraińska zadeklarowała, „że nie ma żadnych przeszkód do prowadzenia przez polskie instytucje państwowe i podmioty prywatne we współpracy z właściwymi instytucjami ukraińskimi prac poszukiwawczych i ekshumacyjnych na terytorium Ukrainy”. Przedstawiciel rządu ukraińskiego wyraził gotowość do pozytywnego rozpatrzenia polskich wniosków dotyczących takich prac. Ówczesny szef IPN dr Karol Nawrocki podkreślił, że strona ukraińska nie odpowiedziała pozytywnie na żaden z wcześniej złożonych wniosków.

21 maja 2025 r. doszło do konferencji prasowej w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz do spotkania przedstawicieli instytucji, które były zaangażowane w prace poszukiwawcze w Puźnikach na Ukrainie. Na spotkaniu poza przedstawicielami resortu kultury byli także obecni przedstawiciele: Instytutu Pamięci Narodowej, Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie, Fundacji Wolność i Demokracja oraz ukraińskiej Fundacji Wołyńskie Starożytności. Wydano następujący komunikat: „W dniach 23 kwietnia–10 maja 2025 r. na terytorium Ukrainy, w dawnej wsi Puźniki, zostały przeprowadzone prace ekshumacyjne. W toku prac zostały odnalezione i zabezpieczone szczątki ofiar zbrodni dokonanej w lutym 1945 r. przez oddziały Ukraińskiej Powstańczej Armii. Celem prac jest identyfikacja ofiar oraz organizacja ich godnego pochówku zgodnie z wolą rodzin.

W pracach koordynowanych przez Fundację Wolność i Demokracja wzięli udział eksperci z Pomorskiego Uniwersy-

tetu Medycznego w Szczecinie, Instytutu Pamięci Narodowej oraz firmy »Wołyńskie starożytności« [pisownia oryg.]. Prace w całości sfinansowano z budżetu MKDiN”.

W komunikacie była też mowa o 32-osobowym zespole specjalistów, którego pracami kierował Pomorski Uniwersytet Medyczny w Szczecinie. Prace te obejmowały obszar o powierzchni 115 mkw. Powierzchnia całkowita mogiły wynosiła 8,2 mkw. Wydobyto szczątki 42 osób. Na podstawie przeprowadzonej analizy ustalono, że wśród ekshumowanych ofiar było co najmniej 11 osób małoletnich (poniżej 18. roku życia), 16 kobiet i 10 mężczyzn. Znalezione także 172 przedmioty osobiste.

Kolejny fragment komunikatu informował: „Prowadzone są badania genetyczne materiałów pobranych ze szczątków. Po ich zakończeniu możliwe będzie podanie dokładnej liczby ofiar. Proces identyfikacji prowadzony jest na podstawie próbek DNA uzyskanych od 50 krewnych ofiar. Analizy potrwać do końca 2025 r.”.

Dalej w komunikacie można było przeczytać: „Zakończone w Puźnikach prace są ważnym etapem na drodze do realizacji kolejnych działań poszukiwawczych i ekshumacyjnych na terenie Ukrainy”. A ostatnie zdanie brzmiało: „W toku pozyskiwania zgód na prace poszukiwawcze lub ekshumacyjne jest 26 wniosków złożonych przez Instytut Pamięci Narodowej oraz 3 wnioski z Ukrainy”.

Ten komunikat resortu kultury dobrze obrazuje rozbieżność pomiędzy deklaracjami politycznymi strony ukraińskiej, nawet tymi na najwyższym szczeblu, a praktyką, która wiąże się z ograniczeniem stronie polskiej realnych działań poszukiwawczych na Ukrainie. Nie ma ciągle realnej zgody na metodyczne działania, które wiązałyby się z intensyfikacją prac na Ukrainie. Trudno nie odnieść wrażenia, że strona ukraińska chce do maksimum ograniczyć prace poszukiwawcze, które po identyfikacjach szczątków mogłyby ukazać skalę zbrodni na ludności polskiej, do której doszło na Ukrainie podczas drugiej wojny światowej. Problemem strony polskiej jest brak stosownej polityki negocjacyjnej, żeby zostały zrealizowane wszystkie złożone wnioski.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

przywrócenia napisów na tablicach w poprzednim brzmieniu. Nastąpił całkowity i długotrwały impas w pracach poszukiwawczych i ekshumacyjnych.

W lutym 2022 r., po ataku wojsk rosyjskich na Ukrainę, sprawa prac archeologicznych nie była tematem wiodącym we wzajemnych relacjach, ale ze strony polskiej trwały dalsze negocjacje z rządem ukraińskim. W listopadzie 2022 r. Fundacja Wolność i Demokracja, założona przez Michała Dworczyka, za pośrednictwem noty przekazanej polskiemu MSZ otrzymała zgodę władz ukraińskich na prace poszukiwawcze i ekshumacyjne w Puźnikach. Po tej oficjalnej deklaracji jednak w sprawie dalszych i konkretnych prac nic się faktycznie nie zmieniło. Wróciła sprawa treści tablicy na wzgórzu Monastyr. Pomimo licznych deklaracji ze strony ukraińskich władz wszystkich szczebli sprawy utknęły w martwym punkcie.

„NOWE OTWARCIE”?

Po wyborach i zmianie rządu w Warszawie polscy politycy – minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz (w sierpniu 2024 r.) i minister spraw zagranicznych Radek Sikorski (we wrześniu 2024 r.) –

**U Ukraińców występuje
rozbieżność pomiędzy
deklaracjami politycznymi
a praktyką**

Gwiezdne wojny 2.0



Jacek Przybylski

Złota Kopia. Tak nazywa się wart co najmniej 175 mld dol. supernowoczesny system, który ma być zdolny do przechwytywania wszelkich wrogich rakiet i pocisków: od międzykontynentalnych poprzez hipersoniczne do tych wyrzucanych z kosmosu. Budowa tarczy zmusi też Rosjan do nowego wyścigu zbrojeń w czasie, gdy zasoby Kremla są już mocno ograniczone



Donald Trump na budowę nowej tarczy antyrakietowej jeszcze w tym roku chce wydać 25 mld dol. FOT. CHIP SOMODEVILLA/GETTY IMAGES

Donald Trump, umięśniony niczym Rambo z czasów młodości, pozujący z czerwonym mieczem świetlnym na tle amerykańskiej flagi. Tak prezydent najpotężniejszego mocarstwa świata – przy potężnym wsparciu algorytmów sztucznej inteligencji – zaprezentował się internautom na oficjalnym profilu Białego Domu 4 maja. Wówczas w USA obchodzony jest Dzień Gwiezdnych Wojen.

Trzeba przyznać, że w tej wersji prezydent Donald Trump wygląda mimo wszystko dużo bardziej wiarygodnie niż jako „nowy papież”. Zwłaszcza że idea jak najbardziej prawdziwych Gwiezdnych Wojen jest mu wyjątkowo bliska. Zaledwie tydzień po inauguracji na drugą kadencję w Białym Domu, w styczniu 2025 r., wydał rozporządzenie wykonawcze nakazujące budowę nowej tarczy antyrakietowej pod roboczą nazwą „Żelazna Kopia dla Ameryki”. 4 marca podczas przemówienia przed połączonymi izbami amerykańskiego Kongresu wezwał kongresmenów i senatorów do sfinansowania budowy najnowocześniejszej tarczy antyrakietowej. I zapowiedział, że służąca ochronie ojczyzny Złota Kopia zostanie wyprodukowana w całości w Stanach Zjednoczonych.

Według informacji podanych przez agencję Associated Press – powołując się na informacje od anonimowego urzędnika rządowego – Trumpowi przedstawiono trzy wersje Złotej Kopuły: „średnią”, „wysoką” i „bardzo wysoką” (w zależności od liczby satelitów, czujników i pocisków przechwytyjących, które zostaną umieszczone w kosmosie). Zdaniem AP Trump wybrał wariant „wysoki”. 20 maja amerykański prezydent oficjalnie ogłosił w Białym Domu realizację projektu Złotej Kopuły. – Gdy zostanie już w pełni zbudowana, Złota Kopia będzie zdolna do przechwytywania pocisków, nawet jeśli zostaną wyrzuczone z innych stron świata, a nawet z kosmosu. Będziemy mieli najlepszy system, jaki kiedykolwiek zbudowano – zapowiedział Trump w Gabinetce Ovalnym.

TARCZA ZA BILIONY

System antyrakietowy w przyjętym wariantcie ma z założenia kosztować 175 mld dol. A ponieważ projekty zbrojeniowe przeważnie kosztują wielokrot-

nie więcej, niż początkowo zakładano, to te 175 mld dol., czyli równowartość 655 mld zł, śmiało można pomnożyć. Przedstawiciele Sił Kosmicznych zresztą już teraz mówią, że jest za wcześnie, aby określić całkowity koszt budowy Złotej Kopyły. Według analiz ekspertów Kongresowego Centrum Badawczego (CRS) realizacja projektu może kosztować 800 mld dol. Republikański senator Tim Sheehy – wyznaczony do stworzenia w Senacie koalicji popierającej realizację projektu – szacował zaś w połowie maja, że ostateczny koszt Golden Dome prawdopodobnie wyniesie „biliony dolarów”. Mimo to opowiada się on za wydaniem tak dużych pieniędzy, przekonując, że Złota Kopyła będzie oznaczać przełom na miarę programu Apollo czy Projektu Manhattan.

Można zakładać, że nowy system pozwoli na neutralizację zagrożeń już na etapie fazy startowej, czyli krótko po odpaleniu wrogiego pocisku. Taka strategia ma kilka zalet. Po pierwsze: im szybciej dojdzie do przechwycenia, tym mniejsze ryzyko, że rakieta/pocisk rzeczywiście

zagrozi USA. Po drugie: właśnie w fazie startowej pociski balistyczne i hipersoniczne poruszają się z najmniejszą prędkością i są wówczas najłatwiejsze do neutralizacji. Łatwo się pisze, ale czasu na skuteczne działanie jest w takiej sytuacji bardzo mało. Właśnie dlatego Amerykanie chcą rozbudować systemy rozmieszczone na lądzie i morzu o pociski przechwytyjące umieszczane na orbicie niczym satelity.

NIEMAL 100 PROC. SKUTECZNOŚCI

Niedoszacowane mogą być nie tylko koszty. Zbyt ambitny może się również okazać kalendarz działań. Zakładane tempo realizacji projektu jest bowiem niezwykle wysokie. Kluczowe elementy systemu mają być gotowe do użycia w ciągu najbliższych trzech lat, czyli jeszcze przed zakończeniem obecnej kadencji Donalda Trumpa. Można wątpić, aby w przypadku tak ambitnego projektu udało się wszystko dopiąć na ostatni guzik w ciągu zaledwie trzech lat. Zwłaszcza że były dowódca Północnego Dowództwa USA gen. Glen VanHerck sz-

cuje czas budowy kosmicznego systemu na od pięciu do nawet dziesięciu lat.

Jedno jest pewne: pierwsze 25 mld dol. Donald Trump chciałby wydać na realizację tego programu jeszcze w tym roku. Wiadomo też mniej więcej, które korporacje mogą liczyć na ogromne dodatkowe przychody. Są wśród nich tacy giganci jak Lockheed Martin, Raytheon Technologies czy L3Harris. Według amerykańskich mediów o kontrakty w ramach budowy systemu zabiega również należąca do Elona Muska spółka SpaceX.

Program, na którego czele stanął generał Sił Kosmicznych USA Michael Guetlein, zakłada budowę wielowarstwowego systemu, zintegrowanego z istniejącą już infrastrukturą, stworzonego przez wiele różnych koncernów i opartego na otwartej architekturze. Budowniczości tarczy antyrakietowej mają wykorzystać technologie nowej generacji na lądzie i morzu, a także umieścić w kosmosie zarówno naszpikowane czujnikami satelity, jak i pociski przechwytyjące. Według Donalda Trumpa dzięki najnowocześniejszym technologiom Złota

REKLAMA

KSIĄŻKA ZAWIERA
50 PRZEPISÓW
NA PRZYSTAWKI, DANIA GŁÓWNE
I DESERY W CENIE 1 OBIADU

PROSTO, SMACZNIE, WYGODNIE, TANIO

POLECA:  **Beszamel.pl**

Książka dostępna w księgarniach stacjonarnych i internetowych

■ Kopuła będzie niemal stuprocentowo skuteczna.

Dla Amerykanów, a zwłaszcza dla republikanów, to wyjątkowo ważny projekt. Amerykanie bardzo rzadko dopuszczali bowiem do wrogiego ataku na swoim terytorium. Nie licząc zamachów na WTC, ostatni raz taki przypadek miał miejsce w 1941 r., gdy Japonia uderzyła na bazę amerykańskiej floty w Pearl Harbor na Hawajach, a wcześniej w roku 1812, gdy kanadyjsko-brytyjskie oddziały podpaliły Waszyngton.

PUŁAPKA NA PUTINA?

Pomysł niemal nieprzenikalnej kopuły antyrakietowej był oczkiem w głowie ulubionego amerykańskiego prezydenta Donalda Trumpa, a więc Ronalda Reagana. On również marzył o budowie kosmicznego systemu obrony przeciwrakietowej, który pozwoliłby ochronić Stany Zjednoczone przed skutkami globalnej wojny atomowej. W drugiej połowie lat 80. XX w. realizacja programu była jednak niemożliwa, ponieważ brakowało wówczas jeszcze wystarczająco zaawansowanych technologii. A i tak zdaniem historyków ogłoszony oficjalnie w marcu 1983 r. przez Reagana wyścig kosmicznych zbrojeń w ramach Inicjatywy Obrony Strategicznej (SDI) znacząco przyczynił się do upadku Związku Sowieckiego.

Do tamtego programu nawiązał zresztą w maju tego roku Donald Trump. – Budując Żółtą Kopułę, dokonamy dzieła, którego tworzenie prezydent Reagan rozpoczął 40 lat temu. Raz na zawsze położymy kres zagrożeniu rakietowemu dla naszej amerykańskiej ojczyzny – ogłosił obecny gospodarz Białego Domu. Amerykańscy politycy zdają sobie bowiem sprawę z rosnącego ryzyka. Potężnym zagrożeniem stały się drony. Programy balistyczne z sukcesem rozwijają Korea Północna oraz Iran. W ciągu trzech ostatnich dekad Chiny znacząco rozbudowały swój arsenał nowoczesnych pocisków balistycznych i hipersonicznych. Również Rosjanie od czasu upadku Związku Sowieckiego zdołali odbudować w znacznej mierze nie tylko armię (Kreml niczym wunderwaffe chwali się zaawansowanymi technologiami zastosowanymi przy budowie nowoczesnego pocisku Oresznik), lecz także gospodarkę.

Również do najnowszej edycji gwiazdnych wojen Rosjanie przygotowują się już od dłuższego czasu. Amerykański wywiad oficjalnie i publicznie ostrzega od lat, że Kreml nakazał opracowanie broni nuklearnej, która byłaby zdolna do niszczenia całych sieci satelitów, i przypomina się do jej umieszczenia w kosmosie. Zniszczenie dużej grupy satelitów prowadziłoby nie tylko do ograniczenia zdolności działania systemów obrony, lecz także do globalnej awarii systemów komunikacyjnych. Kosmiczne eksplozje oznaczałyby też powstanie groźnych szczątków mogących stanowić potencjalnie śmiertelne zagrożenie dla astronautów na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej czy chińskiej stacji Tiangong (chińscy astronauta wykonują na niej eksperymenty nieustannie od 2022 r., a w maju tego roku Pekin ogłosił, że na stację będą też latać astronauta z innych państw). Powstały w wyniku detonacji broni nuklearnej w kosmosie impuls elektromagnetyczny miałby zaś destrukcyjny wpływ na życie ludzi na Ziemi (co wynika choćby z testu o nazwie Starfish Prime przeprowadzonego przez Amerykanów już w roku 1962).

Umieszczenie broni jądrowej w kosmosie przez Rosjan naruszyłoby Traktat o przestrzeni kosmicznej, którego Rosja jest sygnatariuszem. Doniesienia te na swój specyficzny sposób potwierdził już sam rosyjski przywódca. – Zawsze byliśmy kategorycznie przeciwni rozmieszczeniu broni nuklearnej w przestrzeni kosmicznej i nadal jesteśmy – oznajmił oficjalnie Władimir Putin.

Mike Turner, szef komisji wywiadu w Izbie Reprezentantów, oficjalnie i publicznie poinformował w ubiegłym roku, że jego komisja udostępniła wszystkim członkom Kongresu informację o „poważnym zagrożeniu dla bezpieczeństwa narodowego”. Nieoficjalnie chodziło właśnie o rosyjskie operacje w kosmosie. – To bardzo niepokojące – oznajmił w kwietniu obecnego roku sekretarz generalny NATO Mark Rutte, zapytany w wywiadzie dla niemieckiego dziennika „Welt am Sonntag” o rosyjskie dążenia do rozmieszczenia broni jądrowej w kosmosie.

Tymczasem Rosjanie spokojnie podszli do zapowiedzi budowy najnowszej tarczy antyrakietowej, przekonując, że to „suwerenna sprawa USA”. – Oczywi-

ście w przewidywalnej przyszłości bieg wydarzeń będzie wymagał wznowienia kontaktów w celu przywrócenia stabilności strategicznej – oznajmił rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow. James Brown z Carnegie Endowment przekonyuje jednak w swej analizie, że nowy kosmiczny wyścig zbrojeń w sytuacji, w której rosyjska gospodarka jest mocno obciążona napaścią na Ukrainę, zmusi Kreml „do przeznaczenia jeszcze większych środków na siły strategiczne w okresie, w którym Rosja najmniej może sobie na to pozwolić”.

Chiny z kolei publicznie potępiły projekt budowy Żółtej Kopuły, oskarżając Donalda Trumpa o podżeganie do wyścigu zbrojeń. – Zwiększa (ona) ryzyko, że przestrzeń kosmiczna stanie się polem bitwy, podsyca wyścig zbrojeń i podważa bezpieczeństwo międzynarodowe – oznajmiła rzeczniczka chińskiego resortu dyplomacji Mao Ning.

KOGO OCHRONI AMERYKA

Najnowszy system antyrakietowy ma umożliwiać ochronę nie tylko terytorium USA, lecz także np. amerykańskich instalacji na Pacyfiku (np. na strategicznie położonej wyspie Guam, która znajduje się w zasięgu chińskich pocisków balistycznych) oraz bliskich sojuszników Ameryki. W zeszłym tygodniu amerykański prezydent zaproponował również Kanadyjczykom, że USA mogą objąć najnowszym parasolem przeciwrakietowym również ich terytorium. Według Donalda Trumpa Ameryka może to zrobić bezpłatnie – jeśli Kanada zgodzi się zostać 51. amerykańskim stanem. Rząd w Ottawie kolejny raz odrzucił ofertę dotyczącą zrzucenia się suwerenności. W takim przypadku przewidywany przez Trumpa koszt ochrony Żółtą Kopułą będzie kosztował niepodległą Kanadę ponad 60 mld dol.

Kosmiczny wyścig zbrojeń wydaje się już przesądzony. Przez kilka najbliższych lat będzie miał głównie wymiar symboliczny i retoryczny. Skuteczna tarcza mogłaby podważyć równowagę sił i skuteczność wzajemnego odstraszenia. Przyszłość pokaże, w jakim stopniu Amerykanie przemysłili potencjalne ryzyko. I czy przypadkiem militaryzacja kosmosu doprowadzi do otwarcia nowej puszkii Pandory.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

HISTORIA
DO
RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



CHINY KONTRA ZACHÓD

Z odmetów chaosu ku potędze – Państwo Środka przeszło w ostatnich dwóch stuleciach długą drogę od kompletnego upadku, przez szaleństwa epoki Mao Zedonga, aż do nowego jedynowładcy Xi Jinpinga, który chce uczynić z Chin hegemoną

Cud „Pachnącego Portu” – Czy komunistyczne Chiny, stopniowo odbierając Hongkongowi demokratyczne wolności, będą w stanie utrzymać jego wyjątkowy status i powodzenie?

Polski król bez korony – Przez całe wieki do Mieszka II przylegał przydomek Gnuśny, choć władca ten nie zasłużył sobie na tak krzywdzące miano

Warmińskie Lourdes – Objawienia maryjne w Gietrzwałdzie, jako jedyne w Polsce, zostały uznane przez Kościół katolicki

Wybawca z Mille Collines – W czasie ludobójstwa Tutsi Paul Rusesabagina uratował ponad tysiąc osób. Trzy dekady później władze Rwandy wtrąciły go do więzienia na dożywocie

Polska iskra – Robotnicy walczący z władzami PRL o swoją podmiotowość stali się inspiracją dla sowieckich dysydentów, którzy w ZSRS chcieli powtórzyć sukces KOR i Solidarności

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Centrum świata się zbroi



FOT. AGENCE STOCK



Robert Bogdański

Dowódca amerykańskiej floty Indo-Pacyfiku, adm. Samuel Paparo, powiedział, że agresywna postawa Chin budzi jego wielkie zaniepokojenie i chociaż Stany Zjednoczone raczej wygrałyby teraz starcie o Tajwan, to jednak ich margines przewagi coraz bardziej się zmniejsza

Na platformie X działa od roku konto nazwane imieniem przewodniczącego Komunistycznej Partii Chin z dopiskiem „commentary”. Nie sposób oczywiście dojść do tego, czy jest to autentyczne konto Xi Jinpinga, bo chińskim propagandystom wygodnie jest utrzymywać w tej materii „strategiczną niejednoznaczność”,

podobnie jak Amerykanom w przypadku wspierania Tajwanu. Analiza przekazu z tego konta wyraźnie jednak wskazuje, że jest ono prowadzone tak, jak gdyby stał za nim prawdziwy dyktator Chin. W przededniu spotkania przedstawicieli handlowych Chin i USA w Szwajcarii na koncie tym ukazał się dynamicznie zmontowany filmik pokazujący w efektownych ujęciach chińską flotę i lotnictwo ze znaczącym komentarzem: „Jedyna przyczyna, dla której Stany musiały wysłać Scotta Bessenta na spotkanie z Chinami do Szwajcarii, zamiast wysłać okręty do Cieśniny Tajwańskiej”.

Tak się złożyło, że dwa tygodnie wcześniej, w czasie dnia otwartego swojej floty wojennej, Chiny udostępniły nowe informacje techniczne dotyczące strategicznych nuklearnych okrętów podwodnych znanych pod enigmatyczną nazwą Typ 094. Okręty te, wprowadzone do służby trochę ponad 20 lat temu, już wtedy stanowiły poważną jakościową zmianę w chińskim arsenale, a podane obecnie dane pokazują, że są jeszcze bardziej istotnym elementem chińskiej

triady nuklearnej, niż sądzono. Łodzie typu 094 były bowiem zdolne do tego, aby wystrzeliwać wielogłowicowe rakiety typu JL-2 na odległość ok. 7 tys. km, więc pływając w Morzu Południowochińskim, pod osłoną swojej floty, mogły razić Guam czy Hawaje, miały one jednak tę wadę, że były głośnie i niebezpiecznie było się im wypuszczać na szersze wody, więc dosięgnięcie kontynentu amerykańskiego było trudne. Teraz okazało się, że te łodzie mogą wystrzeliwać rakiety JL-3, których zasięg wynosi 10 tys. km, a więc aby sięgnąć Ameryki Północnej, nie muszą opuszczać przybrzeżnych wód Chin.

NOWA ŁÓDŹ PODWODNA

To jest coś, co można ostrożnie określić mianem zmiany jakościowej, ale prawdziwa zmiana nadejdzie wraz z budową nowej łodzi podwodnej oznaczonej jako Typ 096, której kadłub wykryły niedawno amerykańskie satelity. Podejrzewa się, że jej napęd zostanie skonstruowany przy użyciu rosyjskiej technologii wyciszania, byłby to więc w pewnym sensie owoc zacieśnienia więzów między Rosją i Chi-

nami po napaści na Ukrainę. Technologie wyciszenia okrętów podwodnych są jednymi z nielicznych, obok technologii rakietowych i jądrowych, którymi Rosja może płacić za wsparcie gospodarcze i polityczne. Nowe okręty będą więc równie trudne do wykrycia, jak okręty Rosji i Ameryki. No i na pewno będą nosiły rakiety balistyczne o zasięgu 10 tys. km, czyli Chińczycy będą mieli wybór: wyjść na wody światowego oceanu i zbliżyć się do wybrzeży Ameryki lub pozostawać w obrębie całkowicie kontrolowanym przez własną flotę. Te niebezpieczne jednostki, których wejście do służby będzie oznaczało zmianę równowagi strategicznej między Chinami a Ameryką, mają być gotowe pod koniec dekady. Tym sposobem krytycznie ważny element chińskiej triady nuklearnej, czyli rakiety, które przetrwają pierwsze uderzenie i mogą posłużyć do zadania uderzenia odwetowego, stanie się praktycznie nieodróżnialny od tego, co posiadają dwa największe mocarstwa nuklearne.

Chiny mają obecnie trzeci co do wielkości arsenał nuklearny na świecie, wielokrotnie mniejszy niż Rosja i Ameryka, bo oceniany na ok. 600 głowic, ale w odróżnieniu od tych krajów intensywnie tę liczbę zwiększają i mają do końca dekady osiągnąć 1 tys. Jeżeli dodać do tego konsekwentne ignorowanie przez Chiny amerykańskich propozycji podjęcia rozmów o kontroli zbrojeń nuklearnych, to widać wyraźnie, że celem Pekinu jest po prostu wejście na ten sam poziom i stworzenie sobie parasola atomowego, pod którym będą mogły wykonywać dowolne wojskowe operacje konwencjonalne na terytorium, które uznają za swoją strefę wpływów, grożąc eskalacją w przypadku podjęcia interwencji. Ten sposób działania jest obecnie testowany przez Rosjan na Ukrainie, do tej pory z sukcesem. Rozwlekanie w czasie pomocy zachodniej i niechętnie przekazywanie nowszego technologicznie sprzętu miało oczywiście wiele przyczyn, ale jedną z najważniejszych była niepewność, czy przekraczanie rosyjskich „czerwonych linii” nie spotka się z naprawdę ostrą odpowiedzią. Manewry z wojowniczymi retorycznymi popisami teoretyków w rodzaju Siergieja Karaganowa, polityków, jak Dmitrij Miedwiediew, czy propagandystów, jak Władimir Soł-

wjow, a także ze zmianami w doktrynie nuklearnej, z którymi mieliśmy do czynienia w ostatnich latach, służyły ograniczeniu interwencji na rzecz Ukrainy, a Zachód, prowadzony przez ostrożnego Joe Bidena, posuwał się naprzód bardzo wolno, udowadniając Wschodowi, że połączenie wojny konwencjonalnej z odstraszaniem nuklearnym rzeczywiście działa.

Xi Jinping uważnie obserwuje więc, jak jego moskiewski sojusznik wykorzystuje parasol atomowy do zdobywania terenu. Wygląda bowiem na to, że Putinowi uda się oderwać od Ukrainy jej wschodnie i południowe tereny. Oczywiście powody tego sukcesu Rosjan są rozliczne, ale na ogół obserwatorom umyka ten właśnie, który w mojej opinii jest najważniejszy: groźba użycia broni nuklearnej. Jest ona często lekceważona publicznie, bo w wielu kręgach modne jest lekceważenie Rosjan, natomiast nigdy nie bywa traktowana lekko w gabinetach władzy. Jeżeli Chińczycy chcą opanować Tajwan, to z pewnością będą to robiły, ostrzegając, że wszelka interwencja skończy się eskalacją nuklearną, a nowoczesne strategiczne okręty podwodne będą dowodem, że nie rzucają słów na wiatr.

EKSTREMALNA ZDOLNOŚĆ RAŻENIA

Na ważny aspekt ewentualnego konfliktu zwrócili ostatnio uwagę dwaj amerykańscy analitycy wojskowi: były szef Dowództwa Strategicznego Stanów Zjednoczonych z lat 2019–2022, adm. Charles Richard, i Robert Peters z Heritage Foundation. Zajęli się oni analizą odstraszania nuklearnego i przygotowania do prowadzenia wojny nuklearnej. Chodzi o to, że nie każde użycie broni jądrowej musi od razu prowadzić do zagłady Ziemi, w końcu od zakończenia drugiej wojny światowej przeprowadzono ponad 500 próbnych eksplozji i ludzkość nadal żyje. Arsenał odstraszający, składający się z głowic o wielkiej sile, które mogą niszczyć największe miasta, jest samym szczytem drabiny eskalacyjnej albo czarnym snem ludzkości. Są też jednak głowice o sile rażenia wielkiej, ale wyobraźalnej, mniejsze od tych, które zniszczyły Hiroszimę i Nagasaki. One mogą służyć po prostu do prowadzenia

działań wojennych. Przy ich pomocy mogą być atakowane okręty wojenne, porty, zgrupowania wojsk, umocnienia. Liczba ofiar, które spowodują, będzie ograniczona i przeciwnik, odpowiadając na ich użycie, będzie musiał zdecydować, czy odpowiedzieć proporcjonalnie i utrzymać straty na stosunkowo niewielkim poziomie czy też wejść na wyższy poziom i podjąć ryzyko zagłady. Takie decyzje – zwracają uwagę autorzy – są jednak możliwe do podejmowania tylko w takim przypadku, gdy obie strony mają nie tylko zdolności odstraszania, lecz także zdolności prowadzenia wojny. Tymczasem Stany Zjednoczone na azjatyckiej scenie wojennej takich zdolności nie posiadają, natomiast Chiny je konsekwentnie budują. Widać więc, że Pekin chce mieć nie tylko parasol, lecz także ekstremalną zdolność rażenia pod jego osłoną.

Dowódca amerykańskiej floty Indo-Pacyfiku, adm. Samuel Paparo, powiedział kilka dni temu, że agresywna postawa Chin budzi jego wielkie zaniepokojenie i chociaż Stany Zjednoczone raczej wygrałyby teraz starcie o Tajwan, to jednak ich margines przewagi coraz bardziej się zmniejsza, zwłaszcza jeżeli wziąć pod uwagę agresywną produkcję okrętów wojennych. Paparo powiedział, że amerykańskie stocznie budują rocznie średnio 1,4 okrętu podwodnego, gdy chińskie budują w tym czasie dwa, i 1,8 okrętu nawodnego, gdy chińskie budują sześć. Najnowszy raport Pentagonu dla Kongresu, który uwzględnił dane sprzed roku, uznaje chińską flotę za największą na świecie, z jej 370 jednostkami pływającymi, w tym ze 140 dużymi okrętami. Natomiast w kontekście wypowiedzi adm. Papara warto jest przypomnieć raport amerykańskiego renomowanego think tanku CSIS sprzed dwóch lat, przedstawiający omówienie 24 gier wojennych symulujących starcie między USA a Chinami o Tajwan. Ze zrozumiałych względów nie podawano w nim szczegółów, jednak poinformowano o dwóch ważnych kwestiach. Po pierwsze, nie wszystkie gry zakończyły się zwycięstwem Ameryki. Po drugie, straty amerykańskie były z reguły poważne, co oznaczało utratę dwóch lotniskowców i ok. 10 tys. ludzi w krótkim czasie. Nie podano najciekawszej informacji,

czyli proporcji wygranych do przegranych gier wojennych. Interesujące, czy proporcja ta zmienia się na korzyść Chin w kolejno przeprowadzanych symulacjach. Wypowiedź adm. Papara zdaje się sugerować, że może tak być.

Na razie nie wydaje się, aby Xi Jinping chciał testować wyniki takich gier w praktyce. Chiny cierpliwie przygotowują się do starcia, jednocześnie prowadząc intensywne działania osłabiające Amerykę. Dwa z nich są bardzo interesujące i oba, co charakterystyczne, związane są z domeną łączącą aspekty wojskowe i gospodarcze. Pierwszy to restrykcje związane z eksportem tzw. pierwiastków ziem rzadkich, a konkretnie z grupy pierwiastków ciężkich określanych skrótem HREE.

RESTRYKCJE EKONOMICZNO-MILITARNE

Jednym z ostatnich aktów wojny handlowej jest wprowadzenie przez Chiny restrykcji na eksport siedmiu pierwiastków z tej grupy, od których Stany Zjednoczone są szczególnie uzależnione. Oznacza to po pierwsze, że praktycznie 100 proc. ich produkcji kontrolują Chiny, a po drugie, że bez tych minerałów nie jest możliwa produkcja naprawde ważnego sprzętu: samolotów wielozadaniowych, łodzi podwodnych, pocisków Tomahawk, niszczycieli rakietowych, systemów radarowych czy zdalnie naprowadzanych bomb lotniczych. Wspominany już think tank CSIS podaje, że w każdym F-35 jest ok. pół tony HREE, w podwodnym okręcie atomowym klasy Virginia zaś 10-krotnie więcej. Nie wspomniano o tym, ile HREE potrzeba dla wyprodukowania strategicznego okrętu podwodnego klasy Columbia, a zapewne sporo więcej. Jest to o tyle istotne, że te okręty, które mają zastąpić strategiczne okręty klasy Ohio, właśnie zaczęto budować. Mają one zastąpić starsze łodzie klasy Ohio, z których wiele ma ponad 40 lat i pod koniec dekady będą wycofywane z użytku. Wtedy powinny zacząć wchodzić do służby okręty klasy Columbia. Czy wejdą? Chińska gra idzie o to, aby osłabić ten ważny element amerykańskiej triady nuklearnej, jednocześnie budując własny. Nie oznacza to oczywiście osiągnięcia przewagi, bo flota amerykańska posiada 14 takich okrętów z rakietami

Co wygra: chińska metodyczność czy kontrolowany chaos Donalda Trumpa?

mi balistycznymi, jednak wyraźnie widać cel działania. Niebezpieczne jest przy tym to, że Ameryka nie posiada w dającym się przewidzieć czasie zdolności do zastąpienia chińskiej produkcji własną. Od kilku lat państwo wspiera firmy wydobywające i przetwarzające HREE, jednak nawet, gdy osiągną one zakładane zdolności produkcyjne, za dwa-trzy lata, będą one produkowały niespełna jeden procent tego, co produkują Chiny. W mojej opinii to jest właśnie główny powód, dla którego Donald Trump wysłał Scotta Bessenta do Szwajcarii na rozmowy, zamiast wysłać okręty. W wyniku tych rozmów osiągnięto wzajemne obniżenie ceł, ale Amerykanie uzyskali też poluzowanie restrykcji na eksport HREE. Na razie na 90 dni. Co dalej?

Drugie osłabiające Amerykę działanie o charakterze ekonomiczno-militarnym jest związane z tym, co się dzieje na Morzu Czerwonym. Analityczka Waszyngtońskiego Centrum Studium nad Jemenem, Fatima Abo Alasrar, określiła tę sytuację mianem „strategicznej pułapki na Stany Zjednoczone”, w którą zamieniły ją Chiny. Zamieniły nie oznacza, że zastawiły. Chińczycy po prostu mistrzowsko wykorzystali sytuację powstałą po tym, jak rebelianci Huti zaczęli ostrzeliwać przepływające tamtędy statki. Deklarowanym powodem było postępowanie Izraela z Palestyńczykami i wsparcie udzielane przez USA, jednak w praktyce Huti ostrzeliwali statki spod bander krajów, które nie miały nic wspólnego z konfliktem w Gazie. Największym ostrzelanym tankowcem był grecki. Jest jednak wyjątek – statki płynące pod banderą chińską. Układ jest prosty: chiński handel uzyskuje poważną przewagę nad konkurencją, bo opłyniecie Afryki trwa co najmniej dwa tygodnie i kosztuje, Huti za pośrednictwem Iranu dostają komponenty do produkcji broni i atakują statki zachodnie, a amerykańskie okręty znajdują się w ciągłym

zagrożeniu i wystrzeliwiają setki pocisków, które kosztują miliony dolarów. Tylko w okresie od listopada 2023 r. do czerwca 2024 r. grupa uderzeniowa lotniskowca „Dwight D. Eisenhower” miała wystrzelić 770 rakiet. Oznacza to ekspens ok. 100 pocisków miesięcznie i to w czasie, gdy dowodzeni przez Joe Bidena Amerykanie byli stosunkowo mniej aktywni. Wolno sądzić, że uderzenia zarządzone przez Trumpa zabrały z arsenału Pentagonu znacznie więcej. W dodatku Huti zestrzelili co najmniej 14 dronów Reaper MQ-9, a ostatnio prawdopodobnie gwałtowne manewry lotniskowca, być może spowodowane koniecznością uniknięcia ostrzału, lub przepracowanie załogi doprowadziły do utraty dwóch ciężkich myśliwców F-18, które spadły z pokładu do morza. Straty są więc wymierne. Do tych korzyści dla Chin należy dodać jeszcze jedną, absolutnie kluczową: obserwację zachowania amerykańskich lotniskowcowych grup uderzeniowych pod ostrzałem. Są to informacje bezcenne dla planistów zastanawiających się, jak wygrać bitwę o Tajwan. Cytowana jemeńska analityczka napisała znaczące zdanie: „Każda rakietka Huti, której celem nie jest chiński statek, stanowi podatek nałożony na obecność Ameryki, jest stress testem dla globalnej żeglugi, a także demonstruje, jak wiele są w stanie znieść zachodnie mocarstwa, zanim zdecydują się na wycofanie lub eskalację”. Celne.

Ten krótki przegląd sytuacji daje wyobrażenie o stanie wyścigu między Chinami a Ameryką i o celu, który chce osiągnąć Pekin. Jest nim uzyskanie parytetu strategicznego ze Stanami Zjednoczonymi, opanowanie pod parasolem nuklearnym Tajwanu, a może i innych terytoriów w swojej strefie wpływów, oraz osłabienie zdolności militarnych przeciwnika poprzez wykorzystywanie wypracowanej przez lata przewagi w kluczowych łańcuchach dostaw. Warto pomyśleć o tym, zanim się zacznie mówić, że współpraca gospodarcza z Chinami może zastąpić współpracę z Ameryką. I warto w tym kontekście pomyśleć o chaotycznej polityce Donalda Trumpa, który zapewne usiłuje w ten sposób wstrząsnąć chińskimi planami. Chińska metodyczność kontra kontrolowany chaos. Kto wygra? © © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Szukam ojca tego sukcesu

Polska jest niewątpliwie wszechunijszym – czyli w skali całej UE – liderem w kategorii: najwyższe marże kredytowe. Ta marża kredytowa, rozumiana jako różnica między oprocentowaniem nowych kredytów a średnią ważoną stopą depozytów gospodarstw domowych, jest u nas – według EBC, czyli Europejskiego Banku Centralnego – tak kosmicznie wysoka, że Polska po prostu wymiata. A to oznacza, że to właśnie u nas – a nie gdziekolwiek indziej w UE – banksterzy najbardziej łupią swoich klientów.

I nikt – żadna siła! – i to jeszcze bardzo długo, nie odbierze nam palmy pierwszeństwa w tej dziedzinie, bo nasza marża kredytowa jest nie tylko najwyższa w UE, lecz także tak znacznie wyższa od marży kredytowej w pozostałych państwach UE, że naprawdę trudno będzie im nas przegonić, a nawet dogonić.

Albowiem nasza marża kredytowa – czyli owa różnica między oprocentowaniem nowych kredytów a średnią ważoną stopą depozytów gospodarstw domowych – wynosi aż 3,50 proc., a drugiego Cypru zaledwie 2,56 proc., trzecich zaś Węgier – jakieś marne 1,88 proc. A w państwach z rekordowo niską marżą kredytową, czyli w tych, w których obywatele nie są nawet w jednej dziesiątej tak okradani przez banki jak w Polsce, owa marża kredytowa wynosi 0,14 proc. – we Francji – i 0,22 proc. – we

Włoszech. Albo tylko nieco więcej, czyli 0,41 proc., w Hiszpanii, 0,53 proc. – Bułgarii, 0,81 proc. – Portugalii oraz 0,84 proc. w Niemczech.

I tak się przedziwnie składa, że nikt nie chce się do ojcostwa tego przeogromnego sukcesu przyznać. A czyż nie zawdzięczamy go przede wszystkim politykom – głównie tym, którzy czasami z upodobaniem, a zawsze z determinacją niszczyli konkurencyjność na rynku usług bankowych? W tym – ostatnio – największemu miłośnikowi etatyzmu wśród zwolenników wolnego rynku i zarazem największemu miłośnikowi wolnego rynku wśród zwolenników etatyzmu, czyli byłemu premierowi Morawieckiemu, który tak nam pięknie na powrót osłabił konkurencję na rynku usług bankowych, znów upaństwiając niemalą część systemu bankowego – tym razem pod fałszywą flagą polonizowania go – że po jego rządach jest on wprost nie do poznania.

No i co teraz na to polscy politycy? Oczywiście nie przewidują usunięcia przyczyny naszych kłopotów, czyli zwiększenia konkurencyjności na rynku usług bankowych. Proponują za to większe opodatkowanie zysków banków. Czyli – według nich, polskich polityków – banksterzy mają dalej do gołej skóry strzyc swoich polskich klientów, byle tylko dzielili się pieniędzmi, które z nich zdzierają, z nimi – władzami budżetu Polski. A już oni wydadzą je tak, żeby żyło się im (politykom) lepiej. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Hańba

6 czerwca minie pierwsza rocznica śmierci sierż. Mateusza Sitka (awansowanego na ten stopień pośmiertnie) – żołnierza 1. Warszawskiej Brygady Pancernej, którego 28 maja 2024 r. na granicy polsko-białoruskiej dosięgnął nóż migranta. Po śmierci 21-letniego obrońcy granicy najważniejsi przedstawiciele polskich władz, z ministrem obrony Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem oraz ministrem spraw wewnętrznych Tomaszem Siemoniakiem

opozycja – przez długi czas traktowani jak oprawcy niewinnych „uchodźców”, którzy tylko „szukali swojego miejsca na świecie”.

W cyrku mającym zohydzić strażników granicznych, policjantów czy żołnierzy, powstrzymujących zalew hord nachodzących na polskiej granicy, uczestniczyli politycy Koalicji Obywatelskiej przy pełnej akceptacji jej lidera. I włos im z głowy za to nie spadł. Ludzie stanowiący zaplecze obecnej władzy – tacy jak Agnieszka Holland – kolportowali propagandę, która przedstawiała obrońców granicy jako niemalże ludobójców.

To jednak dzieje się nadal. Teatr Studio jest instytucją kultury miasta stołecznego Warszawy, kierowanego przez Rafała Trzaskowskiego. Tam dopiero co prezentowano spektakl „2049: Witaj, Abdo!”, będący propagandową, proimigrancką agitką pokazującą polskich żołnierzy jako oprawców biednych migrantów. W kampanii Rafał Trzaskowski twierdził (choć nie pytano go akurat o to przedstawienie), że nie może być przecież cenzorem instytucji kulturalnych. To obłuda. Nikt nie zakazuje – i nie powinien – pokazywania nawet najbardziej obraźliwego gniota.

Kompletnie niepojęte jest zaś to, dlaczego ten gniot ma być wystawiany za publiczne, miejskie pieniądze. ©©

W cyrku, mającym zohydzić strażników granicznych, uczestniczyli politycy Koalicji Obywatelskiej

na czele, solennie obiecywali, że zabójca żołnierza zostanie ujęty. Rok po jego śmierci czczość tych obietnic staje się jasna.

Rzadko używam w swojej publicystyce wielkich słów, bo one wtedy bardzo łatwo się dewaluują. Tym razem sięgam po słowo, które pojawia się u mnie wyjątkowo sporadycznie: hańba! To jest hańba tej władzy.

Ludzie tacy jak sierż. Sitek byli przez nią – jeszcze gdy występowała jako

Jaguar” w żadnym razie nie chciał współpracować. Udawał, że nie widzi, co się dookoła niego dzieje, i jak gdyby nigdy nic parł do przodu. Estończycy postanowili w końcu powstrzymać go siłą. Gdy jednak przymierzali się do wejścia na jego pokład, okazało się, że to oni „mrugnęli” jako pierwsi. Załoga tankowca „Jaguar” nie zamierzała dopuścić do inspekcji i w kluczowym momencie Estończycy zrezygnowali z użycia siły. Ich okręty eskortowały jednostkę w kierunku rosyjskich wód terytorialnych, gdy na niebie pojawił się myśliwiec Su-35 i zaczął krążyć wokół „Jaguara”. Sygnał ze strony Moskwy nie mógł być jaśniejszy. W odpowiedzi na miejsce zostały wysłane portugalskie F-16, które w państwach bałtyckich służą w ramach NATO-wskiej misji.

Nerwowa sytuacja, do której doszło w Zatoce Fińskiej w połowie maja, była pierwszym takim wydarzeniem. Nigdy wcześniej Rosjanie nie wysłali myśliwca do ochrony tankowca ze swojej floty cieni, dzięki której budżet Kremla wciąż jakoś się trzyma.

„Ten myśliwiec przez minutę naruszał terytorium NATO-wskie. To coś zupełnie nowego – skomentował to wydarzenie szef estońskiego MSZ Margus Tsahkna. – Rosja w ten sposób oficjalnie powiązała się z rosyjską flotą cieni. Musimy zrozumieć, że sytuacja jest bardzo poważna”.

Sprawę skomentował też płk Martin O'Donnell, rzecznik NATO-wskiej Naczelnej Kwatery Głównej Sojuszników Sił Europy. „Destabilizujące działania Rosji nie odstraszą nas przed stosowaniem prawa międzynarodowego w celu zapewnienia na morzach bezpieczeństwa i wolności poruszania się” – powiedział O'Donnell.

Estończycy przekazali, że do zatrzymania jednostki doszło z powodu braku wyraźnego wymaganych przez prawo morskie znaków identyfikacyjnych. Jest to jednak cecha charakterystyczna setek tankowców pływających pod „banderą” floty cieni Kremla. Dzięki temu Rosjanie starają się obchodzić zachodnie sankcje, które nałożone zostały na ich główne źródło dochodów – „czarne złoto”.

TANKOWCE POD ESKORTĄ

Tydzień później doszło do niepokojącego incydentu niedaleko polskiego Wybrzeża. Inna jednostka floty cieni

Kto wypłeni flotę cieni



Piotr Włoczyk

Rosjanie stworzyli prawdziwą przemytniczą armadę, aby ratować swój budżet. Moskwa coraz bardziej agresywnie reaguje na próby ukrócenia tej szmuglerskiej działalności

podejrzanie manewrowała w pobliżu kabla energetycznego łączącego Polskę ze Szwecją. „Po skutecznej interwencji naszego wojska statek odpłynął do jednego z rosyjskich portów” – poinformował premier Donald Tusk.

Sytuacja wokół floty cieni coraz bardziej eskaluje. Jak poinformował minister obrony Finlandii Antti Häkkinen, Rosja zaczęła konwojować swoje szmuglerskie tankowce.

„Rosyjskie wojsko zawsze było obecne w regionie. Jednak nowością w obecnej sytuacji jest to, że Rosja eskortuje tankowce handlowe ze swojej floty cieni w wąskiej cieśninie Zatoki Fińskiej. Moskwa wykorzystuje do tego okręty wojenne” – powiedział Häkkinen.

– Przecinalenie kabli na Morzu Bałtycki każe podejrzewać, że flota cieni jest używana jako broń. Stan tych jednostek i bardzo ograniczone ubezpieczenie, które posiadają, sprawiają, że te jednostki stanowią zagrożenie zarówno dla innych statków, jak i dla środowiska. Myślę tu o wypadkach i incydentach, które są dziełem przypadku, a także o sytuacjach aranżowanych przez Rosję – mówi „Do Rzeczy” Keir Giles, ekspert do spraw Rosji z brytyjskiego think tanku Chatham House. I dodaje: – Teraz, gdy Rosja zdemontowała wolę używania wojska do ochrony statków, które teoretycznie nie pływają przecież pod jej banderą, mamy już przygotowaną arenę dla potencjalnej eskalacji konfliktu między Rosją i NATO,

Rosjanie zaczęli ściągać z całego świata zdezelowane tankowce, by stworzyć przemytniczą armadę pozwalającą im sprzedawać ropę naftową powyżej limitu cenowego

Statek fińskiej straży granicznej i tankowiec, który wypłynął z rosyjskiego portu, 26 grudnia 2024 r.

FOT. HANDOUT/FINNISH BORDER GUARD/AFP/EAST NEWS



jeżeli państwa sojuszu nie tylko będą się starały pilnować reżimu sankcyjnego, lecz także będą chciały przestrzegać podstawowych przepisów prawa morskiego.

POPYT NA ZŁOM

Floty cieni, czyli po prostu statki towarowe przeznaczone do szmuglowania produktów objętych sankcjami, to nic nowego. Jednak sposób, w jaki Rosja wykorzystuje takie statki, przebiega wszystko, z czym mieliśmy do tej pory do czynienia. Floty cieni wykorzystywane są od lat m.in. przez Koreę Północną, Iran czy Wenezuelę, ale żadne z tych państw nie zbudowało istnej przemytniczej armady liczącej setki jednostek. A z tym właśnie mamy do czynienia w przypadku

Rosji. Od czasu pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę Kreml kupił już ponad 500 starych tankowców, opróżniając właściwie rynek z takich jednostek. Dość powiedzieć, że z powodu niezaspokojonego apetytu Rosjan na tego rodzaju płynający złom ceny wysłużonych tankowców wzrosły ponaddwukrotnie. Dlaczego Rosja sięgnęła po taką strategię?

Sprzedaż ropy i produktów ropopochodnych dostarcza budżetowi Rosji ok. jednej trzeciej wpływów. Zachód doskonale to wie, jednak nie zdecydował się objąć rosyjskich węglowodorów całkowitym embargiem, obawiając się, że zniknięcie z rynku tak pokaźnego źródła podaży sprawi, iż ceny „czarnego złota” wystrzelą. Zamiast embarga UE państwa G7 oraz Australia wprowadziły więc pod koniec 2022 r. limit cenowy (ang. price cap), dzięki któremu rosyjska ropa wciąż mogła zaspokajać światowe rynki, ale dochód ze sprzedaży tego surowca byłby ograniczony do poziomu 60 dol. za baryłkę. W teorii więc Rosja miałaby problem z łataniem swojego budżetu (w zeszłym roku średnia cena baryłki ropy wynosiła ok. 80 dol.).

Mechanizm wydawał się prosty: jeżeli dany tankowiec transportuje rosyjską ropę sprzedawaną przez Moskwę za maksymalnie 60 dol. za baryłkę, to może być ubezpieczony przez zachodnie firmy (mające w tym biznesie absolutnie dominującą pozycję) i może również korzystać z wielu innych usług świadczonych przez zachodnie korporacje. W innym przypadku statek wyrzucany jest z zachodniego systemu.

Rosjanie zaczęli więc ściągać z całego świata zdezelowane tankowce, by stworzyć przemytniczą armadę pozwalającą im sprzedawać ropę naftową powyżej limitu cenowego. Statki rejestrowane są w Liberii czy Gabonie, często zmieniają banderę, a nierzadko stanowią jak najbar-

dziej dosłowną flotę cieni – by utrudnić śledzenie ich ruchów nocą, załogi wyłączają światła, co stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa żeglugi. Bardzo często wyłączają także transpondery pozwalające lokalizować daną jednostkę.

O ile w lutym 2023 r. flota cieni rozprowadzała po świecie (głównie do Indii i Chin) 40 proc. eksportowanej rosyjskiej ropy, o tyle już rok później odsetek ten wzrósł do poziomu 80 proc. Dziś natomiast bliski jest 90 proc.

Według szacunków Kijowskiej Szkoły Ekonomii tylko przez pierwsze trzy kwartały 2024 r. dzięki flocie cieni Rosja była w stanie sprzedawać swoją ropę za kwotę o 10 dol. za baryłkę wyższą, niż wynosił limit cenowy, co pozwoliło jej w tym czasie zarobić dodatkowe 8 mld dol.

DZIURY W SANKCJACH

UE pod koniec maja uzgodniła kolejny, 17. już pakiet sankcji wymierzonych w Rosję. Do 150 jednostek z floty cieni, które już znajdowały się na liście sankcyjnej, UE dodała kolejnych 189 tankowców. Oznacza to, że sankcje czekają na wszystkie firmy i instytucje, które mają cokolwiek wspólnego z flotą cieni (m.in. zakłady remontowe), łącznie z niewielkimi firmami ubezpieczeniowymi z państw niezachodnich, które wciąż decydują się w ograniczonym zakresie ubezpieczać szmuglerskie tankowce.

– Reżim sankcyjny jest efektywny jedynie wtedy, gdy jest elastyczny. Państwa, które narzucają sankcje, muszą mieć zarówno wolę ich egzekwowania, jak i zdolność do modyfikowania takich regulacji w przypadku prób ich obchodzenia – podkreśla Keir Giles. – Rosyjska flota cieni to niejeden przykład tego, jak sankcje nakładane po 2022 r. dziurawione są przez Rosję. Kolejnym takim przykładem jest ogromny wzrost eksportu z Europy do Rosji poprzez państwa Azji Centralnej, jak Kirgistan.

Ponieważ od początku tego roku cena ropy naftowej spada, niewykluczone, że limit cenowy na rosyjską ropę naftową zostanie obniżony do poziomu 50 dol. To jednak nie wystarczy, by kasa Władimira Putina zaczęła świecić pustkami. Potrzeba jeszcze determinacji Zachodu, by kolejne konfrontacje nie kończyły się tak jak w przypadku „Jaguara”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Łukasz Majchrzyk

Sama rywalizacja na boisku trwa kilkadziesiąt minut, a chodzi o to, by kibic spędził w okolicy stadionu czy hali sportowej kilka godzin. Wtedy ma bowiem czas, żeby zgłodzić, coś kupić dziecku, pobawić się na dmuchańcach. To samo trzeba mu zaoferować w przerwie, żeby przypadkiem znudzony nie wyszedł z obiektu, bo jeśli raz się zrazi, to może nie wrócić

Kiedyś wystarczyło dać kibicom mecz i ustawić drewniane ławki do siedzenia. Dzisiaj trzeba przygotować atrakcje, które zapewnią rozrywkę przed wydarzeniem, w jego trakcie i po nim. Czasami nie do końca wiadomo, czy przychodzimy na mecz czy do cyrku.

W dawnych czasach, o których dziś już mało kto pamięta, sport był przede wszystkim rozrywką, bo innych brakowało. Kina nie były tak powszechne, o telewizji mało kto słyszał, a słuchanie transmisji w radiu nie gwarantowało jednak tych samych doznań. Nic dziwnego, że każde wydarzenie sportowe gromadziło na trybunach setki, jeśli nie tysiące fanów, a liczyło się przede wszystkim to, kto wygra lub strzeli gola.

Po prostu szło się na mecz i przeżywało wspólnie emocje, nawet w słabych warunkach, na niewygodnych ławkach, w deszczu i śniegu. Sport często nie miał rywala w niedzielne lub sobotnie popołudnie, a potem można było przeżywać te emocje raz jeszcze, rozmawiając następnego dnia z przyjaciółmi w pracy.

Potem część uwagi zabrała telewizja, ale dalej kibice ciągnęli tłumnie na stadiony. Dziś to już niemożliwe. Wszystkiego jest za dużo, rozrywką można się przesyć i nawet najlepsze widowiska muszą walczyć o przyciągnięcie rozproszonej uwagi odbiorców, bo wszystko jest na wyciągnięcie ręki, już nawet nie w telewizji, ale w telefonie, który dla ludzi z Pokolenia Z może być



Wyścig maskotek pierogów (Pierogi Race) na stadionie w Pittsburghu

FOT. JUSTIN K. ALLER/GETTY IMAGES

nie tylko centrum wszechświata, lecz także całym wszechświatem.

JESZCZE WIĘKSZY BIZNES

Po co iść na mecz, skoro wszystko można zobaczyć w obrazku, w komfortowych warunkach i od razu skomentować, a potem przewinąć rolękę i przerzucić się na coś innego? Pokoleniu Z trudno jest skoncentrować uwagę na czymś przez dłuższy czas, a mecze potrafią trwać godzinami. Sport nie może istnieć bez kibiców, więc trzeba walczyć o ich uwagę i ich czas oraz zachęcać do wydawania jak największej ilości pieniędzy. W końcu mamy do czynienia z biznesem potrafiącym generować miliardowe zyski i przyciągającym jeszcze większy biznes.

– Cheerleaderki wprowadził Jerry Buss w Los Angeles Lakers. To on doszedł do wniosku, że jest skończona liczba kibiców, którzy przychodzą na mecz tylko dla sportu, i w najlepszym wypadku wypełniają dwie trzecie stadionu – mówi „Do Rzeczy” dr hab. Tomasz Gackowski, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, medioznawca. I dodaje: – Jak w takim razie przyciągnąć resztę? Wyszło na to, że trzeba zaproponować ludziom trochę golizny, innym dobrogo jedzenia, trochę muzyki, kuponów na loterie. Tak dodawano kolejne segmenty kibiców, dzięki którym wypełniano duże stadiony. Nie można generalizować, że takie zabiegi zabrały prawdziwość sportu, bo są i klasyczni kibice, dla których liczy się przede wszystkim rywalizacja na

boisku. Są jednak też ci, którzy chcą przy okazji meczu spędzić czas z przyjaciółmi, i ci, którzy potrzebują dodatkowych stymulantów, bo na co dzień pobudzani są innymi rzeczami.

Sport stał się biznesem, tylko opartym na trochę większych emocjach niż produkcja śrubek. Chodzi o to, by zarabiać i dać zarobić innym. Kluby czy – jak mówi się za oceanem – organizacje są przedsiębiorstwami o wysokich przychodach i bardzo wysokich kosztach i można odnieść wrażenie, że mecz czy zawody lekkoatletyczne są tylko pretekstem do wyciągnięcia ludzi z domu i pokazania im stanowisk przygotowanych przez sponsorów.

Sama rywalizacja na boisku trwa kilkadziesiąt minut, a chodzi o to, by kibic spędził w okolicy stadionu czy hali sportowej kilka godzin. Po co? Wtedy ma czas, żeby zgłodzić, coś kupić dziecku, pobawić się na dmuchańcach, strzelić w jakiś cel, żeby wygrać maskotkę, jak kiedyś się robiło na festynach. To samo trzeba mu zaoferować w przerwie, żeby przypadkiem znudzony nie wyszedł z obiektu, bo jeśli raz się zrazi, to już więcej może nie wrócić.

– Gdyby chodziło o czysty mecz i obejrzenie rywalizacji sportowców, to co najwyżej byłyby bandy reklamowe, jakieś koszulki i rollupy. Wszystko jest zorganizowane tak, by ludzie przychodzili długo przed meczem i zostawali w okolicach stadionu jeszcze długo po meczu. W 2019 r. byłem na pierwszym meczu sezonu w hali Golden State Warriors i producent

napojów Mountain Dew zorganizował wokół hali miasteczko z lodu. Przyszliśmy półtorej godziny przed meczem, wyszliśmy z hali godzinę po zakończeniu spotkania, czyli spędziłem w obiekcie 5,5 godziny i mam wrażenie, że i tak wszystkiego nie zobaczyłem. Przy okazji zostawiłem tam sporo pieniędzy: zjadłem steka, przegryzłem go precl'em, kupiłem sobie replikę mistrzowskiego pierścienia, koszulkę, bluzę i w ogóle się nie nudziłem. To było doświadczenie magiczne, a nie tylko sportowe. Wtedy znikają samoograniczenia – mówi prof. Gackowski.

Takie atrakcje na meczach za oceanem są już właściwie na porządku dziennym i nie chodzi tylko o to, co dzieje się przed meczem i po nim. W trakcie widowiska też musi być pełno atrakcji, bo przecież widzownia oczekuje niezwykłego przeżycia. Maskotka zjeżdżająca z dachu? Proszę bardzo. Pies żonglujący piłką? Nie ma sprawy. Pani robiąca akrobacje na rowerze? Bardzo proszę. Człowiek balansujący na drabinie? Widzowie chętnie to zobaczą. Czasami nie wiadomo, jak te atrakcje nazwać – trzeba je zobaczyć – jak panią o pseudonimie Czerwona Panda, balansującą na monocyklu i żonglującą misami.

Są też konkursy, w których można wygrać poważne pieniądze, jeśli się trafi do kosza z połowy boiska, albo dostać nowiutkie porsche – wystarczy trafić piłką golfową przez całe boisko do niewielkiej bramki. W całych Stanach Zjednoczonych wiedzą, że na meczach baseballowych Pittsburgh Pirates odbywa się Pierogi Race, w którym ścigają się wielkie maskotki pierogów. Jeden z pracowników klubu miał wymyślić jakąś atrakcję w czasie przerw w meczu i wpadł na pomysł podczas świątecznego obiadu u znajomych. Pomysł się przyjął, wyścig jest dziś sponsorowany przez firmę Mrs. T's Pierogies, założoną w 1952 r. przez Teda Twardzika (skojarzenia z Polonią jak najbardziej uprawnione).

Amerykanie są mistrzami w robieniu z meczu widowisk z pogranicza sportu i festynu. Zresztą to dzieje się też na potrzeby telewizji, która przerwy wykorzystuje do emisji kolejnej porcji reklam. Futbol amerykański, baseball, hokej czy koszykówka mają naturalnie dużo przerw, wynikających z przepisów i dynamiki gier, ale to nie wystarcza. Telewizja musi

wiedzieć, ile takich przerw rzeczywiście będzie, żeby oszacować liczbę reklam do sprzedaży, więc w lidze futbolu amerykańskiego (NFL) albo w koszykarskiej NBA jest dokładnie określone, ile takich przerw musi się pojawić.

– Mnie męczą ozdobniki, bo jestem zainteresowany czystym sportem, więc kiedy mogę, bo oglądam mecz z odtworzenia, to takie fragmenty przewijam. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby przez 3,5 godziny oglądać koszykówkę. Można powiedzieć, że koszykówka połączyła się z reklamami w jeden organizm. Pół żartem, pół serio można stwierdzić, że Stephen Curry nie powinien robić żadnej wspaniałej akcji, zanim ludzie nie usiądą wygodnie z popcornem, bo nie chodzi o sport, ale o przeżycie. Wszyscy chcą doświadczać czegoś spektakularnego – wskazuje prof. Gackowski.

Można powiedzieć, że takie podejście do widowisk sportowych przyszło z USA, ale i Europa zmierza w tę stronę, bo to się po prostu opłaca. Kibic rozbawiony to kibic bardziej skłonny do wydawania pieniędzy, a jeśli jeszcze przyjdzie z dzieckiem, to zarobek gotowy. Kluby piłkarskie od dawna liczą „przychody z dnia meczowego”, gdzie nie tylko ważne są sprzedane bilety, lecz także hot dogi, burgery, frytki, napoje. Nic dziwnego, że na stadionie Tottenhamu Londyn można pojeździć gokartem, co dzieci przecież uwielbiają.

Jest też coś dla dorosłych, dla których mecz to tylko pretekst do spotkania się w miłej atmosferze. Praktycznie na każdym liczącym się obiekcie jest strefa VIP, a jeśli klub gra w elitarnej Lidze Mistrzów, to UEFA zabiera klubom część przestrzeni i organizuje ją po swojemu, w zgodzie ze ścisłymi wytycznymi dotyczącymi wystroju wnętrza i sposobu serwowania potraw. Oczywiście są bogaci kibice, którzy przychodzą w to miejsce obejrzeć futbol w lepszych warunkach, ale są też tacy, którzy pojawiają się tam, żeby robić interesy. Na niektórych obiektach kluby wręcz oferują zamknięte pokoje, żeby można było w nich porozmawiać z dala od świadków.

OLBRZYMA ZMIANA W POLSCE

Polskie kluby, zwłaszcza te największe, też starają się iść z duchem czasu i grają według reguł narzucanych przez Pokolenia Alfa i Z. Regularnie przed meczami Legii pojawia się na jej stadionie strefa

dla dzieci, na której można się pobawić, pograć w minipilkę nożną, posłuchać muzyki. Tylko że na Łazienkowskiej, kiedy już się wejdzie na stadion, sport jest zupełnie na serio i nie pojawia się niedźwiedź na rowerku.

To i tak olbrzymia zmiana w porównaniu z tym, co kiedyś serwował polski futbol. W latach 90. na polskich stadionach wystarczyło dać kibicom kawałek kiełbasy z grilla, trochę musztardy i kajzerkę, a dzisiaj kluby ścigają się na jakość produktów, wprowadzają specjalne menu, dbają o to, żeby żywność była zdrowa. Rozpieszczone społeczeństwo nie zadowolili się byle czym i może przebierać w ofertach rozrywki. Nawet telewizja ma z tym problem.

„Kibic jest klientem, a sport jest przede wszystkim biznesem. Trzeba stworzyć taki plan dnia meczowego, z którego będą jak najwyższe przychody. Poza tym trzeba utrzymać uwagę kibica nie tylko w czasie jednego meczu, ale też sprawić, żeby chętnie przyszedł na kolejne. Dlatego organizuje się strefy kibica, używa się każdego kanału akwizycyjnego. Zwróćmy uwagę na to, co się dzieje w mediach: równolegle z transmisją meczu dostępne są streamy animowane, np. na kanale ESPN Kids jest to samo wydarzenie, tylko w wersji animowanej” – zauważył Dawid Prokopowicz, senior sales consultant w Google, podczas jednego z paneli na Kongresie Sport Biznes Polska, cytowany przez portal sportmarketing.pl.

Niedawno na święta Bożego Narodzenia kibice dostali prezent. Dzięki współpracy NBA i Disneya (właścicieli kanału ESPN pokazującego mecze) można było w ten sposób obejrzeć mecz między drużynami New York Knicks i San Antonio Spurs, a w przerwach zabawiali kibiców Myszka Miki, Goofy, Kaczor Donald czy Daisy. Liga NFL nie jest gorsza – w tym przypadku bohaterowie serialu „Simpsonowie” wcielili się w zawodników Cincinnati Bengals i Dallas Cowboys.

Kibice/widzowie/konsumenci (niepotrzebne skreślić) mogli zobaczyć, jak Homer Simpson podaje piłkę, a jego córka Lisa zdobywa przyłożenie. Dla każdego było coś miłego i nawet kilkuletnie dzieci mogły się wciągnąć w grę, a o to przecież chodzi, bo one kiedyś dorosną i będą miały sporo pieniędzy do wydania.

KIA EV3

Ten elektryczny crossover z Korei Południowej to jeden z najlepszych modeli z zielonymi tablicami, które są obecnie dostępne na polskim rynku. I to nie tylko ze względu na tytuł Światowego Samochodu Roku 2025 (World Car of the Year 2025).

Nowoczesne, kanciaste wzornictwo sprawia, że masywny kompaktowy SUV z pewnością wyróżnia się na parkingu. I chociaż surowy, futurystyczny styl zapewne nie wszystkim przypadnie do gustu, to statystyki sprzedaży potwierdzają, że auto wielu osobom mimo wszystko się podoba (od stycznia do kwietnia tego roku zarejestrowano nad Wisłą już 309 sztuk EV3).

Podobać może się również maksymalny zasięg tego e-crossovera, który w tym segmencie jest naprawdę imponujący. W testowanej wersji Business Line z większą od standardowej baterią 81,4 kWh elektryczny crossover na jednym ładowaniu jest w stanie przy bardzo ekologicznej jeździe pokonać nawet ponad 600 km. Da się to zrobić. Gdy jechałem spokojnie na trasie „spalanie” wyniosło 11,8 kWh/100 km. Zazwyczaj mało kto ma jednak aż tyle cierpliwości. W „życiowym” teście w cyklu mieszanym (Warszawa, drogi krajowe i autostrada pokonywana z prędkością 140 km/h) na jednym ładowaniu udało się zrobić EV3 ponad 400 km. Średnie zużycie energii wyniosło zaś 16,4 kWh/100 km. Nieźle! Na dużą pochwałę zasługuje krótki czas ładowania (z pomocą 123 kW) oraz to, że komputer pokładowy nie zawyża prognozowanego zasięgu (podaje możliwy zasięg

maksymalny, najbardziej prawdopodobny i minimalny). I tak powinno być w każdym aucie.

EV3 daje przy okazji sporo frajdy z jazdy. Silnik elektryczny o mocy 204 KM i momencie obrotowym wynoszącym 283 Nm sprawia, że e-crossover jest dość dynamiczny. Nie jest to jednak wyścigówka. Sprint od zera do 100 km/h zajmuje 7,9 s. Komfortowe zawieszenie sprzyja zaś rodzinnym podróżom. Wprawdzie EV3 należy do segmentu C (ma 430 cm długości), wewnątrz jest zaskakująco przestronne. Fotele i tylna kanapa są wygodne. Kabina jest wykończona funkcjonalnie, choć jak na mój gust aż zbyt minimalistycznie. Zastosowane materiały są przeważnie wysokiej jakości. Dużym plusem są przyciski – zarówno te pod 12,3-calowym ekranem dotykowym (ułatwiają szybką obsługę, np. ustawień klimatyzacji), jak i przed podłokietnikami oraz na

drzwiach i kierownicy. To dużo bardziej ergonomiczne rozwiązanie niż wrzucanie wszystkich funkcji do systemu multimedialnego, co praktykują konkurenci. Kufer ma 460 l pojemności (powiększa się do 1250 l).

Model EV3 otrzymał najwyższą ocenę (pięć gwiazdek) w testach zderzeniowych Euro NCAP. Jest też uzbrojony w mnóstwo czujników, asystentów i systemów antykolizyjnych, które wspomagają ruch kierowcą lub same uruchamiają hamulce i zatrzymują samochód. Niby super. Niestety, niekiedy w EV3 sztuczna inteligencja próbuje być mądrzejsza od kierowcy. A to już takie super nie jest.

Najtańsza EV3 z baterią 58,3 kWh kosztuje 166,9 tys. zł, a z baterią 81,4 kWh 184,9 tys. zł. Testowany egzemplarz wyceniony był na 209,4 tys. zł. Cenę tę można obniżyć, korzystając z dofinansowania z rządowego programu „NaszeAuto”. © ©



FOT. PAP

OCZYSZCZACZ POWIETRZA DREAME AIRPURSUE PM10

Ciekawy design, wysokiej jakości system filtracji, niezła wydajność i łatwość obsługi – to największe zalety oczyszczacza powietrza chińskiej marki Dreame, który pod koniec maja zadebiutował na polskim rynku.

Na pierwszy rzut oka ten oczyszczacz powietrza wygląda niczym najnowsze wcielenie R2-D2, czyli sympatycznego naprawczego droida z „Gwiezdnych wojen”. Złośliwcy zwrócą również uwagę na istotne podobieństwo do dużo droższego modelu brytyjskiej marki Dyson. Tak czy owak dość duże urządzenie (mierzy 35 x 35 x 84 cm) z pewnością przyciąga wzrok. Potrafi też wyczuwać obecność człowieka (wówczas jego wielka „głowa” nawiewająca czyste powietrze może obracać się w kierunku użytkownika).

Testowany oczyszczacz jest wyposażony w wielowarstwowy system filtracji HEPA13 z filtrami katalitycznym, węglowym i kompozytowym. Według zapewnień Chińczyków filtry te pozwalają na skuteczne przechwytywanie 99,97 proc. cząstek o wielkości 0,3 mikrona. Usuwa brzydkie zapachy oraz kilkanaście typów zanieczyszczeń (m.in. rakotwórczy for-

maldehyd, a także lotne związki organiczne z farb, klejów, kosmetyków etc.). Wychwytuje też różnego rodzaju alergeny, a także z zimną krwią (za pomocą światła ultrafioletowego) neutralizuje bakterie i wirusy. Oczyszczacz jest również wyposażony w specjalny program dla posiadaczy futrzaków.

Wydajność urządzenia wynosi według producenta 300 m sześć. na godzinę, co pozwala na efektywne oczyszczanie pomieszczeń o wielkości do 100 mkw. Plusem testowanego modelu jest łatwość obsługi. Model AirPursue PM10 jest wyposażony w system czujników: jakości powietrza, lotnych związków organicznych, pyłów zawieszonych PM 1.0, PM 2.5, PM 10, a także temperatury oraz wilgotności. Nieustannie kontrolują one jakość powietrza w danym pomieszczeniu. Wystarczy więc włączyć tryb automatyczny, aby urządzenie samo dostosowywało pracę wentylatora do aktualnych potrzeb. Urządzenie pozwala również na dostosowanie stopnia przepływu powietrza do oczekiwań użytkownika. Oczyszczaczem można sterować za pomocą pilota, aplikacji na smartfonie lub za pomocą poleceń głosowych. Można również zaprogramować czas pracy, tak aby urządzenie samo wyłączyło się o konkretnej porze.

Cena: 3279 zł. © ©



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Perła baroku i „mumie” Radziwiłłów



Jeden z pierwszych kościołów wzniesionych w dawnej Rzeczypospolitej w stylu barokowym to świątynia pw. Bożego Ciała w Nieświeżu, na dzisiejszej Białorusi, czyli w dawnym Wielkim Księstwie Litewskim. Zbudowano go ok. 1582 r., a architektem był Jan Maria Bernardoni, jezuita i wzięty włoski budowniczy, który pozostawił nam niezwykle dzieła: we wspomnianym Nieświeżu i Kaliszu. Na zawsze związał się z Polską, ponieważ zmarł 19 października 1605 r. w Krakowie. Kościół jezuitki był w pewnym sensie miniaturą i powtórzeniem fasady świątyni Najświętszego Imienia Jezusa w Rzymie, która to zresztą fasada kopiowana była i odtwarzana w wielu innych podobnych budowach w Europie.

Fundatorem nieświeskiej był oryginał i człowiek, jakich mało, książę Mikołaj Krzysztof Radziwiłł zwany Sierotką. Przydomek nie pochodził od tego, że był sierotą, ale od zdarzenia, które ponoć miało miejsce w 1549 r. Wówczas król Zygmunt August przebywający w Warszawie i zmęczony dworskimi festynami, w tym puszczaniem fajerwerków, zaszył się w apartamentach zamkowych, gdzie miał pokoje również Mikołaj Czarny Radziwiłł z żoną Elżbietą z Szydłowieckich. Wówczas niespodziewanie usłyszał płacz i znalazł małego Krzysztofa w łóżeczku, zalanego łzami. Król zaczął go tulić i uspokajać – ciekawa scena mówiąca wiele o naszym władcy – nazywając biedną sierotką. Kiedy przyszli dworzanie i usłyszeli te słowa, natychmiast rozgłosili je na dworze i tak do małego Radziwiłła przylgnął przydomek Sierotka.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Mikołaj Krzysztof zasłynął przede wszystkim jako fundator zamku w Nieświeżu, gdzie założył, oprócz kościoła, kolegium jezuickie, które prowadziło teatr szkolny, aptekę, a także drukarnię. W XVII w., w latach 20., rektorem był tutaj św. Andrzej Bobola, który osobiście wykładał w szkole.

Radziwiłł „Sierotka” znany był z tego, że kiedy w 1570 r. został nawrócony na katolicyzm przez ks. Piotra Skargę, odbył niesamowitą pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Wyjechał w 1582 r., wrócił dopiero 2 lipca 1584. Podążał przez Wenecję, Cypr, Trypolis w Libanie, do Kairu w Egipcie, gdzie oglądał piramidy, wszedł też na szczyt piramidy Cheopsa, ale nie podobał mu się Sfinks. Pozostawił po sobie wiele listów, a także pamiętniki: „Podróż do Ziemi Świętej, Syrii i Egiptu”, gdzie opisał szczegółowo swoje przygody. A tych miał bez liku – wiele razy groziło mu niebezpieczeństwo. W drodze powrotnej został obrabowany, i to nie przez Turków, ale przez włoskich „banditti”. Dzięki temu, że w czasie napadu Radziwiłł nie okazywał lęku przed śmiercią, a nawet w pewien sposób litował się nad rabusiami, pozostał żywy. Zostawiono mu nawet – jak sam pisze – „dziesięć cekinów, dwa muły i dwie chore szkapki”.

Sierotka przywiózł ze sobą całą zwierzyniec, kupił na Bliskim

Wschodzie lamparty, koziorożce, koczokodany i inne zwierzęta. Przede wszystkim jednak wioził z Egiptu dwie mumie – kobiety i mężczyzny. Niestety, nie był w stanie dowieźć ich do Polski. Kiedy płynął statkiem przez Morze Śródziemne, rozpętała się okropna burza. Przesądni marynarze, którzy uznali, że wszystkiemu winne są wspomniane dwie pamiątki z Egiptu, wrzucili je do morza, czemu nasz turysta nie był w stanie zapobiec.

Z tymi właśnie mumiami związana jest ciekawa opowieść dotycząca kościoła pw. Bożego Ciała w Nieświeżu. Niestety, nie byłam w stanie jej zweryfikować. Otóż w podziemiach świątyni spoczywają zwłoki 102 Radziwiłłów. Ponoć wielu z nich zostało po śmierci zabalsamowanych według tajemnej wiedzy, którą przywiózł z Egiptu właśnie Mikołaj Krzysztof Radziwiłł „Sierotka”. Wieści o tym wzbudzały ponoć taką sensację, że – jak mi opowiadano w Nieświeżu – po śmierci Lenina sowieccy naukowcy otworzyli drzwi krypt i próbowali odkryć sposób, w jaki zabalsamowane są zwłoki, aby w ten sam sposób zabezpieczyć truchło wodza rewolucji.

Opowieść ta nie wytrzymuje krytyki. Sowiecki przywódca odszedł w 1924 r., kiedy Nieśwież wchodził w skład II Rzeczypospolitej i żadni bolszewicy magicy nie mogliby badać podziemi pod kościołem. Opowieść, jeśli prawdziwa, dotyczy raczej czasów późniejszych, po drugiej wojnie światowej, kiedy rzeczywiście kilka trumien uległo dewastacji przez czerwonych Moskali. ©



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK
I ANNA POPEK Z D. CHRZUK

SIOSTRY GOTUJĄ

Najlepsze truskawki? Czerwcowe

Jeśli chcemy zaopatrzyć się w zapasy truskawek i przygotować z nich przetwory na zimę, to czerwiec jest najlepszym momentem. W tym roku pomimo szczególnie chłodnego maja czerwiec zapowiada się dość ciepły. Możemy zatem liczyć na obfite plony truskawek. Z nich zaś da się przygotować cudowne dżemy i konfitury, ale przede wszystkim możemy je zamrozić i wykorzystać zimą do ciast i deserów. Smaczne są również kompoty, które z dodatkiem aromatycznych przypraw, np. cynamonu, wracają do łask smakoszy kulinarnych jako idealny owocowy napój i deser zarazem. Zupełnie jak dawniej kompoty stanowiły obowiązkowy element obiadu w naszym domu, w którym przechowywano je „za firanką”. To była taka specjalna wnęka w ścianie, w której zrobione były półki, a zamiast drzwi nasz tato zamontował firankę. W sumie wszystko wyglądało porządnie, natomiast firanka dawała łatwy dostęp do przetworów. Wszyscy goście zawsze potajemnie z ciekawości zaglądali za tę firankę w poszukiwaniu czegoś niezwykłego, a tu niespodzianka – cała ściana słoików po brzegi wypełniona przetworami.

Polska słynie z produkcji truskawek, których odmian jest zarejestrowanych ponad 50, nie licząc tych uprawianych nieformalnie. Różnica jest w smaku, kolorze i terminie owocowania. Łączy je jednak jedno: ten wyjątkowy zapach i smak. Niestety, wiele osób jest na truskawki uczulonych ze względu na obecność

alergizujących białek w owocach. Tym, którzy mogą truskawki jeść bez ograniczeń, polecamy aromatyczne truskawki zapiekane pod orzechową kruszonką czy tradycyjne drożdżowy placek z truskawkami albo po prostu drożdżówki z truskawkami i rabarbarem. Wiele teraz się mówi

o tym, że należy dbać o poziom cukru we krwi i że ilość spożywanego białka jest bardzo istotna w każdym wieku. Dlatego zgodnie z obowiązującymi zasadami zdrowego odżywiania znaleźliśmy przepis na lody wysokobiałkowe, idealne na nadchodzące upały. Truskawki mają niski indeks glikemiczny, są zdrowe, nie powodują gwałtownego wzrostu poziomu cukru we krwi. Oprócz tego są bogate w witaminy i minerały, pasują idealnie w połączeniu ze szparagami na zielonej sałacie, jak również na słodko.



FOT. ADRIEN STOCK

Proteinowe lody truskawkowe

- 2 serki wiejskie • 350 g truskawek • 4 łyżki erytrolu lub 2 łyżki miodu • ekstrakt wanilinowy (kilka kropel)

Wszystkie składniki przekładamy do blendera. Blendujemy na wysokich obrotach do osiągnięcia jednolitej konsystencji. Całość przekładamy do pojemnika i wkładamy do zamrażarki na ok. 40 min, następnie wyjmujemy, mieszamy masę i ponownie wkładamy na 2–3 godziny. Możemy przemieszać w tym czasie. Podajemy w wafelkach, możemy posypać czekoladą. ☺



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Menedżerowie zdrowia

Moim zdrowiem zarządzam jak moimi dobrami – mówi dziennikowi „Le Figaro” François, 59-latek. Twierdzi, że czuje się tak, jakby miał 25 lat. Więcej energii, sprawne ciało, dobry sen.

Reprezentuje on, jak podaje gazeta, nowe spojrzenie na zdrowie, oparte na medycynie długowieczności. François stosuje przerywany post, jeździ na rowerze od trzech do czterech godzin tygodniowo, ogranicza spożycie cukru, wyłącza ekrany pół godziny przed pójściem spać. Przyjmuje suplementy i śledzi swoje dane na inteligentnej wadze.

Jego żona, początkowo sceptyczna, ostatecznie dołączyła do niego. Sześćdziesięcioletniej Isabelle mąż zafundował w prezencie trzydniowy pobyt w szpitalu połączony z wszechstronnymi badaniami. American Hospital w Paryżu, ekskluzywna placówka, wykonuje rocznie prawie 10 tys. takich płatnych pobytów połączonych z podstawowymi badaniami. U Isabelle wypadło to nie najlepiej: wysoki cholesterol, otyłość, nadwaga, ryzyko choroby wieńcowej.

Jakież to proste! „Zarządzać swoim zdrowiem”. Może trudniejsze, gdy nie jest się francuskim lekarzem i ma się kredyt do spłacenia. Ale zarządzanie to przecież słowo klucz współczesności. Każdy chce być menedżerem.

O zdrowiu dzisiaj wiemy wszystko, setki razy mówiliśmy nam Internet, jak się uchronić

przed chorobami i zachować młodość: uprawiać sport, mniej jeść, więcej się ruszać, pić dużo wody itp., itd. Złote rady zawsze zdobi zdjęcie smukłej blondynki zjadającej się sałatą.

Zdarza się, że zarządzanie nie do końca się udaje. Moja daleka kuzynka (też we Francji), osoba lat 50+ zwariowana na punkcie zdrowia (ortoreksja to się nazywa), robiła wszystko, co kazali badacze z Harvardu, Cornella, Yale. Znała najnowsze osiągnięcia medycyny. Cukier – biała śmierć, mięso – cichy zabójca... itp. Nie znam nikogo, kto by zarządzał swoim zdrowiem z taką energią jak ona. Ile razy widziałam, jak na śniadanie piła herbatę bez cukru w kolorze słomki i jadła jedną grzankę z miodem. Na obiad u nich zawsze były warzywa na parze. Plus thalassoterapia, joga, tenis.

W zeszłym roku dowiedziałam się, że Cecylia ma problemy zdrowotne. Jest w szpitalu. Rak jelita. Szanse są, ale sprawy nie mają się dobrze...

Wkrótce przyszedł list w czarnej obwódce. Cecylia zmarła mimo wysiłków lekarzy.

Opatrzność, takie stare słowo. „Bóg chroni i rządzi wszystkimi rzeczami, które stworzy, i troszczy się o wszystko, od rzeczy najmniejszych do wielkich wydarzeń świata i jego historii”.

Czy to słowo znane jest badaczom z Yale School of Medicine? ☺



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Zorro, czyli tęsknota

Po wyborach będziemy zalani wspominkowymi analizami na temat przebiegu kampanii prezydenckiej. Wszak znowu mieliśmy do czynienia z „najważniejszymi wyborami w III RP”, co dowodzi, że trafił się nam ustrój gibającej się wajchy, który co wybory walczy o swój zero-jedynkowy stan. I to ten stan niestabilności zdaje się być... jedyną pewną rzeczą w Najjaśniejszej.

Ale będziemy mieli wysyp analiz, jak doszło do ostatecznego wyniku, w których wielu komentatorów będzie przekonywało, że wiedzieli od początku, jak się skończy, choć wynik zdawał się być niepewny do końca. Pojawia się więc opisy fenomenu wysypu debat, ostatecznego upadku telewizji publicznej, machinacji w stosunku do procesu wyborczego w wykonaniu instytucji państwowych, „włączenia się” Tuska za pomocą materiałów służb do kampanii wyborczej czy feralnego piwa Mentzenowskiego. Co z tego zostanie – zobaczymy.

Ale raczej zostaną właśnie jakieś takie podkolorowane szczegółiki, bon moty czy zabawne przygody. Debata kampanijna ostatecznie okazała mierność poziomu politycznej klasy w jej dialogu z suwerenem. Ale i suweren nie był tu zbyt wymagający, zadowolając się przyczynkarskimi tematami, emocjami, w końcu bagienym poziomem zarzutów, nie mówiąc o programach. Poziom jest więc wyrównany i konia z rzędem temu, kto

wskaże, kto zaczął – politycy, zaniżając poziom, czy mało wymagający lud?

Dla mnie znakiem czasu wyrażonym w kampanii będzie... Zorro. Pojawił się on na dachu w czasie tarnowskiego wiecu kandydata Trzaskowskiego, rozwinął wraży transparent i... znikł. Stał się już nie memem, ale mitem, gdyż ruszyły za nim zagony państwa polskiego, co sprawiło, że Zorro natychmiast został obdarzony ludową solidarnością, a w przypadku państwa był to kolejny dowód na jego upadek. Czy ten mit nie wyraża jednak tęsknoty rodaków za tym, żeby do tej nudnej nawałki przyłączył się ktoś z zewnątrz, bohater bez twarzy, co to wystrychnie skostniały układ na dudka, zamiesza i zniknie? I że się będzie na niego czekało, aż się zjawi znikąd, naprawiając krzywdy i karcąc ciemiężycieli?

Właśnie: może ten Zorro to taka tęsknota za wywróceniem wszystkiego i początkiem nowego? Wszak w lutym tego roku badania wykazały, że 58,2 proc. Polaków ma nadzieję na nową partię. I pytanie: Co się stało z tą nadzieją po wyborach, które w dużej mierze ugruntowały fatalizm dwupolowości? Czy Zorro do nas kiedyś przyjdzie i zostanie na stałe? Czy tylko od czasu do czasu skoczy na konia z dachu kolejnej kampanii i odjedzie? A my na stałe zostaniemy z tą dwupolówką, pilnowaną przez sierżanta Garcíę? ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Oklaski nie wystarczą

Chociaż wizyta pani sekretarz ds. bezpieczeństwa narodowego USA na konferencji CPAC była poparciem kandydata największej formacji opozycyjnej w Polsce, to zwróć uwagę na to, co w jej wystąpieniu diametralnie różni ją od PiS. Kristi Noem zaczęła przemówienie od przyznania się do wiary. Wprawdzie Karol Nawrocki mówi o wartościach chrześcijańskich, ale w wystąpieniach liderów PiS trudno szukać tak otwartego świadectwa.

Tym, co jednak najsilniej odróżnia postawę amerykańskiej sekretarz bezpieczeństwa od dokonań Kaczyńskiego i Morawieckiego, jest polityka wobec pandemii. Jako gubernator stanu Dakota Południowa – jako jedyna w USA – nigdy nie zastosowała restrykcyjnych regulacji WHO. Jak sama przyznaje, jej stan nie został zamknięty. „Nie wprowadziliśmy lockdownu. Nie zamknęliśmy ani jednej firmy, ani jednej szkoły. Powiedziały ludziom, że im ufam. Że mogą sami decydować o sobie i o swoich rodzinach. I oni wzięli odpowiedzialność” – powiedziała pani sekretarz.

Kolejna różnica to podatki. Kristi Noem z dumą podkreślała: „Inne stany podnosiły podatki – my je obniżaliśmy. Spłaciliśmy też długi. Nie jesteśmy zadłużeni i nie podejmujemy niepotrzebnych zobowiązań wobec światowej gospodarki”. Przypomnę, że Rada Europejska, wprowadzając nowe unijne podatki

(m.in. podatek od przychodu z handlu emisjami CO₂ i podatek od śladu węglowego), powołuje się na ustalenia z 2020 r., z udziałem rządu Mateusza Morawieckiego.

I kolejny ważny szczegół – ochrona dzieci przed uzależnieniami od nowych technologii. Sekretarz bezpieczeństwa USA przypomina, że pod jej przywództwem Dakota Południowa była „pierwszym stanem, który zakazał TikToka, gdy przejęły nad nim kontrolę Chiny”. Tymczasem w kampanii 2023 r. Morawiecki obiecywał laptopy dla czwartoklasistów, a w pandemii Polska należała do tych państw, które najdłużej więziły uczniów na zdalnym nauczaniu.

Skoro dziś liderzy PiS tak owacyjnie nagradzają wystąpienie amerykańskiej sekretarz ds. bezpieczeństwa narodowego, to czy zdają sobie sprawę, czym ich działania różniły się od ideałów Kristi Noem? Ile w tych ośmiu latach było poszanowania wolności, zaufania do obywateli i odwagi przywództwa? PiS miał 18 miesięcy, by wyciągnąć wnioski z porażki w wyborach parlamentarnych i zdołać się na refleksję, czy aby nie przez politykę wobec COVID-19, przez nowe podatki i zgodę na szaleństwo klimatyczne zabrakło mu wystarczającego poparcia Polaków. Ani po październiku 2023 r., ani w czasie kampanii Nawrockiego kierownictwo PiS nie miało odwagi stanąć w prawdzie. Wspólne zdjęcia z Trumpem i oklaski dla Kristi Noem to za mało. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Aleksander Śmiały

Aleksander Kwaśniewski uznał, że Karol Nawrocki ma „popapraną przeszłość”. Stop. Jak na byłego członka PZPR, pijanego prezydenta kiwającego się w Charkowie i bohatera książki prostytutki Anastazji P. to naprawdę śmiała konstatacja. Stop.

Jaś Kapela poparł oficjalnie, jak to powiedział, tęczyowego Rafała, nagrał nawet specjalny filmik, na którym wygląda chemicznie. Stop. Sam Kapela wielokrotnie przechwalał się, że brał narkotyki, napisał nawet książkę przewodnik po stołecznych pubach i klubach, w której opisywał, co i jak się wchłania, żeby sobie pogmerać w psychice. Stop. Mam już tyle lat, że pamiętam aferę, którą Jasiu rozpętał, informując, że wciągał z samym Borysem Szycem kokainę, ale Szyć miał być agresywny i rzucić go na jakąś kanapę, i w ogóle Kapela nie polecał koksowania się z aktorem. Stop. Szyć i jego ludzie natychmiast zareagowali, że wszystko to kłamstwo, i kazali Kapeli prostować. Stop. Z pewnym ociąganiem, bez entuzjazmu Jasiu wszystko odszczekał, zrzucając winę na pamięć obciążoną wtedy nie tylko alkoholem. Stop. Kończąc, nie wiem, czy ćpuny na pewno głosowały na Trzaskowskiego, bo przecież po co wkładać kartkę w urnę, jak można banknot w nos, ale inicjatywa Jasia warta odnotowania.

Kongresmani z Izby Reprezentantów USA zażądali od Komisji Europejskiej, a właści-

wie od samej Ursuli von der Leyen, odpowiedzi na pytanie, czy kampania Trzaskowskiego nie była nielegalnie finansowana przez zagraniczne podmioty, co byłoby wysoce niedemokratyczne i niepraworządne. Stop. A na to Niemka, że niczego nie będzie wyjaśniać. Stop. Myślę, że to jednak nie koniec sprawy, ponieważ jak Amerykanie o coś pytają, tym bardziej że swoje brudne paluszki mieli w to mieszać członkowie Partii Demokratycznej. Stop.

Trzaskowski w rozmowie ze Sławomirem Mentzenem zadeklarował, że podpisze ustawę o mowie nienawiści. Stop. Mentzen zapytał go, czym jest mowa nienawiści i czy jest nią np. śpiewanie na Campusie Polska przez polityków PO i zaproszoną tam młodzież piosenki „Jeb. PiS”. Stop. Na to konkretne pytanie Rafał odpowiedział niezwykle konkretnie: „Zostawmy w tej chwili to i zastanówmy się, czym jest nawoływanie do nienawiści”. Stop. Przypomnę, że Trzaskowski został przez Kristin Noem, sekretarz bezpieczeństwa w administracji Donalda Trumpa, opisany dość krytycznie: „Widziałam u władzy socjalistów, takich jak np. prezydent Warszawy, który jest wytresowany na lidera, będzie rządził poprzez strach, będzie używał strachu, by promować antywoleńsowy program”. Stop. Tak mi się to wytresowanie przypominało w kontekście „Zostawmy w tej chwili to”. ©©

DARIUSZ
WIERMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Głośna cisza

Bardzo dziwne reakcje towarzyszą toczącemu się właśnie we Francji procesowi emerytowanego chirurga Joëla Le Scouarneca. Jest on oskarżony o dokonanie prawie 300 aktów przemocy seksualnej, których ofiarami były w większości dzieci – pacjenci szpitala, w którym pracował Le Souarnec. Sam oskarżony przyznał się do dokonania 299 gwałtów – które szczegółowo opisywał w prowadzonych przez siebie notatkach. Gwałty na dzieciach dokonywane były w latach 1998–2014, w ich tuszowaniu zaś uczestniczyły całe tabuny pracowników administracji szpitalnej i lekarzy. „Doradzano mi, by nie wspominać nawet o moich podejrzeniach wobec tego człowieka” – przypomniał w rozmowie z portalem BBC jeden z lekarzy. „Cierpieł na taki deficyt chirurgów, że każdy z nich traktowany był jak Mesjasz” – tłumaczył dyrektor szpitala. „Nie sprostalem zadaniu, podobnie jak cała nasza hierarchia” – wyjaśnił inny urzędnik. Już w roku 2004 francuskie władze powiadomione zostały przez FBI, że chirurg zapłacił swoją kartą kredytową za możliwość ściągnięcia na prywatny komputer filmów przedstawiających gwałty na dzieciach. Ostrzeżenie zamieciono pod dywan.

W bretońskim miasteczku Vannes, w którym toczy się proces, panuje rozgoryczenie i frustracja. Choć spodziewa-

no się w nim najazdu setek akredytowanych dziennikarzy i żywego zainteresowania światowych mediów, to o procesie mówi się we Francji niewiele. Jest to szokująco odmienne od głośnej sprawy małżeństwa Pelicot – dotyczącej kobiety odurzanej i gwałconej przez męża i jego współników.

„Różnica polega na tym, że proces w Vannes dotyczy seksualnego wykorzystywania dzieci. Na świecie, a zwłaszcza we Francji, panuje powszechna »omerta« dotycząca tego tematu. Społeczeństwa nie chcą przyjmować go do wiadomości” – komentuje prawniczka reprezentująca ofiary Le Scouarneca. Chociaż 50 z nich zgodziło się wystąpić publicznie w sądzie, proces nie budzi zainteresowania mediów. „Jestem wyczerpana. Jestem wściekła. W tej chwili straciłam wszelką nadzieję. Społeczeństwo totalnie nie interesuje się naszą sprawą. Ze strachem myślę, że takie wydarzenia mogą się powtórzyć” – twierdzi jedna z ofiar.

Zarzut obojętności Francuzów wobec wiadomości o masowym wykorzystywaniu seksualnym dzieci gromko podnosi dziś BBC. Zapomina zapewne, że w samej Wielkiej Brytanii informacje o podobnych przestępstwach, dokonywanych przez imigranckie gangi, były przez kilkadziesiąt lat skrzętnie chowane pod dywan. Przyczyn tej „globalnej omerty” możemy się jedynie domyślać. ©©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Wynocha z kościoła!

Oto, Czcigodni Bracia, owa nauka, którą głosi bolszewicki i bezbożny komunizm jakoby nową ewangelię, jakoby ożywczą nowinę zbawienia i odkupienia ludzkości. System to pełen błędów i sofizmów, sprzeciwiający się tak objawieniu, jak i zdrowemu rozumowi: niszczący wszelki ład społeczny, podważający jego podwaliny; zapoznający prawdziwe pochodzenie i naturę i istotny cel państwa; odmawiający w końcu człowiekowi prawa, godności i wolności”.

Te słowa pochodzą z opublikowanej 19 marca 1937 r. encykliki „Divini Redemptoris. O bezbożnym komunizmie” papieża Piusa XI, do dzisiaj będącej

wojny światowej, była niejako zapowiedzią hekatombi, którą po 1 września 1939 r. poniósł Kościół katolicki z rąk obu okupantów reprezentujących dwie wersje bezbożnych totalitaryzmów: komunizmu oraz niemieckiego narodowego socjalizmu. Dość wspomnieć, że w latach 1939–1945 Niemcy na ziemiach polskich wcielonych do Rzeszy wymordowali jedną trzecią polskiego duchowieństwa katolickiego. I pomyśleć, że jeszcze ktoś dzisiaj nazywa narodowy socjalizm „skrajną prawicą”!

Zamordowanie ks. Streicha w kościele, przy ołtarzu, a nie w czasie jakiejś demonstracji politycznej czy w czasie zebrania takiej czy innej katolickiej

oczywiście obsadzani są wyłącznie przedstawiciele prawicy narodowej. W roli ofiar – przedstawiciele szeroko pojmowanej lewicy.

Tak, to prawda, był Gabriel Narutowicz – pierwszy prezydent odrodzonej Polski, który został zamordowany w 1922 r. przez zwolennika narodowej demokracji. Ale był również ks. Stanisław Streich zamordowany przez radykalnego zwolennika „postępowej” ideologii.

Niemal pół wieku po lubońskiej tragedii z rąk funkcjonariuszy komunistycznego aparatu przemocy zginął inny męczennik, błogosławiony ks. Jerzy Popiełuszko. Z ks. Streichem łączyło go zaangażowanie w duszpasterstwo wśród robotników. W okresie międzywojennym Luboń był przede wszystkim robotniczym miastem, w którym zamordowany kapłan prowadził ożywioną działalność duszpasterską wśród tych, którym ideologia komunistyczna wyznaczała rolę awangardy w rewolucyjnym zaprowadzaniu dyktatury proletariatu.

Błogosławiony ks. Streich był kontynuatorem długiej i mocno zakorzenionej w Wielkopolsce tradycji księży – społeczników, umiejętnie łączących swoje podstawowe powołanie do duszpasterstwa z zaangażowaniem w sprawy społeczne. Tacy księża, którzy organizowali i organizują banki ludowe, spółdzielnie rolnicze, czytelnie albo uczelnie, muzea i środki przekazu, zarówno wtedy, jak i dzisiaj, traktowani są jako wyjątkowo niebezpieczni przedstawiciele „klerykalnego zagrożenia”, których trzeba co prędzej „opiłować” z ich „przywilejów”, by nie stawali dłużej na drodze nieuchronnego postępu. ©

Niemcy na ziemiach polskich wcielonych do Rzeszy wymordowali jedną trzecią polskiego duchowieństwa katolickiego. I pomyśleć, że jeszcze ktoś dzisiaj nazywa narodowy socjalizm „skrajną prawicą”!

najtrafniejszym kompendium wiedzy o ideologii i praktyce politycznej komunizmu. Niemal dokładnie rok później, 27 lutego 1938 r., podczas odprawiania Mszy św. w kościele św. Jana Bosko w podpoznańskim Luboniu, został zamordowany przez komunistycznego działacza ks. Stanisław Streich. Krótko po zabiciu księdza morderca – wedle relacji świadków – krzychał: „Niech żyje komunizm! Zrobiłem to dla was! Wynoście się z kościoła!”. 24 maja 2025 r. w Poznaniu, za sprawą decyzji podjętej jeszcze przez papieża Franciszka, dopełnił się akt beatyfikacji ks. Streicha jako męczennika za wiarę.

Dramatyczna śmierć tego duchownego z rąk komunisty, rok przed wybuchem drugiej

organizacji społecznej, ilustruje również, co tak naprawdę kryło się za hasłem „rozdziłu Kościoła od państwa”, które komuniści przejęli od XIX-wiecznych liberalnych laicyzatorów. „Rozdził” oznaczał w rzeczywistości chęć całkowitego podporządkowania sobie Kościoła, a docelowo – wyeliminowania go.

Męczeńska śmierć ks. Streicha przypomina również o niewygodnej prawdzie, że przemoc, do której dochodziło w II Rzeczypospolitej, niejedno miała imię. Grupy dekonstrukcyjne, które zalewają dzisiaj rynek kolejnymi publikacjami o „Polsce ludowej” i o „historii ucisku” różnych grup społecznych w dwudziestolecie, najczęściej odnoszą się do przemocy motywowanej antysemityzmem. W roli prześladowców

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Panie ZORRO, kimkolwiek jesteś, ślę szczere gratulacje za Twój wyczyn!

Gdyby ktoś z Państwa nie wiedział – wyczyn polegał na tym, że tajemniczy osobnik przebrany za Zorro wlaźł na dach i w trakcie wiecu Rafała Trzaskowskiego w Tarnowie rozwiesił z dachu banner „Byle Nie Trzaskowski”. Zorro pomachał do tłumu, potem zniknął, a policja wszczęła intensywne działania, analizując zapisy z monitoringu i przesłuchując świadków.

Policja zrobiła to wszystko niepotrzebnie. Nic, co Zorro zrobił, nie było działaniem kryminalnym. Czy na dach wolno wchodzić? Wolno! Są w tym celu w dachu specjalne wyłazy i one tam są po to, by wyłazić na dach – by poprawić antenę, czyścić komin, sprawdzić, czy się dziura w dachu nie zrobiła itp. Wywieszanie transparentów to też nie jest działanie nielegalne. Propaganda wyborcza to taki sam „obywatelski obowiązek” jak głosowanie. Działanie policji poszukującej Zorro uważam więc za nadużycie władzy.

Gdyby na moim wiecu wybrzym (którego nigdy nie będzie) jakiś przeciwnik wywiesił transparent „Byle Nie WC”, to ja bym kogoś takiego zaprosił do mikrofonu i kazał powiedzieć dlaczego „Byle Nie WC”. Co do mnie masz, Panie Zorro? Co Ci się u mnie nie podoba? Podziwiam Cię, Panie Zorro – za fantazję i tę odrobinę odwagi, której wymagało łożenie po dachu.

Na moim występie w Stalowej Woli pojawiła się bardzo odważna Panna. Stała



naprzeciw tłumowi, który kupił bilety (czyli są tu, bo LUBIĄ WC), i przy tych wszystkich ludziach wygarnęła mi w twarz. Odważna, gotowa bronić swego – godna podziwu! Nie przeszkadza mi, że nie lubi moich poglądów. Nie ma powodu, by każdy lubił każdego. Wygarnęła mi przy ludziach, że jestem szowinista i radykał. A potem pytała: CZEMU? Czyli ma w sobie niechęć do mnie, ale ma też ciekawość: Jak to możliwe, że ten facet ma poglądy tak odległe od moich? Odpowiedziałam Jej, że jestem radykałem bo... lubię taki być. Odpowiedź uproszczona – ona krzyczy na mnie, a ja nie mam szansy pogadać z Nią dłużej, czyli muszę uproszczyć. Zdołałem jedynie odkrzyknąć, że radykałem był Jezus i mnie się ta postawa (radykalna) podoba. Młodzież ma prawo być, jaka jest – ma prawo głosować na obrzydliwców typu Trzaskowski, młodzież ma prawo szukać i błędzić. Zorro to też prawdopodobnie młodzież. Puszczanie policji w pogoń za młodzieżą, która szuka swego, to głupie.

Niezależnie od tego, kto wygrał, będzie to samo – w Polsce od dawna rządzi Bruksela. W Polsce od dawna żadna polska władza nie ma NIC DO GADANIA. Może protestować lub może popierać – to bez znaczenia. PiS się oburza, że niemieckie radiowozy wjeżdżają do Polski i podrzucają imigrantów. Dobrze, że się PiS oburza. Z oburzenia jednak

nic nie wynika, bo tutaj rządzi Unia, a nie Polacy. Niemieckie radiowozy jeździły po Polsce także wtedy, gdy władzę sprawował PiS. A zatem to BEZ ZNACZENIA, kto jest w Polsce premierem lub kto będzie nowym prezydentem, bo w Polsce nie rządzi ani premier, ani prezydent, lecz Unia.

Prezydent – ten czy tamten – niczego nie zmienia ani na lepsze, ani na gorsze, ponieważ jesteśmy pod okupacją UE. Z punktu widzenia UE jest bez różnicy, kto w Polsce rządzi – oni i tak zrobią z nami po swojemu. Gdy prezydent lub premier to lojalista (Tusk/Trzaskowski), wówczas unijne rozkazy łatwiej wprowadzić – lojaliści sami o to proszą. Gdy prezydent lub rząd RP stawiają opór (bo nie są lojalistami, lecz patriotami), to i tak się wprowadzi wszystko, co ma być wprowadzone, a ta odrobina przemocy, którą trzeba zastosować, by opór polskiej władzy złamać, to nawet dobre – UE pokazuje innym krajom, że jak będą podskakiwać, to i tak nic nie da. Z punktu widzenia UE Nawrocki i PiS są nawet lepsi, bo pozwalają zachować pozory, że UE to jeszcze nie jest władza absolutna.

W tej sytuacji lepiej się skupić nie na ratowaniu Rzeczypospolitej przed utratą niepodległości, ale nad tym, jak niepodległość – już UTRACONĄ – odzyskać.

Nadzieję trzeba mieć i jej nie tracić. „Ducha nie

traćcie, serc nie zatwardzajcie” i „Choćbym kroczył ciemną doliną, zła się nie ulęknę...”. Nadzieja nie jest potrzebna w czasach dobrych – trzeba ją mieć, gdy się zrobi BEZNADZIEJNIE. A zrobi się niezależnie od tego, kto jest w Polsce prezydentem. Niepodległość utraciliśmy. Jeśli nam się wydaje, że na razie jeszcze nie, to jest to myślenie naiwne. Lepszym punktem startowym jest przekonanie, że niepodległość stanowczo utraciliśmy i teraz trzeba pracować i walczyć o jej odzyskanie.

Myśleniem naiwnym było coś takiego: Trzaskowski jako prezydent to gwarancja, że wejdą w Polskę podatek katastralny, dyrektywa budynkowa, aborcja na życzenie, likwidacja gotówki, przymus szczepień, euro zamiast złotego, no ale gdy wygra Nawrocki, to tego wszystkiego nie będzie. Naiwność! Niestety, wszystko to BĘDZIE. Polska nie ma się czym obronić. Nawet gdyby prezydentem był Braun, a premierem Jakubiak. Teraz czas myśleć o tym, jak niepodległość odzyskać, a nie jak ją ocalić.

Uspokajam Państwa! Nie znam jeszcze wyniku wyborów i uspokajam Państwa: jeżeli zwyciężąc będzie Trzaskowski, to tragedii z tego tytułu nie ma, bo tragedia już się stała – po kawałku przez ostatnie 20 lat. Filar niepodległości został przepiłowany i dach w naszym domu się zawali nieodwołalnie. Trzaskowski będzie ten filar kopał – aby dach zawałił się szybciej. Nawrocki będzie próbował podpierać. Żadne z tych działań nie zatrzyma katastrofy. Jesteśmy pod kolejnymi zaborami i walczymy o ODZYSKANIE NIEPODLEGŁOŚCI. „Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie”. © ©

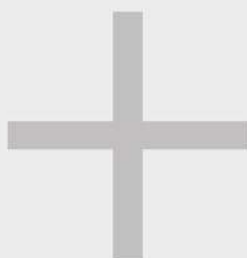
Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER:

„BAJECZNA CHORWACJA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~1403~~ ZŁ

496,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 967 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl df3bfaf92

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

**Nowa, finalna data zapisów
na akcje Do Rzeczy S.A.
do 13 maja.**

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

**Inwestuj
w prawdę!
Kup akcje
Do Rzeczy S.A.**

Piotr Gabryel
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO
TYGODNIKA „DO RZECZY”



Do RZECZY S.A.
– LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU
WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE
NA **NEW/CONNECT (GPW)**



Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka”). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej www.dorzeczy.pl/gielda oraz Domu Maklerskiego INC S.A. www.platforma.dminc.pl.



INFOLINIA: +48 508 040 882

Dom maklerski INC S.A.